1967–2017
50 lat
SKPG „Harnasie”

HARNAŚ 19

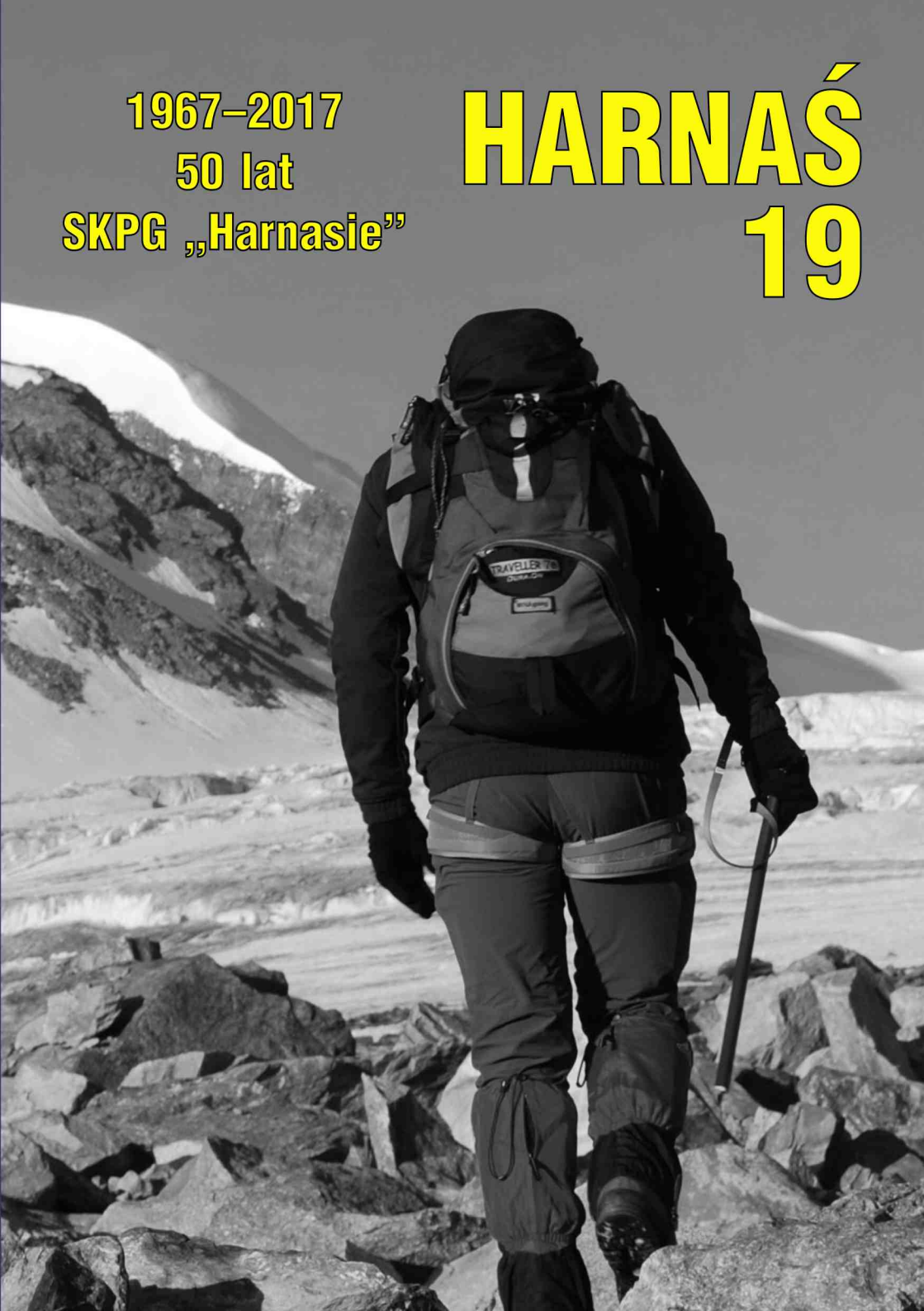

50 LAT
STUDENCKIEGO KOŁA
PRZEWODNIKÓW GÓRSKICH
„HARNASIE”

HARNAŚ 19

GLIWICE 2017

Drodzy!

19. numer „Harnasia” to numer inny niż zwykle. Inny, bo w dniu, w którym oddajemy go do Waszych rąk, również świętujemy. A jest co świętować – korzenie naszego Koła sięgają pół wieku wstecz; już od 2018 roku będzie nam bliżej do setki niż do jedynki.

I właśnie z tej okazji powstała publikacja, którą trzymacie w ręku. „Harnaś” wydany na obchody 50-lecia SKPG łączy własną tradycję, jaką jest prezentacja materiałów szkoleniowych, z tradycją inną – publikacji jubileuszowych, w których przede wszystkim zamieszczane są wspomnienia Harnasi. Jako że czas płynie nieubłaganie, a historia Koła dopisuje się szybciej, niż mogłoby nam się wydawać, motywem przewodnim, przewijającym się przez wszystkie strony tego numeru, jest relacja dawniej – dziś.

Życzymy miłej lektury,

Redakcja

Wydawca: Studenckie Koło Przewodników Górskich „Harnasie”,
ul. Zwycięstwa 1 (lokal Klubu Wysokogórskiego), 44-100 Gliwice
Redakcja: Anna Latusek
Korekta: Joanna Cichocka, Anna Latusek, Natalia Woźny-Huchla
Skład: Dariusz Telinga
Opracowanie graficzne: Dariusz Telinga
Fotografia na okładce: Dariusz Telinga
Publikacja złożona w wolnym oprogramowaniu Scribus

SPIS TREŚCI

Stanisław Wierzchowski
Historia ostatniego 10–lecia SKPG „Harnasie” _____5

Jan Kowalik
Powstanie Stowarzyszenia SKPG „Harnasie” _____11

Andrzej Kajetan Kowalski
Norwegia 1987 _____15

Przemysław Siuda
Kartoteka Selekcyjna Obrzeżnie Perforowana a Przewodnictwo Studenckie na Śląsku _____18

Jacek Ginter
Dawniej a dziś w turystyce _____22

Jacek Ginter
Wspomnienie z wędrówki _____28

Jacek Ginter
Z pamiętnika przewodnika _____30

Łukasz Pisarek
O tym, jak powstała baza namiotowa Przysłop Potócki _____42

Małgorzata Musiał
10 lat minęło... SBN Przysłop Potócki _____58

Zbigniew Drapała
Wybrane beskidzkie uzdrowiska na przestrzeni ostatnich 200 lat _____64

Małgorzata Uman-Ntuk
Zmiana granic Polski i składu narodowego na przestrzeni wieków _____73

Agnieszka Matusiak
Migawki z gór świata _____94

Katarzyna Jamróz
Harnasie na Dachu Afryki _____ **102**

Katarzyna Jamróz
Organizacja trekkingów komercyjnych w XXI wieku. Funkcja tour-leadera _____ **112**

Marek Zygmański
Zmiany w ratownictwie górskim _____ **122**

Sprawozdanie – sprawy osobowe SKPG „Harnasie" w okresie 19.11.2009 – sierpień 2017 _____ **131**

STANISŁAW WIERZCHOWSKI

HISTORIA OSTATNIEGO 10-LECIA SKPG „HARNASIE”

WSTĘP

Podczas obchodów 40-lecia w październiku 2007 roku na Hali Miziowej posiadaczem blachy o najwyższym numerze – 348 – był autor niniejszego artykułu. Pięć lat później, podczas obchodów 45-lecia, ostatnia przyznana blacha miała numer 377. Dziś ostatnia blacha nosi numer 401. W ciągu 10 lat – choć miało miejsce tylko 9 blachowań (więcej przeczytacie o tym w części poświęconej kursom) – do Koła przybyło 53 nowych członków. Co jeszcze zdarzyło się przez ostatnich 10 lat? W poniższym artykule postaram się przedstawić najważniejsze moim zdaniem wydarzenia z ostatniego dziesięciolecia działalności SKPG „Harnasie”.

STOWARZYSZENIE

Do roku 2011 Koło działało jako klub PTTK w Oddziale Uczelnianym PTTK przy Politechnice Śląskiej, choć z regulowaniem składek petetekowskich bywało wśród członków Koła różnie. Potrzeba usamodzielnienia się Koła stała się szczególnie istotna po kontroli kursu dokonanej przez urząd marszałkowski, kiedy Rada Koła musiała wszelkie kursowe formalności załatwiać z urzędem za pośrednictwem Zarządu OU PTTK. Walne zebranie w listopadzie 2010 roku zobowiązało Radę Koła do kontynuowania prac zmierzających do założenia stowarzyszenia. 15 kwietnia 2011 roku na Wydziale AEI Politechniki Śląskiej odbyło się zebranie założycielskie, jednak sąd zarządził zwrot wniosku

o zarejestrowanie stowarzyszenia z powodu niewłaściwego wypełnienia formularza. Ponowne zebranie założycielskie odbyło się 2 sierpnia 2011 roku w siedzibie Klubu Wysokogórskiego przy ulicy Zwycięstwa 1. Tym razem było już skuteczne, bo w dniu 19 grudnia Sąd Rejonowy w Gliwicach wpisał Stowarzyszenie Studenckie Koło Przewodników Górskich „Harnasie" z siedzibą w Gliwicach do Krajowego Rejestru Sądowego.

Nowa forma prawna wymaga od nas dokonywania pewnych formalności, jak aktualizacja wpisu w KRS po wyborze nowych władz czy prowadzenie księgowości, pozwala jednak na samodzielne działanie, z pominięciem potrzeby zatwierdzania i bycia reprezentowanym przed urzędami przez Oddział Uczelniany. Aby zachować łączność z OU przy stowarzyszeniu powołano Klub SKPG podlegający pod OU, z oddzielnym statutem zgodnym ze Wzorcowym Statutem Klubu PTTK oraz Zarządem osobowo pokrywającym się ze składem Rady Stowarzyszenia. Więcej na temat powstania stowarzyszenia przeczytacie w artykule Jana Kowalika.

Wybieralne władze stowarzyszenia, podobnie jak to było wcześniej, stanowią Rada ze stojącym na jej czele prezesem oraz Komisja Rewizyjna. Obowiązki prezesa sprawowali kolejno: Łukasz Pisarek (listopad 2004 – listopad 2007), Maciej Antonik (listopad 2007 – listopad 2008), Stanisław Wierzchowski (listopad 2008 – listopad 2009), Joanna Śliwa (listopad 2009 – listopad 2010), Grzegorz Pasieka (listopad 2010 – listopad 2011), Bartłomiej Cisowski (listopad 2011 – listopad 2012), Michał Huchla (listopad 2012 – kwiecień 2014), Krzysztof Krawiec (kwiecień 2014 – kwiecień 2016), Aleksandra Ginter (kwiecień 2016 – marzec 2017), Patrycja Michałowicz (od marca 2017). Tradycyjny listopadowy termin walnego zebrania został przesunięty na kwiecień, by umożliwić walnemu zebraniu zatwierdzenie sprawozdania finansowego w wymaganym przepisami terminie. Zmianie uległa też tradycja zwoływania walnych zebrań we wtorki. Obecnie, by długo obradujący uczestnicy walnego zebrania nie musieli przejmować się wstawaniem do pracy w dniu następnym, zebrania odbywają się w piątki.

ZMIANA SIEDZIBY

10 lat temu nasza siedziba, rozumiana jako miejsce spotkań, mieściła się w lokalu Klubu Wysokogórskiego w Gliwicach przy ulicy Zwycięstwa 1, na najwyższym piętrze kamienicy, jak przystało na Klub Wysokogórski. Podnajmowaliśmy od KW dużą salę, mieliśmy też dostęp do znajdującej się na strychu toalety, z której skorzystanie wymagało przejścia przez fragment strychu na bezdechu z powodu zagnieżdżonych tam gołębi. Dużym atutem było położenie przy rynku (bliskość knajp) oraz niedaleko od dworca kolejowego i Placu Piastów, skąd odjeżdżało wiele linii autobusowych.

W latach 2010 – 2011 Politechnika Śląska przeprowadziła remont budynku przy ulicy Pszczyńskiej 85, w którym mieściła się kiedyś – nieczynna już wówczas – stołówka studencka, i przeznaczyła go na siedzibę samorządu studenckiego oraz innych organizacji studenckich, nazywając go Mrowiskiem. Samorząd zaproponował nam bezpłatne, wspólne z AKT Watra, wynajmowanie jednego z pomieszczeń. Lokum to używane do dziś nie jest zbyt duże, jednak jest w stanie zmieścić kilkanaście osób. W przypadku większej liczby uczestników zebrań możemy korzystać z większych pomieszczeń w Mrowisku, które trzeba jednak wcześniej rezerwować, bo współużytkowane są one również przez inne organizacje studenckie. Początkowo nie zrezygnowaliśmy z pomieszczenia w lokalu KW, jednak w roku 2012 z powodów głównie finansowych przenieśliśmy się całkowicie do Mrowiska. Nowa siedziba nie jest już tak łatwo dostępna dla podróżujących komunikacją publiczną, choć przy stale zwiększającym się poziomie zmotoryzowania społeczeństwa, w tym Harnasi, przestaje być to problemem. Z drugiej strony nowa lokalizacja bliżej Politechniki jest dogodniejsza dla studentów. Dla formalności dodam, że naszą oficjalną siedzibą widoczną w dokumentach od momentu uzyskania osobowości prawnej jest lokal Gliwickiego Centrum Organizacji Pozarządowych, mieszczący się również przy ulicy Zwycięstwa 1.

KURSY PRZEWODNICKIE

Po zmianie aktów prawnych regulujących prowadzenie kursów przewodnickich należało zmienić program naszego kursu. Nowe przepisy zniosły podział uprawnień beskidzkich na trzy obszary, wymagając tym samym od uczestników naszych szkoleń opanowania terenu o prawie trzykrotnie większej powierzchni. Trzeba było wydłużyć kurs. Jednak by zdobyć wiadomości o terenie uprawnień w takim samym stopniu szczegółowości jak przed zmianą ustawy, szkolenie musiałoby trwać 3 lata. Ciężko byłoby znaleźć chętnych na tak długi kurs. Postanowiono więc zorganizować zajęcia trwające o jeden semestr akademicki dłużej. Ich początek przesunięto na wiosnę, aby zakończyć kurs tradycyjnym blachowaniem w lutowym terminie. Dało to pół roku więcej, w tym dwa wiosenne długie weekendy i wakacje. Kosztem mniejszej ilości wyjazdów w „stary teren uprawnień" udało się ułożyć harmonogram wyjazdów obejmujący całe Beskidy w rozumieniu nowych przepisów. Obecnie kursy zaczynają się w marcu, egzamin praktyczny odbywa się 19 miesięcy później w październiku, a blachowanie w lutym – 2 lata od rozpoczęcia szkolenia. W związku z tą zmianą kurs, który normalnie rozpoczynałby się w październiku 2011 r., został uruchomiony dopiero w marcu 2012 r., a zakończył się w lutym 2014 r. Stąd też w lutym 2013 r. blachowanie nie odbyło się.

Prowadzenia kolejnych kursów podjęli się: Stanisław Wierzchowski, Grzegorz Pasieka i Jarosław Rak (2012 – 2014), Joanna Śliwa, Natalia Woźny i Małgorzata

Skorupska-Rak (2013 – 2015), Patrycja Michałowicz, Magdalena Goryl i Rafał Langrzyk (2014 – 2016), Jan Pizoń, Natalia Paszek i Agnieszka Widak (2015 – 2017), Krzysztof Krawiec, Magdalena Goryl, Zbigniew Drapała i Marek Krupa (2016 – 2018), Maria Orzechowska-Maćkowiak i Izabela Dyrlaga (2017 – 2019).

RAJDY (I INNE WYJAZDY)

Sezon rajdowy zaczynamy Rajdem Zimowym organizowanym w styczniu bądź lutym. Pierwszy taki rajd odbył się w roku 2010 i od razu cieszył się powodzeniem. W styczniu 2017 roku odbyła 8. edycja tego rajdu. W okolicach pierwszego dnia wiosny ma miejsce Rajd na Powitanie Wiosny, który w tym roku miał 33. edycję. W kwietniu odbywa się Rajd PolUŚ, współorganizowany z SKPB Katowice, jednak ostatnia edycja odbyła się w roku 2015, a kolejne stoją pod znakiem zapytania. Przy okazji gliwickich juwenaliów organizowany jest razem z AKT Watra Rajd Igrowy z metą na Pietraszonce. Rajd ten wymyślił Grzegorz Pasieka w roku 2009, pomysł się przyjął i w roku 2017 odbyła się jego 9. edycja. W październiku odbywają się rajdy Złota Jesień z Harnasiem i Studenci Górom. Frekwencja jest zmienna i kształtuje się w okolicach 30 osób, choć zdarzyło się nawet 73 uczestników (wliczając przewodników) na Rajdzie Studenci Górom 2009.

Ponadto organizowany jest Ekskluzywny Rajd Górski (ERG) w lokalizacjach poza „starym terenem uprawnień". Frekwencja w porównaniu do pozostałych nieekskluzywnych rajdów jest niższa i w dużej części obejmuje członków Koła. Akcja „Lato", mimo kolejnych podejmowanych prób, nie gromadzi już tak dużej liczby uczestników, o jakiej można przeczytać w wydawnictwie 40-leciowym. W roku 2016 Akcja przyciągnęła 12 osób.

Wspomnieć też trzeba o Rajdzie Makowskim oraz o Bacowaniu Przedświątecznym, imprezach nieformalnych, skierowanych głównie do członków Koła.

CHATKA W LACHOWICACH

Chatka w Lachowicach, zwana też Chatką na Adamach czy też formalnie Studenckim Schronem Turystycznym „Pod Solniskiem", znajdująca się pod opieką Koła od roku 2001, w dniu 18.11.2011 r. decyzją walnego zebrania SKPG została pozbawiona patronatu Harnasi.

Jak do tego doszło? W wydawnictwie 40-leciowym (w roku 2007) autor Jacek Ginter pisze skrótowo o pierwszych 6 latach działania Chatki pod opieką Harnasi, przy czym osoby zainteresowane szczegółami dotyczącymi pozyskania obiektu oraz wykonanych prac remontowych odsyła m.in. do „Harnasia" 16 i 17. Autor pisząc o zaletach posiadania Chatki, zauważa problemy związane z jej obsługą i utrzymaniem, a konkretniej z brakiem osób chętnych do pełnienia roli obsługanta

oraz konflikt interesów między dwoma grupami Harnasi – jednej chcącej prowadzić nieustanne prace remontowe oraz drugiej pragnącej z Chatki korzystać w spokojniejszy sposób.

We wrześniu 2009 roku Radosław Truś poinformował zebranych na cotygodniowym wtorkowym zebraniu, że przy OU PTTK powstał Klub Chatkowy. Prezesem został Radosław Truś, a skarbnikiem Maciej Siudut. W Statucie Klubu można było znaleźć następujące słowa: „Klub Chatkowy »Adamy« […] został powołany […] w celu rzetelnego i kompetentnego prowadzenia Studenckiego Schronu Turystycznego »Pod Solniskiem«". Należy dodać, że obaj koledzy w tym samym czasie byli członkami Rady Chatki powoływanej przez Radę Koła, również w celu prowadzenia Chatki. Zawrzało na kołowej liście dyskusyjnej (poprzedniczka obecnego forum dostępnego na WWW). Odbyły się spotkania Rady Koła z Klubem Chatkowym, podjęto próby wypracowania kompromisu. W końcu ustalono, że Chatką będzie zarządzać niezależna od Rady Koła Rada Chatki, a Koło będzie sprawować nad Chatką patronat. Jednak współpraca nie układała się. Dwa lata później, gdy Rada Chatki bez wcześniejszych konsultacji wprowadziła zmiany do chatkowego cennika, na walnym zebraniu 18 listopada 2011 r. przegłosowano wniosek o zaprzestaniu dalszej współpracy.

INNE WYDARZENIA

W roku 2007 Łukasz Pisarek uruchomił na polanie Przysłop Potócki bazę namiotową, formalnie działającą przy OU PTTK, aczkolwiek często kojarzoną z Kołem za sprawą członkostwa w Harnasiach samego założyciela, jak i części osób go wspomagających. Bazowe bacówki oraz inne elementy wyposażenia poddawane są regularnym remontom i ulepszeniom. Po kilku latach Łukasz przekazał kierowanie bazą Małgorzacie Musiał. Baza w tym roku świętowała 10-lecie działalności.

KOŁO W INTERNECIE

10 lat to w dziedzinie technologii komputerowych bardzo długi okres. W tym czasie zmienił się (nawet kilkukrotnie) sposób tworzenia stron internetowych oraz metody komunikowania się wśród internautów. Zmiany te miały miejsce również wpływ na obecność Koła w internecie.

Po długich przygotowaniach w roku 2008 nasza kołowa strona internetowa została uruchomiona przez Adama Nowaka w nowej odsłonie wykorzystującej silnik WordPress. Poza najbardziej widoczną zmianą szaty graficznej dokonała się też zmiana w sposobie zamieszczania treści. Zmian tych nie musi już dokonywać administrator strony, lecz po krótkim przeszkoleniu, bez znajomości HTMLa, robią je redaktorzy, najczęściej będący członkami Rady. Pozwoliło to na znaczne

przyspieszenie procesu publikowania informacji.

Następna zmiana dotyczyła zastąpienia listy dyskusyjnej przez forum dostępne przez WWW. Tu krótkie wyjaśnienie dla osób, które nie miały nigdy do czynienia z tym narzędziem. Był to kanał komunikacji pełniący taką samą rolę, jaką obecnie pełni forum dostępne przez WWW, jednak do jej obsługi konieczne było zainstalowanie i skonfigurowanie klienta poczty elektronicznej (np. Microsoft Outlook). Z czasem popularne wśród internautów stały się fora dostępne przez strony WWW, które były prostsze w obsłudze, bo nie wymagały konfigurowania adresów serwera. Taki trend dotarł też do Koła. Byli zwolennicy przejścia na nowe rozwiązanie, jak i jego przeciwnicy, jednak wiosną 2011 roku doszło do uruchomienia kołowego forum działającego przez WWW, a stara lista dyskusyjna została wyłączona.

Kolejną nowością na styku Koła i internetu był założony w roku 2010 profil w serwisie Facebook, wykorzystywany głównie do promocji Koła, cieszący się obecnie „polubieniami" w ilości ponad 1400. Od stycznia 2016 roku działa również profil kołowy w serwisie Instagram.

Do rzeczywistości wirtualnej przeniósł się też wydawany przez Jacka Gintera „Mammuthus Montanus".

PODSUMOWANIE

Przez ostatnich 10 lat powstało kilka nowych pomysłów na działalność Koła, kilka innych straciło na znaczeniu lub odeszło w zapomnienie, jeszcze inne uległy ewolucji. Jednak Koło zasadniczo nie zmieniło swojego charakteru. Dalej daje swoim członkom możliwość wspólnego działania, organizowania wyjazdów bliższych i dalszych, przeżywania razem wspólnej pasji – gór.

JAN KOWALIK

POWSTANIE STOWARZYSZENIA SKPG „HARNASIE”

Podejmując się napisania artykułu do jubileuszowego „Harnasia” o powstaniu Stowarzyszenia SKPG, założyłem, że będzie to praca łatwa, szybka i przyjemna. Przecież sam brałem czynny udział w jego powstaniu, jestem współautorem statutu, sklerozy nie mam. Nie przypuszczałem, jak bardzo własna pamięć bywa zawodna.

Planując zakres artykułu, brałem pod uwagę również ujęcie wszystkich wcześniejszych starań o uzyskanie przez SKPG osobowości prawnej, bez względu na ich przyczyny i cele, jakie miało to w danym czasie osiągnąć.

Sama idea uzyskania przez SKPG osobowości prawnej narodziła się po zajściu zupełnej zmiany systemu gospodarczego w Polsce po 1989 roku. Nie będę tu podawał szczegółów, generalnie wiązało się to ze znacznym ograniczeniem roli i możliwości (nie wprost oczywiście) PTTK z jednej strony a pojawieniem się praktycznie nieograniczonych (jeśli, to tylko finansowo) możliwości turystyki indywidualnej. Dotychczasowy główny „kontrahent” przewodnictwa studenckiego w Polsce – Almatur, gwałtownie stracił większość klientów. Coroczne działania podczepiające naszą ofertę pod różne biura podróży skutkowały bardzo niewielkimi sukcesami, popadający w coraz większy marazm Oddział Uczelniany nie potrafił być dla Koła partnerem nie tylko mającym uprawnienia do prowadzenia działalności gospodarczej, ale i oferującym pełną i bezproblemową obsługę formalno-prawną organizowanych przez nas obozów, rajdów i wycieczek. Współpraca Koła z OU kulała, coraz więcej przewodników nie było zainteresowanych przynależnością do PTTK. Jedynym wyjściem było usamodzielnienie się Koła, a najprostszym osiągnięciem tego celu – przekształcenie się w stowarzyszenie. Dyskusje trwały blisko siedem lat, kilka inicjatyw, jak to będzie pokazane w dalszej części opracowania, upadło. Ostatecznie Stowarzyszenie SKPG powstało, a krótką historię starań o jego powołanie postaram się pokazać w tym artykule.

Rozpocząłem od przeglądania dostępnych materiałów: corocznych sprawozdań Rad Koła oraz protokołów z Walnych Zebrań. I tu dwukrotnie zostałem bardzo zaskoczony. Po pierwsze, niekompletnością zarchiwizowanych materiałów, a po drugie, mnogością podejmowanych działań w przeciągu ostatnich kilkunastu lat działalności Koła. Choć nie działam już czynnie jako przewodnik, bywam regularnie na Walnych Zebraniach i zazwyczaj aktywnie w nich uczestniczę. Tymczasem okazało się, iż wielu faktów po prostu nie pamiętałem.

Przeglądając wszelkie inne dostępne mi źródła i materiały, sporządziłem poniższe kalendarium. Ująłem w nim wszystkie wzmianki o inicjatywach uzyskania przez Koło osobowości prawnej i/lub powołania stowarzyszenia.

Pierwszym działaniem mającym na celu swojego rodzaju sformalizowanie i usamodzielnienie się SKPG było wystąpienie Zarządu OU do ZG PTTK o zezwolenie na prowadzenie działalności przewodnickiej w oparciu o przewodników zrzeszonych w naszym Kole. Wniosek został wysłany w trakcie kadencji 6.12.1982 r. – 22.11.1983 r. Niestety nie udało mi się dowiedzieć, czy i jaką odpowiedź otrzymaliśmy.

Kolejne działania w kierunku uzyskania przez Koło samodzielności przedstawiały się następująco:

KADENCJA 1993/94

Na Walnym Zebraniu 29.11.1994 r. przyjęto wniosek o zobowiązanie nowej Rady Koła do podjęcia działań mających na celu przekształcenie Koła w Stowarzyszenie SKPG „Harnasie".

KADENCJA 1994/95

Rada Koła, realizując wniosek z poprzedniego Walnego, poczyniła stosowne przygotowania. Sławek Nowicki przygotował projekt statutu stowarzyszenia. Burzliwa dyskusja doprowadziła do przyjęcia konkluzji, że przy obecnym stanie działalności Koła plusów z przekształcenia byłoby niewiele, a pracy zbyt dużo. Wniosek upadł.

KADENCJA 1997/98

Na Walnym odbyła się kolejna dyskusja nad propozycją Rady przekształcenia Koła w stowarzyszenie. I znowu wniosek ustępującej Rady upadł. Według dyskutantów przewidywane minusy przeważały nad potencjalnymi korzyściami. Ponadto wniosek Rady sformułowany był wyjątkowo niezręcznie, co praktycznie uniemożliwiało jego przegłosowanie.

KADENCJA 1999/2000

Ustępująca Rada przedstawiła wniosek do Walnego Zebrania o zobowiązanie kolejnej Rady do podjęcia działań mających na celu uzyskanie przez Koło osobowości prawnej. Wniosek został odrzucony przez Walne. Niestety nie znamy (nie pamiętamy) przebiegu dyskusji, jak brzmiały argumenty Rady i dlaczego wniosek został odrzucony.

KADENCJA 2001/02

Wniosek ustępującej Rady o powołanie Speckomisji ds. finansowo-prawnych – wycofany.

KADENCJA 2002/03

Wniosek ustępującej Rady do Walnego o zobowiązanie kolejnej Rady do podjęcia przygotowań do założenia stowarzyszenia.

KADENCJA 2003/04

Na Walnym Zebraniu przedstawiono pod dyskusję projekt statutu przygotowany przez Jarka Jeziorskiego „Kurę". Przedstawiono jednocześnie wniosek ustępującej Rady o zarejestrowanie SKPG jako OPPT lub Stowarzyszenia SKPG „Harnasie".

Jak już wspomniałem, projekt jest niedatowany, widnieje na nim kilka moich uwag będących najprawdopodobniej podstawami do dalszej nad nim dyskusji. Najprawdopodobniej jest to projekt JJ, o którym mowa powyżej.

Wniosek został odrzucony przez Walne z powodu braku dostępu do protokołu z zebrania, nie znamy przebiegu dyskusji i padających w jej ramach argumentów za i przeciw powołaniu stowarzyszenia.

KADENCJA 2005/06

Na WZ przyjęto wniosek o dostosowanie statutu Koła do wymogów PTTK.

KADENCJA 2006/07

Ustępujący Prezes Jarek Jeziorski przedstawił zarys statutu przystosowany do wzorca PTTK. Dalsze prace nad nim miała prowadzić specjalnie powołana Komisja Statutowa, a wyniki zaprezentować na kolejnym Walnym.

KADENCJA 2007/08

20.11.2007 r. – ustalono skład Komisji Statutowej: Marek „Pan Turlej", Radosław „Radeck" Truś, Jarosław „Kura" Jeziorski. Rada przedstawiła projekt.

KADENCJA 2008/09

Jednym z planowanych zadań Walnego miało być przedyskutowanie i zatwierdzenie nowego statutu Koła. Propozycja statutu przygotowana przez Jarka „Kurę" Jeziorskiego i dopracowana przez Komisję Statutową była wcześniej udostępniona i dyskutowana na naszej liście dyskusyjnej. Wobec zaistniałej sytuacji na Walnym – późna pora i brak możliwości zatwierdzenia statutu – postanowiono sprawę tę przedyskutować na specjalnym zebraniu zwyczajnym, a sfinalizować, zwołując Nadzwyczajne Walne Zebranie.

KADENCJA 2009/10

Maj 2010 r. – powstanie Komisji Statutowej na podstawie uchwały Walnego o jej powołanie. W jej skład weszli: Gosia Skorupska „Dziobak", Aśka Śliwa, Darek Telinga „Cieć", Ryszard Antonik „Nowy", Radosław Truś „Radeck" i niżej podpisany. Komisja pracowała przez całe lato i jesień, odbywając kolejne zebrania, a pomiędzy nimi korzystając z maili.

19.11.2010 r. – prezentacja projektu statutu Stowarzyszenia SKPG „Harnasie”.

Należy powiedzieć, że jednocześnie stworzyliśmy projekt statutu klubu PTTK „Harnasie” oparty na statucie wzorcowym tejże organizacji. Działania te były prowadzone, gdyż jednym z założeń naszego projektu było utrzymanie ściślejszych więzi mającego powstać stowarzyszenia z PTTK. Przy istniejącym stanie prawnym nie było możliwe powołanie stowarzyszenia działającego w pełni w strukturach tej organizacji.

KADENCJA 2010/11

Komisja Statutowa już bez Radecka, który niespodziewanie odciął się od projektu, nadal pracowała, doszlifowując projekt statutu.

15.04.2011 r. – odbyło się Nadzwyczajne Walne / Zebranie Założycielskie powołujące Stowarzyszenie SKPG „Harnasie”. Deklarację podpisało 54 Członków Założycieli.

Sąd zwrócił wniosek, podając w uzasadnieniu przyczyny, którymi były błędy formalne popełnione przy wypisywaniu formularza oraz rzeczywisty błąd w samym statucie popełniony w części dotyczącej trybu utraty członkostwa stowarzyszenia.

2.08.2011 r. – odbyło się kolejne zebranie założycielskie.

KADENCJA 2011/12

Na początku lutego Stowarzyszenie SKPG „Harnasie” zostało zarejestrowane w rejestrze organizatorów szkoleń urzędu marszałkowskiego, co ostatecznie uprawniło nas do samodzielnego prowadzenia kursów przewodnickich.

17.02.2012 r. (piątek) – odbyło się Nadzwyczajne Walne Zebranie Stowarzyszenia SKPG „Harnasie”. Głównym celem zebrania był formalny wybór władz powstałego niedawno stowarzyszenia w celu uaktualnienia KRS oraz modyfikacja statutu dotycząca sposobu przyjmowania nowych-starych członków SKPG.

12.04.2013 r. – odbyło się Nadzwyczajne Walne mające na celu:

1. zatwierdzenie sprawozdania finansowego za rok 2012;
2. podjęcie uchwały w sprawie dostosowania kadencji władz stowarzyszenia do roku finansowego lub odwrotnie;
3. przedłużenie kadencji Rady i Komisji Rewizyjnej.

Od tego czasu Walne Zebrania odbywają się już wiosną, aby zgodnie z prawem złożyć do sądu w terminie sprawozdania z działalności i finansowej.

Pragnąłbym, aby powyższy artykuł zmobilizował czytelników – Mamutów o sięgnięcie do biurek lub pamięci komputerów, wydobycie na światło dzienne zalegających tam materiałów archiwalnych dotyczących historii naszego Koła. Pozwoliłoby to na znaczne rozszerzenie i uzupełnienie powyższego opracowania.

ANDRZEJ KAJETAN KOWALSKI

NORWEGIA 1987

Płaskowyż Hardangervidda

W tym roku mija 30 lat od wyjazdu Harnasi do Norwegii. Jak zauważyłem, nie został on nigdzie opisany – poza wzmiankami w sprawozdaniach, że się odbył. Postanowiłem więc, korzystając z rocznicy, napisać o nim parę słów, żeby nie umknął z naszej pamięci. Zwłaszcza że i ja coraz mniej z niego pamiętam. Wspólnie z Bożeną Krztoń spróbowaliśmy odtworzyć to, co działo się w tamtym czasie. Pewnie nie udałoby się, gdybym w domowych rupieciach nie odnalazł kalendarzyka z 1987 roku, w którym zapisywałem (niestety tylko hasłowo), co robiłem w poszczególne dni. Niewiele tego jest, ale chyba wystarczy do upamiętnienia tego wyjazdu.

Obecnie taki wyjazd nie jest niczym szczególnym. Mnóstwo ludzi po prostu wyjmuje paszport z szuflady, kupuje w internecie bilety i jedzie na lotnisko albo wsiada w samochód, po drodze w jakimś kantorze wymienia walutę – i to jest cała organizacja imprezy. Przed 30 laty zdobycie paszportu wiązało się z napisaniem programu i zatwierdzeniem go przez organizacje i władze, zatwierdzeniem składu osobowego, potem jeszcze uzyskaniem wiz, zakupem walut na czarnym rynku (za straszliwą cenę), wpłaceniem na konto walutowe i wypłaceniem ze zgodą na wywóz itd., a po powrocie napisanie sprawozdania. Zorganizowanie takiego wyjazdu było więc ważnym wydarzeniem.

Środkiem lokomocji był samochód – bagażówka, wynajęty razem z kierowcą – właścicielem. Przez wstawienie dwóch wersalek i umywalki zamieniono go w samochód kempingowy. W podwoziu właściciel zamontował kilka baków na paliwo; zakupienie go w Polsce dało znaczne oszczędności kosztów transportu. Noclegi zaplanowaliśmy w namiotach – oczywiście na dziko, korzystając z obowiązującego w Skandynawii „prawa każdego człowieka". Żywność zabraliśmy z Polski, tylko produkty nietrwałe kupowaliśmy na miejscu. Zabraliśmy też maksymalną dozwoloną ilość napojów alkoholowych, które w Norwegii można

sprzedać po dobrej cenie. Przy naszym doświadczeniu handlowym pewnie przywieźlibyśmy je z powrotem do kraju, gdyby nie spotkany Polak mieszkający od lat w Norwegii, który kupił wszystkie nasze zapasy.

W wyjeździe wzięli udział:

Harnasie: Andrzej Kajetan „Kajtek" Kowalski, Bożena „Dziouszka" Krztoń, Michał Vrabetz, Waldemar „Valdi" Grzechca, Krzysztof Zep.

Inne osoby: Magdalena Kowalik-Sianos (związki rodzinne z Harnasiami), Wojciech Grencer (z OU PTTK) oraz Janek – właściciel i kierowca wynajętego samochodu.

Przebieg wycieczki był następujący:

9.07.1987 Przejazd z Gliwic do Świnoujścia, wieczorem wjazd na prom.

10.07.1987 Rano zjazd z promu w Ystad, krótkie zwiedzanie miasta, przejazd przez Lund (zwiedzanie katedry) do miejsca pomiędzy Falkenbergiem a Varbergiem.

11.07.1987 „Jeśli chcesz być wesół, bracie, myj się rano w Kattegacie". Po ablucjach w wymienionym akwenie przejazd przez Göteborg (krótkie zwiedzanie) do granicy norweskiej, nocleg tuż za granicą.

12.07.1987 Przejazd do Oslo, zwiedzanie, wyjazd z miasta na nocleg.

13.07.1987 Przejazd na nocleg przez Kongsberg (krótkie zwiedzanie) i przez kilka miejscowości z drewnianymi kościółkami.

14.07.1987 Przejazd do miejscowości Halne na płaskowyżu Hardangervidda, przejście w kierunku lodowca Hardangerjøkulen.

15.07.1987 Plan wejścia na lodowiec Hardangerjøkulen, jednak po rozważeniu możliwości czasowych rezygnacja z tego pomysłu i poprzestanie na wejściu na szczyt Store Midnuten, po czym powrót do Halne. Przejazd koło wodospadu Vøringfoss do okolic Eidfjord.

16.07.1987 Przejazd przez Kinsarvik do okolic Bergen.

17.07.1987 Zwiedzanie Bergen, wieczorem wyjazd poza miasto.

18.07.1987 Przejazd w rejon Sognefjord.

19.07.1987 Przejazd do kościółka drewnianego w Urnes, a następnie do miejscowości Solvorn.

20.07.1987 Pobyt w okolicy miejscowości Solvorn; ze względu na awarię samochodu oczekiwanie na dostarczenie części zamiennej.

21.07.1987 Po naprawie samochodu przejazd w okolice miejscowości Skjolden.

22.07.1987 Przejazd do Spiterstulen – bazy turystycznej w górach Jotunheimen.

23.07.1987 Wycieczka na najwyższy szczyt Norwegii – Galdhøpiggen (2469 m n.p.m.).

24.07.1987 Wycieczka na Glittertind – według niektórych źródeł najwyższy szczyt Norwegii. Góra ta ma szczyt lodowy, którego wysokość jest różna w różnych latach na skutek przybywania i topnienia lodu. W niektórych latach szczyt był nieznacznie wyższy niż Galdhøpiggen, na ogół jednak jest nieco niższy.

25.07.1987 Pobyt na bazie koło Spiterstulen i słuchanie bębnienia deszczu o tropiki namiotów.

26.07.1987 Wycieczka na lodowiec Heilstugubre.

27.07.1987 Wycieczka w stronę szczytu Skarstind – z powodu pogorszenia pogody wycofanie się z rejonu lodowca Illabreen.

28.07.1987 Pobyt na bazie koło Spiterstulen i suszenie rzeczy przemoczonych poprzedniego dnia.

29.07.1987 Wycieczka na szczyt Leirhøe.

30.07.1987 Pobyt na bazie koło Spiterstulen. Znów ulewa.

31.07.1987 Wycieczka do schroniska Leirvassbu i na szczyt Kyrkja.

1.08.1987 Przejazd przez Lom (zwiedzanie drewnianego kościółka) nad Geirangerfjord.

2.08.1987 Przejazd Drogą Trolli do Åndalsness i doliny Romsdalen.

3.08.1987 Przejazd w rejon Trondheim.

4.08.1987 Zwiedzanie Trondheim.

5.08.1987 Przejazd do Oslo.

6.08.1987 Zwiedzanie Oslo i wyjazd za miasto.

7.08.1987 Wyjazd z Norwegii, przejazd przez Göteborg (krótkie zwiedzanie) na nocleg.

8.08.1987 Przejazd przez Varberg i Halmstad nad jezioro Västersjön.

9.08.1987 Przejazd przez Helsingborg (krótkie zwiedzanie) i Malmö (również krótkie zwiedzanie) do Ystad.

10.08.1987 Przepłynięcie promem do Świnoujścia i wyjazd w kierunku Gliwic.

11.08.1987 Po nocnej podróży przyjazd do Gliwic.

Zdjęcie autora

PRZEMYSŁAW SIUDA

KARTOTEKA SELEKCYJNA OBRZEŻNIE PERFOROWANA A PRZEWODNICTWO STUDENCKIE NA ŚLĄSKU

Zgłaszając się na ochotnika do napisania artykułu do jubileuszowego „Harnasia", zaproponowałem, że opiszę wycieczkę, jaką onegdaj odbyliśmy z Beatą z Kościeleckich Łaską w Góry Śnieżne (a konkretnie do Zielonego Stawu Kieżmarskiego). Potem jednak doszedłem do wniosku, że przecież jest w Kole sporo starszych ode mnie przewodników, którzy lepiej mogą tę wycieczkę opisać, tak więc pokornie skupię się na sprawach mniej spektakularnych, o których mnie, jako młodemu (jak mi się wydaje) Harnasiowi, bardziej pisać się godzi.

PIETRASZONKA

W Chatce na Pietraszonce byłem pierwszy raz w roku 1969. Żaden to powód do zaszczytu, bo Kajetan był tam jeszcze w XIX stuleciu, nie wspominając o Jurku Jasiczku, który eksplorował Jasiczkowe Turnie 50 lat przed Kajetanem. Niemniej z pobytu tego (który był nieco przymusowy, jako że był to czas remontu schroniska na Przysłopie – tego prawdziwego, habsburskiego! – i turystów odsyłano do mało

komu wtedy znanej „chatki") wyniosłem dwie istotne lekcje. Wędrowałem wtedy z moją Mamą (bo sam byłem w podstawówce), szliśmy ze Szczyrku przez Skrzyczne. Jako jeszcze-nie-nawet-nastolatek dotarłem więc do Chatki na ostatnich nogach i marzyłem, żeby uderzyć w kimono. Nic z tych rzeczy! Impreza śpiewano -gawędzona trwała do rana, a ja usnąłem na huśtawce w Saloonie. Lekcja nr 1: w Chatce nie jest się w żadnym wypadku dla przyjemności. To jest służba. Nazajutrz zeszliśmy do Kamesznicy z zamiarem przejścia na Lipowską. Napatoczył się traktor (a droga w dolinie Kamesznicy nie była wtedy jeszcze asfaltowa), który zabrał nas do wylotu doliny. Po drodze wytrzęsło mnie tak, że następne dwie godziny spędziłem w toalecie knajpy w Kamesznicy, złożony gigantyczną... hm, nazwijmy to niedyspozycją, wywołaną traktorową trzęsionką. Lekcja nr 2 młodego turysty: takie są góry – jak nie impreza, to sraczka.

RYCERZOWA

Kilka lat później, już w liceum, zdecydowanie zarażony górskim wirusem, wędrowałem samotnie (taki to był młodzieńczo-młodopolski samozachwyt: tylko sam JA wielki, dzielny i wspaniały – i Góry) przez Beskid Żywiecki. Zaszedłem do dopiero co otwartej bacówki na Rycerzowej. W bacówce nie było wtedy w ogóle prądu, nawet agregatu, w użyciu były wyłącznie lampy naftowe. Zindoktrynowany klasyczną literaturą górską miałem wtedy zwyczaj wychodzić przed świtem (przeważnie przed 5 rano), a wychowany twardą ręką mojego Ojca miałem zasadę, że nie pokazuję się ludziom nieogolony (choć mój ówczesny zarost – hm... pozostawmy to innej opowieści). Tak więc, aby zaoszczędzić rano cenne minuty, wieczorem, już po zmroku, w świetle lampy naftowej, golę się w umywalni bacówki na Rycerzowej, ryzykując życie, bo sprzęt do golenia nie bardzo przypominał ten dzisiejszy i pysk miałem wiecznie w strupach. W połowie golenia wchodzi do umywalni starszy gość z beskidzką blachą na swetrze. Patrzy na mnie uważnie i mówi z uznaniem „Nie wiedziałem, że są jeszcze na świecie dżentelmeni, którzy wiedzą, że należy golić się również na noc". Moje ego eksploduje i jest widoczne z samej przełęczy Użockiej.

KURS

To, że trafiłem na Kurs, nie mogło być przypadkiem. I nie chodzi tu o lata młodzieńczego chodzenia po górach, ale o fakt, że dwaj moi idole i poprzednicy na stanowisku Prezesa śp. Wydziałowego Klubu Turystycznego „Ciaptak" – Wojtek i Tomaszek – „poszli w Harnasie". No to jak – oni poszli, a ja nie pójdę? (Oczywiście istotnym argumentem było to, że za obydwoma Idolami ciągnęły się sznury zachwyconych panienek, ale tematu tego nie będę rozwijał, obawiając się, że obecne Żony Idoli mogą przeczytać ten tekst). Tak więc zapisałem się. Wykładem

inauguracyjnym o Tatrach rozpoczął Belfegor, jasno dając nam do zrozumienia, że nasze marzenia o tym, że będziemy kiedykolwiek przewodnikami, są absolutnie nieziszczalne. Na wykładzie z dróg dojazdowych dowiedzieliśmy się, dlaczego niezwykle istotna jest znajomość stacji kolejowych na trasie Bytom – Katowice (kto z młodych Harnasi wie jeszcze, dlaczego? Za poprawną odpowiedź stawiam U Karola warzonkę). Na topografii Beskidu Żywieckiego dowiedzieliśmy się, ile jest dopływów Wełczówki, ale jak się nazywają – musieliśmy dojść sami. Piotrek Michnol był moim sąsiadem w Ondraszku, więc góry Bułgarii to był luzik, ale finanse to był spory szok, bo czasy były przedkapitalistyczne, pojęcie chociażby takiej faktury było nieznane, a Wojtek Milota, który był za ten przedmiot odpowiedzialny, był w dobrej relacji z ówczesną księgową w Almaturze, więc miał wiedzę, która – jak nam się wtedy wydawało – była porównywalna z wiedzą obecnego Biegłego Rewidenta. Niczemu to jednak nie przeszkadzało, bo podstawową kompetencją potrzebną do zdawania egzaminu z finansów była wiedza, w jakich koszach na Słowacji najłatwiej jest znaleźć używane bilety na autobusy dalekobieżne.

Potem był obóz kursowy kierowany przez tandem Jasiu Madey i Jurek Sarna. Ponieważ już wcześniej brałem udział w obozie kursowym SKPB Kraków (jako walet, rzecz jasna), wydawało mi się, że wiem, czego należy się spodziewać, jeśli idzie o panoramkowanie i inne wyrafinowane formy tortur wobec kursantów. Niestety. Przepytywanie ze załamań grani na piątym planie (o wybitności porównywalnej ze sławnym Trawersiczkiem Hackmayera z „Zakopanoptikonu") było na porządku dziennym. Zaczęliśmy przeczuwać, że Belfegor miał rację.

EGZAMIN

A potem był egzamin. Obkuci w dopływy Wełczówki i prognozę roku, w którym Polhoranka popłynie na północ oraz w warianty dojazdu z Grzechyni do Harkabuza (łącznie z przesiadkami alternatywnymi w dni świąteczne) i tak byliśmy bezbronni choćby wobec zabójczych strzałów Grzesia Sianosa („Twój uczestnik ma silnie zwężone źrenice i odpowiada w sposób nieskładny, co robisz?").W końcu wylądowaliśmy na Malorce, aby dowiedzieć się, że pomimo „istotnych braków i niedociągnięć" jednak „rokujemy pewne nadzieje" i w związku z tym Wysoka Komisja rekomenduje dopuszczenie nas do egzaminów teoretycznych. Niebo stało otworem.

30+ LAT PÓŹNIEJ

Już w XXI wieku w gronie Wiecznie Młodych Harnasi i Wiecznie Ambitnych Eks-Wspinaczy siedzieliśmy sobie na polanie w słowackich Tatrach Zachodnich. „A może jeszcze jedną kawkę przed wyjściem?" – rzucił Eks-Wspinacz. „Ja już

chyba nie...” – powiedziałem. „Nie wygłupiaj się, weź drugą tabletkę, ja już wziąłem!” – szepnął mi na ucho Łojarz-Emeryt.

Dzień później, Zasłużony Harnaś Słusznego Wzrostu siedząc pod drzewem z widokiem na Chopok, stwierdził „No przecież ja już wszędzie tu byłem. To po co znowu pójdę?”

Ależ to bardzo proste, część z nas już nie pamięta, gdzie była, więc znowu jest motywacja, żeby tam iść.

TYTUŁ

Tych zaś z młodych Harnasi, których intryguje tytuł niniejszych wspomnień, zachęcam do sięgnięcia do wydań Harnasia z lat 80.[1] – znajdziecie tam stosowny pierwotny artykuł, który w swoim czasie wywołał tyleż czysto harnasiowych drwin i złośliwości, co oburzenia jednego z zasłużonych Harnasi. Udanych poszukiwań (w chwilach wolnych od wędrówek)!

[1] Harnaś nr 9/1982 [przyp. red.].

JACEK GINTER

DAWNIEJ A DZIŚ W TURYSTYCE

Co różni, a co łączy dzisiejszą turystykę studencką z tą sprzed 30, 40 czy 50 lat? Ciągła obecność nas, Mamutów, w środowisku SKPG pozwala dokonać obserwacji oraz porównań i spróbować odpowiedzieć na to pytanie. Moja pierwsza refleksja jest taka, że zmian jest wiele, ale to, co niezmienne i co może nas cieszyć, to ciągle ta sama atmosfera i „duch" towarzyszący wyjazdom, rajdom, imprezom odbywającym się w naszym środowisku.

UBIÓR I SPRZĘT

Nikt już nie wybierze się na rajd w trampkach – jak ja na mój pierwszy Rajd Babiogórski w 1976 r. Bez trudu i za niezbyt wielkie pieniądze nawet początkujący turysta może się wyposażyć w prosty, ale skuteczny ubiór i sprzęt. Kiedyś na pierwsze wyjazdy pożyczało się plecak czy śpiwór od znajomych, potem usiłowaliśmy upolować w sklepach własny ekwipunek. Nierzadko wobec braków na rynku samodzielnie wykonywaliśmy elementy wyposażenia – szyliśmy ortalionowe ochraniacze, kurtki, a nawet plecaki, a potem również puchowe śpiwory. Mamy i babcie robiły nam na drutach wełniane skarpety. Niektóre rzeczy kupowaliśmy na Słowacji, gdzie zaopatrzenie sklepów sportowo-turystycznych było znacznie lepsze.

Autor w typowym stroju turystycznym sprzed epoki polarów, z plecakiem domowej roboty

Wracając do butów – podstawowego wyposażenia górskiego turysty, o którym śpiewa się nawet turystyczne pieśni (*Te buty rajdowe...*, *Buty całkiem przemoczone*, itp.) – gdy początkujący turysta przekonał się, że trampki nie są najlepszym obuwiem na górskie wertepy, kupował tzw. „pionierki", czyli proste, skórzane trapery z gumową podeszwą z protektorem. Kolejnym etapem były buty zwane Taternikami, by w końcu zdobyć sprzęt wagi cięższej, czyli Himalaje lub Zawraty.

Współczesny sprzęt turystyczny naszpikowany jest nowoczesnymi, skomplikowanymi technologiami, a często również elektroniką. Jest przy tym dużo lżejszy i wygodniejszy. Dawniej jako górski ubiór wykorzystywaliśmy zwykle nieco zużyte ubrania miejskie. Bieliznę stanowiły bawełniane koszulki, kolejną warstwą była obowiązkowo – dziś już „kultowa" – flanelowa koszula. Od wiatru i deszczu miała chronić brezentowa (a potem ortalionowa) kurtka zwana kangurką, z racji kieszeni umieszczonej centralnie w okolicach brzucha. Na chłodniejsze dni ubierało się jakiś sweter – na zimę najlepiej z owczej wełny.

Rewolucją w ubiorze było pojawienie się na początku lat 90. XX w. polarów. Ten wynalazek reklamowany jako rewelacyjny początkowo nieco rozczarowywał, bo niektórzy nie brali pod uwagę, że jest wprawdzie ciepły, ale dość przewiewny. Poza tym trudno było polarową kurtkę wkomponować w dotychczas stosowany system ubrań. Nie bardzo było wiadomo, czy ma zastąpić sweter, kurtkę, czy może flanelę? Dopiero kolejne warstwy odzieży oddychającej, które z czasem zaczęły się pojawiać, stworzyły zupełnie nowy model i system górskiego ubioru.

Ze sprzętu technicznego najważniejszy był plecak. Tu rewolucja nastąpiła w latach 70., gdy proste, brezentowe worki ze skórzanymi paskami zastąpiły ortalionowe plecaki z aluminiowym stelażem z rurek wzorowane na plecakach wypraw himalajskich. W latach 80. nastąpiła kolejna rewolucja, gdyż pojawiły się znacznie lżejsze i wygodniejsze plecaki ze stelażem wewnętrznym.

Zmieniło się też oświetlenie. Zwykłe ręczne latarki na baterię płaską wytrzymujące godzinę świecenia lub znacznie efektywniejsze, lecz zarazem cięższe, latarki na 2 lub 3 baterie okrągłe zastąpiły najpierw czołówki, a potem coraz bardziej zaawansowane, lekkie i mocne czołówki diodowe.

Nie używało się niegdyś w ogóle kijków. Jeśli ktoś chciał się na czymś wesprzeć, znajdował zwykły kij w lesie. Pojawienie się pierwszych użytkowników kijków trekkingowych wzbudzało sporo sensacji, a nawet żartów i kpin, szczególnie ze strony ludności miejscowej.

DOJAZDY W GÓRY

Zmieniły się środki komunikacji. Dawniej jedyną, traktowaną jako oczywistość, możliwością dojazdu w góry była podróż pociągiem i autobusami PKS. Takie wspólne przejazdy miały też ważny aspekt integracyjny. Prawie zawsze powrót pociągiem z gór był kontynuacją imprezy z obowiązkowym śpiewaniem przy

gitarze. Dziś rzadko jeżdżę pociągiem, ale chyba takie rozśpiewane powroty z gór już się nie zdarzają. Komunikacja publiczna nie sprzyja dziś wyjazdom w góry, znacznie łatwiej skorzystać z własnych samochodów. Zyskujemy dzięki temu czas i możliwość dotarcia w dowolne miejsce, tracimy możliwość zaplanowania trasy z punktu A do dowolnego punktu B, a także te wspólne kolejowe powroty.

Zmieniły się też możliwości i zasięg terytorialny naszych turystycznych poczynań. Kiedyś wyjazd w Alpy czy nawet do Rumunii był wielką wyprawą organizowaną parę miesięcy, dziś robi się wypad na inny kontynent w ciągu kilku tygodni lub nawet dni. W góry Słowacji jeździło się na wakacje, dziś są one dostępne na wyjazd weekendowy lub nawet jednodniową wycieczkę.

Ponadto każdy wyjazd poza granice kraju wymagał sporych przygotowań formalnych – wniosków o wydanie paszportu, wpisów w książeczkach walutowych itp. Granice przekraczało się tylko na drogowych lub kolejowych przejściach granicznych i często wiązało się to ze sporymi emocjami, staniem w kolejkach, wypakowywaniem plecaków przez celników. O tym, by przekroczyć granicę w dowolnym miejscu w górach, nawet nie marzyliśmy.

KOMUNIKACJA

Radykalnie zmieniły się sposoby komunikowania – zarówno w celu organizacji imprez i wyjazdów, jak i potem, w celu podzielenia się wrażeniami. Bezpośrednie spotkania coraz częściej zastępujemy komunikacją wirtualną. Niektórzy na bieżąco, w czasie rzeczywistym, wrzucają na portale społecznościowe informacje o swoich wojażach uzupełniane zdjęciami. Galerie zdjęć w internecie, blogi, facebook – to wszystko zastępuje nasze bezpośrednie spotkania, choć na pewno nie zastąpi do końca żywego słowa i kontaktu, dlatego też zebrania oraz spotkania w tzw. „realu" czy slajdowiska nadal się sprawdzają, choć wymagają większej inwencji od ich organizatorów w wymyśleniu miejsca i tematyki spotkań. Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że emotikony nie zastąpią prawdziwych emocji, gestów, wyrazu twarzy, sposobu mówienia, żywej rozmowy.

Dziś trudno sobie wyobrazić nawet nam, znającym dawne czasy, w jaki sposób bez internetu i komórek oraz przy małej ilości telefonów stacjonarnych dało się organizować imprezy, umawiać na wyjazdy czy np. znaleźć się w dalekich krajach i górach po rozdzieleniu się grupy czy przy podróżowaniu stopem. A jednak się dało, choć wymagało to więcej przygotowań i przewidywania różnych sytuacji.

ZMIANY W KRAJOBRAZIE

Zmieniło się też to, co wydawało się zupełnie niezmienne – krajobrazy naszych gór. Tam, gdzie był dorodny las, są wykarczowane, puste przestrzenie. W innych miejscach polany zarosły krzakami. Stoki gór przecinają szerokie, szutrowe,

a czasem nawet asfaltowe drogi do zwożenia drewna. To wszystko efekt wielkiej tragedii beskidzkich lasów. Pozostaje nadzieja, że tak jak odrodził się las w Górach Izerskich po podobnych zniszczeniach z lat 80. XX w., tak za 20–30 lat nowe lasy wyrosną na stokach Baraniej Góry, Wielkiej Raczy czy Policy.

Nie odwrócimy raczej zmian związanych z wkraczaniem cywilizacji na górskie grzbiety i w doliny. Wygodne drogi przecinające górskie pasma ułatwiają wprawdzie komunikację i pozwalają szybciej dotrzeć w góry, ale też nieodwracalnie zmieniają krajobraz, zakłócają górską ciszę, dzielą grupy górskie na odrębne rejony. Dawniej schodziło się z Beskidu Żywieckiego czy Małego w dolinę Soły lub Skawy, przekraczało się drogę w dowolnym miejscu i ruszało się w Beskid Śląski lub Makowski. Dzisiaj trzeba znaleźć miejsce, gdzie da się przekroczyć drogi szybkiego ruchu, by wyruszyć w sąsiednie pasmo górskie.

W wielu wysoko położonych miejscach powstają całe osiedla – już nawet nie dacz, ale całkiem okazałych domów, a nawet rezydencji. A skoro powstają domy, to muszą też powstawać drogi dojazdowe. I tak Beskidy stają się coraz mniej dzikie, coraz łatwiej dostępne.

Powszechnym i trudnym do wytępienia zjawiskiem stały się pojazdy silnikowe typu motocykle, quady, skutery śnieżne. Kiedyś, gdy wyruszyło się ze stacji kolejowej czy przystanku PKS na szlak, miało się pewność, że oddala się od cywilizacji wraz z jej hałasem, smrodem spalin, zagrożeniami. Z każdym krokiem czuliśmy się bardziej wolni. Teraz trudno odbyć wycieczkę, by nie spotkać na szlaku

Grupa rajdowa na Turbaczu. ERG 1980

warczących motorów, samochodów terenowych, a zimą skuterów śnieżnych. To zmienia zupełnie nasze poczucie bycia w górach wolnym i bezpiecznym.

RÓŻNE STYLE GÓRSKIEJ AKTYWNOŚCI

Co jeszcze się zmieniło? Chyba to, że powstało wiele tzw. aktywności, które leżą gdzieś na pograniczu turystyki i sportu – biegi górskie, MTB, skitouring i wszelkie ich odmiany, a także dyscypliny łączące różne formy aktywności, jak różnego typu zawody i biegi przygodowe. Część osób, również z naszego grona, prócz klasycznej turystyki uprawia również te stosunkowo nowe dyscypliny.

Studencka turystyka z lat 60. czy 70. była dyscypliną bardziej masową i uprawianą w bardziej zorganizowanych formach niż dziś. W tamtych czasach uczelniane lub wydziałowe rajdy liczyły od 100 do kilkuset uczestników, dziś 50 osób to już duża impreza. Dużą popularnością cieszyły się też letnie obozy wędrowne organizowane głównie przez Studenckie Koła Przewodnickie, a dystrybuowane w uczelniach całej Polski przez studenckie biuro turystyczne Almatur. Dzięki temu na takich obozach można było poznać ludzi z różnych zakątków kraju. Dziś turystyka górska albo przegrywa z innymi formami wypoczynku, albo można ją realizować w dowolnych górach kraju, Europy i świata indywidualnie. Ponadto nie jest prostą rzeczą spełnić wszelkie obowiązujące obecnie wymogi prawne podczas organizacji przedsięwzięć typu obozy.

ZMIANY W NAS

Współczesne czasy cechują się znacznie większym indywidualizmem niemal we wszystkich dziedzinach. Personalizacja potrzeb w życiu codziennym i ogromny wybór sposobów ich zaspokajania ma również odbicie w turystyce. Coraz trudniej godzimy się na kompromisy, coraz trudniej znaleźć wspólny cel wyjazdu i wspólny styl jego realizacji. Nawet kwestia wspólnego żywienia stwarza problemy. Z jednej strony to dobrze, że możemy robić to, co lubimy, i w taki sposób, jak lubimy i możemy. Z drugiej strony trochę żal, że wędrujemy coraz częściej samotnie lub w bardzo wąskim towarzystwie.

Poczucie wolności i oderwania od codzienności zmieniły też telefony komórkowe, a obecnie dostępny wszędzie internet. Oczywiście, że zwiększają one bezpieczeństwo i dostęp do informacji, ale zarazem zabierają coś, co trudno opisać – poczucie niezależności i „niebycia" na uwięzi. Ale nawet obecnie można sprawdzić to uczucie, wybierając się w góry bez telefonu (najlepiej uprzedzając o takim ekstremalnym eksperymencie rodzinę i znajomych).

Na szczęście nie zmieniło się to, co najważniejsze – entuzjazm w poznawaniu gór, niezważanie na trudy i nie zawsze komfortowe warunki wędrowania czy noclegu, chęć przeżycia przygody w gronie przyjaciół. Nawet te wspólne imprezy przy gitarze przypominają mi atmosferę taką jak przed laty. Zmienił się nieco repertuar, co jest naturalne, ale nadal można usłyszeć w wykonaniu kolejnych pokoleń stare, niezniszczalne turystyczne przeboje.

Turystyka sprzed 30, 40 czy 50 lat była zapewne bardziej siermiężna i może naiwna, ale miała w sobie sporo spontaniczności, bezpretensjonalności i pasji. Może dlatego wiele osób z tamtych pokoleń kontynuuje te pasje do dziś. I oby dzisiejsze młode pokolenia przekazywały te tradycje dalej.

Spotkanie dwóch tras – młodych Harnasi i Mamutów na ERG-u 2016 w Górach Stołowych

Zdjęcia autora

JACEK GINTER

WSPOMNIENIE Z WĘDRÓWKI

Tyle lat już fotografuję i rzadko zdarza mi się wybrać na wycieczkę bez aparatu – nawet w najgorszą pogodę – a dopiero teraz zauważam, jak ograniczone są możliwości zarejestrowania na fotografii tego, co przeżywamy podczas wędrówek.

Szedłem ostatnio – po raz pierwszy zresztą – odcinkiem granicznego szlaku z Korbielowa na Mędralową. Wszedłem na Weskę i schodząc z niej, trafiłem na piękną polanę z rozległym widokiem. Pogoda była typowo złoto-jesienna i choć był już koniec października, można było iść w koszulce z krótkim rękawem. Wychodząc na polanę, pomyślałem sobie, że to jest właśnie to, że tego właśnie mi trzeba i po to właśnie chodzę po górach, by cieszyć się takimi chwilami, takimi widokami i takimi miejscami. Zatrzymałem się na dłuższą chwilę, żeby się posilić. Nie zrobiłem jednak w tym miejscu ani jednego zdjęcia. Pomimo że miałem w plecaku różnego typu obiektywy, stwierdziłem, że nie ma sensu robienia zdjęć, gdyż nie ma tu nic, co dałoby się sfotografować. Wydało mi się to paradoksalne, ale był to fakt. To co mnie wzruszyło w tym miejscu, to nie był fotogeniczny widoczek. Na urok tej chwili składało się bowiem wiele różnego rodzaju czynników, których na zdjęciu nie sposób oddać – i ciepło październikowego słońca, i powiew wiatru, i odgłosy szumiących traw, lasu, szczekających w oddali psów, i poczucie przestrzeni, którą zawsze, gdy wychodzę na rozległą, widokową halę odczuwam jako synonim wolności i swobody, i to dziwne pomieszanie pewnego napięcia z poczuciem całkowitej swobody, gdy wędruje się samotnie.

Tak, fotografować można panoramy, fotografować można widoki lub zabytki, ale tego wszystkiego, co przeżywamy, sfotografować się nie da. I dlatego nie zawsze, gdy ogarnia nas zachwyt, warto sięgać po aparat i pstrykać bez umiaru zdjęcia. Czasem lepiej cieszyć się w pełni chwilą i nastrojem, które pozostaną tylko nasze. Na zdjęciu zwykle i tak nie wyjdzie nam to, co chcieliśmy utrwalić.

I musimy też wiedzieć, że nawet za najpiękniejszym zdjęciem kryje się dużo więcej, niż na nim widać. Ale o tym wie tylko autor.

I odwrotnie – czasem ze wspaniałych wędrówek przywozimy takie sobie zdjęcia i to nie zawsze z winy braku fotograficznych umiejętności.

Pod wieczór – czyli ok. 16.30 – doszedłem na Mędralową, na halę, z którą wiążę wspomnienia moich pierwszych rajdowych tras. Wtedy była to tylko jakaś hala, którą mijaliśmy w drodze na Babią. Jej nazwa nie od razu zapadła mi chyba w pamięć, tak jak to zwykle bywa przy pierwszych spotkaniach. Teraz jest to stara znajoma. Był najwyższy czas, aby się zatrzymać, coś zjeść, napić się i odpocząć. Minąłem resztki starego szałasu i zaszedłem do nowego. Przede mną był jeszcze kawałek drogi, której celem był czerniejący naprzeciwko Lachów Groń. Przyniosłem wody ze źródła, rozpaliłem w szałasie miniaturowe ognisko, tak by w miarę szybko ugotować menażkę herbaty. W tym czasie zrobiłem kanapki z razowca. Na zewnątrz zaczęło nieźle wiać, ale w bacówce było spokojnie. Przez cały dzień nie spotkałem na szlaku ani jednego turysty i teraz pewnie też najbliższy człowiek znajdował się parę kilometrów ode mnie. Pomyślałem, że właściwie nie byłoby źle, gdybym tu został i spędził ten wieczór i noc samotnie. Wreszcie miałbym dużo zupełnie wolnego czasu na myślenie, na wsłuchanie się w góry i w siebie. Człowiekowi potrzebne są czasem takie chwile, gdy nic go nie rozprasza – ani codzienne problemy, ani obecność innych ludzi – choćby najbardziej lubianych i najbliższych.

A jednak zwyciężyła we mnie potrzeba towarzystwa. W zapadającym już zmroku pożegnałem Mędralową i przez Kolisty, Klekociny i Czerniawę, w porywach coraz silniejszego wiatru poszedłem na Lachów, gdzie w szałasie spotkałem znajomych.

JACEK GINTER

Z PAMIĘTNIKA PRZEWODNIKA

Rok 1982 był pierwszym rokiem stanu wojennego. Smutny czas, w którym mimo wielu ograniczeń nadal próbowaliśmy robić to co dotychczas. Byłem dwa lata po otrzymaniu blachy, z czego prawie rok spędziłem w wojsku. Tak naprawdę zaczynałem dopiero swoją działalność w Kole. Był to zatem rok, w którym poprowadziłem swój pierwszy obóz, zorganizowałem pierwszy wyjazd w Beskid Makowski, po raz pierwszy byłem w górach Rumunii oraz uczestniczyłem w XV-leciu Koła.

Poniżej spisałem z prowadzonego wówczas dziennika kilka relacji z wyjazdów zrealizowanych w owym czasie. W tekście wyróżniłem pewne szczególne fakty, które odróżniają tamte czasy od dnia dzisiejszego i współczesnych realiów lub po prostu zmiany, które zaszły w naszym otoczeniu.

17.02.1982

Dwa dni urlopu przesiedziałem w domu, a dzisiaj jestem już w górach na Leskowcu. Jest w zasadzie to, o co mi chodziło – cisza, spokój, piękna pogoda, prawie puste schronisko. Szkoda tylko, że wyciąg nie chodzi no i nie można dostać nic do zjedzenia. W tej sytuacji nie wiem, czy nie przeniosę się w piątek na Klimczok. W sobotę chciałbym dostać się do Szczyrku, wjechać na Skrzyczne i trochę na nartach (zjazdowych), a trochę na nogach dotrzeć przez Baranią na Pietraszonkę. W sobotę jest bowiem święto chatki.

18.02.1982

Dzisiaj wybrałem się pieszo przez Magurkę Ponikiewską do Czartaka. Na Żarze jest ładna grupa skałek z triangulem na ich szczycie. W Czartaku zjadłem obiad i poszedłem do Gorzenia obejrzeć dworek i muzeum Emila Zegadłowicza. Niestety znajduje się on w fatalnym stanie i jest zamknięty. Okna są powybijane, na drzwiach

kartka informująca, że muzeum nieczynne do odwołania, a ekspozycja jest w trakcie likwidacji.

3.03.1982

Udało mi się zrealizować moje plany. W piątek ok. godziny 14.00 dotarłem na Klimczok. W sobotę zjechałem z Klimczoka do Szczyrku Biłej przez las i dotarłem pod wyciąg na Skrzyczne. Strasznie zmarzłem, stojąc w kolejce, a potem jadąc tym wyciągiem. Pogoda była nie najlepsza – mróz, niski pułap chmur, wiatr. Na Skrzycznem zjadłem coś i dopiero o 13.40 wyruszyłem na trasę. Tam na górze pogoda wyglądała lepiej i nawet zaczęło wyglądać słońce. Do Małego Skrzycznego było więcej dreptania niż jechania. Zjazd z Małego był przyjemny, potem krótkie, choć strome podejście na Malinowską Skałę i bardzo przykry zjazd. Przecinka była cały czas szeroka i sam zjazd niezbyt stromy, ale przeszkadzały dziury wydeptane butami wprost na śladzie narciarskim. Obok śladów śnieg był świeży, nawiany, trudny do zrobienia jakichś ewolucji – zwłaszcza z ciężkim plecakiem. W rezultacie zjechałem z tej Malinowskiej Skały w stylu rozpaczliwym, ale jakoś się wyratowałem od upadku.

Potem było bardzo długie podejście na Zielony Kopiec. Zjazd z niego – początkowo łagodny – w końcowym fragmencie stał się dość ostry. Jechałem oczywiście na krechę, no i na samym końcu nie wytrzymałem i wyrypałem dość ostro. Narty wypięły się chyba ciut za późno, bo poczułem ból w biodrze. Na szczęście okazało się, że mogę się normalnie poruszać, ale stwierdziłem, że na takie wycieczki nie powinno się wybierać samotnie. Przejechałem jeszcze na nartach przez dwa małe garbiki w grzbiecie aż do przełęczy pod Magurką Wiślańską. Tam zmieniłem buty i dalej poszedłem pieszo. Zresztą czekało mnie więcej podejścia niż zejścia, a zjazd z Magurki byłby więcej niż nieprzyjemny. Na Baraniej byłem ok. 17.15, więc planowo. Słońce już zaczęło zachodzić. Zresztą o zjechaniu z Baraniej nie było co marzyć. Byłem zbyt zmęczony, by ryzykować zjazd z Baraniej na nartach, zwłaszcza, że niewiele tego dnia jadłem i piłem. Schodziłem dość długo, bo w chatce byłem o 19.00.

Impreza była fajna, choć ludzi nie było tyle co zwykle, bo ok. 70 osób. Spać poszedłem ok. 3.00.

W niedzielę były zawody narciarskie. Była wspaniała pogoda. Nie startowałem ani nie jeździłem zbyt wiele, ale za to porobiłem trochę zdjęć.

Pechowo wyglądała moja podróż powrotna. Zeszliśmy we dwójkę z takim Jackiem do Wisły Głębce na pociąg o 17.04. Wyruszyliśmy planowo, ale w Ustroniu pociąg jak stanął, tak stał jakąś godzinę. W końcu dowiedzieliśmy się, że między Ustroniem a Skoczowem wykoleił się pociąg towarowy i możemy tak postać parę godzin. Poszliśmy więc na autobus. Spotkaliśmy przy okazji jeszcze jednego znajomego z chatki. Na dworcu PKS staliśmy z godzinę bez rezultatu. Albo

autobusy się nie zatrzymywały, albo nie było szans się wepchać. Wróciliśmy więc na pociąg, spotkaliśmy jeszcze jednego znajomego i zrobiliśmy ze wspólnych zapasów, na które składały się: pół chleba, masło, dżem i butelka jabola skromną kolację. A pociąg nadal stał. Doczekaliśmy tak do 1.00, kiedy to zapowiedzieli, że pociąg do Katowic odjedzie. Zanim to nastąpiło, minęło kolejnych kilkadziesiąt minut. Ruszyliśmy przed drugą. W domu byłem o piątej rano.

14–16.05.1982

Wyjazd w Beskid Makowski. Do końca nie wiedziałem, ile osób pojedzie. Ze mną było w rezultacie 10 osób: Basia „Jelon" Jelonek, Ola Łyszczak (kursantka), Anka Sikora (kursantka), Renata Graca, Marek „Młody Klucha" Kluszczyński, Jasiu Kowalik, Jurek Kotynia, Jurek Sarna i ja. W sobotę rano dojechała jeszcze Helena Strokowska zwana Iśką. Zajechaliśmy do Suchej ok. 19.00. Ok. 20.00 byliśmy na miejscu biwaku na polance pod Mioduszyną. Zanim zabraliśmy się za prace biwakowe musieliśmy nacieszyć się panoramą z zachodzącym słońcem. Potem dziewczyny poszły po wodę do pobliskich chałup, a my rozbiliśmy obóz. Po kolacji było ognisko i mały konkursik połączony z rozdaniem znaczków, które zrobiłem specjalnie na ten wyjazd.

Panoramka na pierwszym wyjeździe w Beskid Makowski. Od lewej: Ola, Renata, Jurek Kotynia, Anka Sikora, Jasiu Kowalik, Jurek Sarna, Basia Zygmańska

Rano zwinęliśmy się dosyć szybko i już o 9.10 byliśmy w drodze. Weszliśmy na Mioduszynę, gdzie co niektórzy próbowali zdobyć triangul, ale bez powodzenia, bo był zbyt niepewny. Potem poszliśmy grzbietem w stronę Koskowej Góry. Prawie cały czas mieliśmy widoki – w prawo na Babią i Policę, w lewo na Pasmo Chełmu i Beskid Mały. Na Koskowej byliśmy ok. 14.00. Kupiliśmy w chałupie 5 l kwaśnego mleka i nabraliśmy wodę. Na samym szczycie zaczęło się panoramowanie. Widok jest stąd rzeczywiście fantastyczny – dookolny: Beskid Wyspowy, Gorce, Pasmo Babiogórskie, Beskid Żywiecki, Śląski, Mały i Makowski. Niestety widoczność była zbyt słaba, żeby ujrzeć Tatry. Zaczęły padać niepokojące propozycje, żeby rozbić się już tutaj. Jakoś jednak udało mi się nakłonić towarzystwo, aby zrobić jakieś żarełko i iść dalej. Ponieważ w trakcie posiłku widoczność się polepszyła, wyszliśmy jeszcze raz na szczyt, by kontynuować burzliwe dyskusje nad szczegółami i szczególikami panoramki. Nie wiem, jakim cudem oderwaliśmy się od tego widoku, ale ruszyliśmy chyba ok. 17.00. Poszliśmy na Parszywkę i trochę chaszczując zeszliśmy na dział łączący Parszywkę z Babicą. Od ludzi dowiedzieliśmy się, gdzie na stokach Babicy jest źródło. Wkrótce trafiliśmy do niego ok. 50 m poniżej grzbietu. Wieczór był znów wspaniały, szkoda tylko, że widok na południe zasłaniał grzbiet Koskowej. Zrobiliśmy ognisko i zaczęliśmy przygotowywać pieczonki. Na koniec kocioł przykryliśmy darnią i powiesiliśmy nad ogniem. Piekły się ponad godzinę. W tym czasie zrobiliśmy czerwony barszczyk z jajkiem.

No i zaczął się konkurs złożony z kilku części przeplatanych śpiewaniem. Pierwsza część dotyczyła znajomości Beskidu Makowskiego, druga odgadywania pokazywanych na migi nazw szczytów, trzecia znajomości piosenek turystycznych. Konkursy były zespołowe. Wygrała grupa Jelona, Jasia i Oli. Nagrodą był Makowiec – jako że byliśmy w Beskidzie Makowskim. W tym czasie zdążyliśmy upiec drugi kocioł pieczonek, które wyszły chyba jeszcze lepiej niż pierwsze. Spać poszliśmy przed drugą.

W niedzielę wstaliśmy o 7.30. Pogoda była nadal piękna, a do tego Jurek, który zrobił spacer na szczyt Babicy, przyniósł wiadomość, że widać Tatry. Rzeczywiście było je widać – od Bielskich po Gerlach. Na trasę ruszyliśmy po 10.00. Po drodze obejrzeliśmy dwa stare cisy w Chodnikówce, a potem przez przeł. Sanguszki i Groby doszliśmy do Lanckorony. Tu zjedliśmy obiad, a potem weszliśmy na zamek, skąd również ujrzeliśmy Tatry. Było już mało czasu, więc zbiegliśmy w dół na przełaj, a potem jedną z dróżek kalwaryjskich doszliśmy do klasztoru w Kalwarii. Nie zdążyliśmy go już zwiedzić, bo trzeba było pędzić na pociąg. Powrót nie był zbyt przyjemny, bo pociąg był zatłoczony.

W sumie wyjazd był udany, a Beskid Makowski okazał się bardzo fajną grupą górską, na którą warto zwrócić więcej uwagi, zwłaszcza gdy chce się uciec od tłumu turystów, wycieczek, rajdów zalewających inne góry.

26.06.1982

Były już kwalifikacje na obozy i mam prowadzić z Gośką Sikorą I turnus RB (Rozśpiewane Beskidy) od 16 do 29 lipca. Jeśli dobrze pójdzie, to zaraz potem mam wyjechać do Rumunii. Cieszę się z tego RB, bo to mój pierwszy poprowadzony obóz. Pozna się trochę ludzi z różnych stron Polski.

10.07.1982

Tydzień temu, w sobotę, byłem na rajdzie organizowanym przez kursantów dla przewodników. Przewodnicy niezbyt dopisali, bo było nas na trasie pięciu, a na zakończeniu chyba sześciu. Szliśmy z Milówki przez Zabawę i Małą Zabawę do Rycerki i dalej przez Hutyrów do Danielki. Pogoda była nie do chodzenia. Strasznie prażyło. W chatce byliśmy ok. 17.30. Kursanci spisali się nieźle, a ich wielką zasługą było załatwienie 240 butelek „Żywca". Ale program na tym się nie kończył, gdyż po kolacji były przeźrocza o historii chatki w Danielce i z tegorocznego kursu. Potem zaczęło się ognisko, na którym było parę fajnych konkursów, no i właśnie piwo w dowolnych ilościach. Impreza trwała do świtu. A rano, gdy wstałem, tzn. koło 10.00, pogoda była już niewyraźna. Chłopcy zaczęli wynosić po kolei wszystkie dziewczyny do potoku Danielki. Zdarzył się przy tym przykry wypadek, gdyż jednej dziewczynie spoza naszej grupy wyskoczyła rzepka w kolanie, gdy Belfegor wkładał ją do wody. Strasznie wrzeszczała przy najmniejszym ruchu i z trudem udało się ją przenieść do chatki. Potem chłopcy pojechali do Ujsoł i wezwali pogotowie z Żywca. Poza tym zaczęło lać, w związku z czym przeczekaliśmy w chatce i dopiero po południu poszliśmy na autobus.

24.08.1982

Jestem już po RB i Rumunii.

Zaczęło się od tego, że w czwartek w pracy zadzwonił telefon i jakaś dziewczyna, która okazała się jedną z uczestniczek, zwracając się do mnie na „pan", chciała się umówić na dojazd, bo nie chciała jechać sama. Dziwnie się umawialiśmy, bo nie wiedzieliśmy, jak wyglądamy i jak się rozpoznać na peronie w Katowicach. W końcu jednak rozpoznaliśmy się. Spotkałem też na dworcu Marcina Małkowskiego, który jechał do Wisły. Dojechaliśmy więc do Wisły we trójkę, a potem szliśmy już we dwójkę na Pietraszonkę. Ta dziewczyna miała na imię Bożena, mieszkała w Gliwicach, kończyła studia na matematyce w Katowicach i okazała się bardzo fajną uczestniczką – została zresztą szefową kuchni. Pierwszego dnia, w piątek wszyscy się dopiero zjeżdżali. Gośka z Jolą i Dorotą oraz Szymonem, czyli waletami, przytargały z Wisły trochę żarcia niereglamentowanego. Potem przyjechał Janusz Mroczek, który był wraz z Kowalikiem pełnomocnikiem,

i przywiózł przydziałową żywność – masło, mięso itp. oraz listę, na którą mogliśmy później dokonywać w Żywcu zakupu tej żywności. Było tego na tyle dużo, że wystarczyło nam do końca obozu bez problemów. Pieniędzy też starczyło, a stawka wynosiła 150 zł/os./dzień.

W sobotę zrobiliśmy krótką wycieczkę niby na jagody (choć niewiele ich nazbieraliśmy) stokami Gańczorki i Tynioka do Górnej Kamesznicy, na grzbiet Szarego, znów do Kamesznicy i żółtym z powrotem do chatki.

Wieczorem dojechała reszta ludzi. Mieliśmy więc komplet: 15 + 2 (tzn. ja i Gośka) + 3 waletów stałych i nieokreślona liczba waletów dojeżdżających (głównie przewodników). Większość ludzi była z Łodzi, chyba 4 osoby z Gdańska, 2 z Gliwic i 1 z Katowic (chodzi o uczelnie). W sobotę dojechał też Jasiu Kowalik, Stasiu Krawiec z kolegą i Jurek Sarna.

Wieczorem postanowiłem urządzić numer z jaskinią pod Gańczorką, wykorzystując wiadomości z przeczytanej dopiero co książki o poszukiwaczach skarbów w XVII i XVIII w. (*Skarby króla Gregoriusa*). Najpierw ukryliśmy „skarb" w postaci 3 placków ciasta w jaskini i jej okolicach i przygotowaliśmy nad jaskinią na Gańczorce ognisko. Potem wróciliśmy do chatki i po kolacji zrobiliśmy małą pogadankę na temat poszukiwania skarbów, po czym wyruszyliśmy na poszukiwania. Mieliśmy też ducha, za którego zgodził się robić Janusz Mroczek. Przed samą jaskinią kazaliśmy uczestnikom samodzielnie zacząć szukać. Było trochę emocji, ale skarb został znaleziony, a następnie skonsumowany przy ognisku. Zrobiliśmy też naukę naszych imion tradycyjną metodą powtarzania w kółko. W sumie wyszło to całkiem fajnie. Na ognisku ujawniło się dwoje gitarzystów – Sławek, który zasłynął potem piosenką „Deszcz bossanova" i Bożenka, której sztandarowym przebojem stała się piosenka o ogórku.

W niedzielę część ludzi poszła rano do kościoła, reszta wyszła nieco później ze mną i spotkaliśmy się na Stecówce. Zeszliśmy potem do Zaolzia, dalej poszliśmy do Istebnej. Zwiedziliśmy tradycyjnie kościół, Izbę Kawuloka, gdzie spotkaliśmy po raz pierwszy obóz szkoleniowy z SKPT Gdańsk oraz Izbę Regionalną Haratyka w Koniakowie.

Potem niebieskim szlakiem wracaliśmy do chatki. Po tym wydawałoby się spacerowym dniu ludzie byli wyjątkowo zmęczeni i niektórzy trochę narzekali. W dodatku Gośkę ugryzł jakiś owad i rozchorowała się trochę.

W poniedziałek Gośka pojechała więc z trzema osobami autobusem, a ja z resztą grupy wyruszyliśmy przez Baranią i Malinów na Karkoszczonkę. Pogoda była piękna, a ludzie szli ku mojemu zdziwieniu bardzo dobrze. Zatrzymaliśmy się przy jaskini pod Malinowem i zwiedziliśmy ją, a potem zeszliśmy na przeł. Salmopolską. Wszyscy chcieli iść do końca górami, więc poszliśmy dalej przez Kotarz aż na Karkoszczonkę. Tym razem mimo naprawdę męczącej drogi wszyscy byli zadowoleni. Myślę, że ci, którzy najwięcej jęczeli, pojechali autobusem. Zresztą postanowiłem nie przejmować się jęczeniem, bo jeśli ktoś wybrał się na obóz wędrowny, to wiedział dobrze, że trzeba będzie chodzić, i to z plecakiem.

Na Karkoszczonce było bardzo fajnie – przede wszystkim mili ludzie z obsługi. Na drugi dzień, czyli we wtorek, zrobiliśmy dzień luzu. Każdy mógł iść, gdzie chciał. A wieczorem było ognisko.

W środę poszliśmy dalej, przez Klimczok do Bystrej, gdzie obejrzeliśmy Fałatówkę, a potem do Mikuszowic (kościółek był niestety zamknięty) i na Rogacz.

Dojechali tam Włodek Wróblewski i Włodek Wojtkowiak. Poza tym pojawiły się kolejne talenty muzyczne – Jacek i Jola (z Łodzi). Na Rogaczu było bowiem stare i niemiłosiernie rozstrojone pianino. Poza tym Jola ujawniła swój talent aktorsko-recytatorski. W czwartek szliśmy na Potrójną. Droga była długa, a pogoda upalna i w rezultacie w Czernichowie połowa grupy postanowiła jechać autobusem. Odjechała od nas w tym dniu Jola Graca (Ginter), choć potem znów przyjechała na Markowe wraz z siostrą Renatą.

Na trasie zostało nas 8 osób. Przy najbliższym potoku urządziliśmy obiad, a dziewczyny poszły po mleko i przyniosły przy okazji trochę miodu do spróbowania.

W chatce byliśmy dość późno. Oczywiście ludzi było dużo, miejsca do spania mało, a szefowa chatki Grażyna początkowo wyglądająca na dość miłą i rozsądną okazała się niezbyt miła, gdy doszło do rozmów na temat ceny noclegu. Obecnie nocleg w chatce kosztował 100 zł, ale nasz obóz był preliminowany przed podwyżką i mieliśmy na noclegi po 50 zł. Miałem też pisemko z Almaturu z prośbą o obniżenie ceny. Grażyna powiedziała, że obniży nam cenę, ale musimy popracować. Mieliśmy rąbać drzewo.

Obóz Rozśpiewane Beskidy na trasie

W piątek zrobiliśmy na życzenie znowu dzień luzu. Część osób pojechała po żywność do Żywca, część do Oczkowa nad wodę, a reszta została. Z Włodkami było nas pięciu chłopaków. Zabraliśmy się za rąbanie ok. 9.00 i rąbaliśmy na zmianę do 12.00 po czym postanowiliśmy wybrać się na mały spacer. Poszliśmy wszyscy na Łamaną Skałę, a potem rozłożyliśmy się na jakiejś polance. Wróciliśmy ok. 17.00. Tymczasem gdy czekaliśmy na obiad, szefowa zaczęła przebąkiwać, że mało pracowaliśmy i trzeba by jeszcze porąbać tego drzewa.

Po obiedzie powiedziałem Maćkowi i Mariuszowi, którzy byli w Oczkowie i rano nie pracowali, żeby porąbali trochę tego drzewa i chłopcy rąbali aż do zmroku.

Wieczorem było ognisko.

Rano były natomiast problemy, bo przyszło do płacenia. Grażyna uważała, że za mało pracowaliśmy. Po długich dyskusjach z ciężkim sercem wypisała jednak rachunek.

Oczywiście zrelacjonowałem całą historię Januszowi i następne turnusy otrzymały pisemko z Almaturu katowickiego (a nie gliwickiego) i nie z prośbą, a z poleceniem udzielenia zniżki do 50 zł za nocleg.

W sobotę zeszliśmy do Krzeszowa i złapaliśmy autobus o 12.00 do Suchej. Tam odwiedziliśmy oczywiście karczmę, gdzie zafundowaliśmy obiad. Za jakieś 110 zł można było naprawdę dobrze zjeść – zupa, drugie danie, deser, herbata, woda firmowa. Nie było niestety piwa.

Z Suchej pojechaliśmy do Zawoi. Ja wysiadłem wcześniej w Widłach, żeby załatwić pozwolenie na WOPie na wejście na Babią. Potem poszedłem do Lajkonika i czarnym szlakiem na Markowe. Wspaniale było na Dejakowych Szczawinach – ten potok i mnóstwo kwiatów. Tak ukwieconą Babią widziałem chyba pierwszy raz. Na Markowych nie było jeszcze naszych, ale był Janusz, Rysiek Sikora (brat Gosi, z którą prowadziłem) z Basią, Renata i Jola.

Reszta doszła ok. 19.00. W schronisku było nieco więcej porządku niż ostatnio, ale nadal to jeszcze nie to, co powinno być. W niedzielę poszliśmy do Zubrzycy zwiedzić skansen i zjeść jakiś obiad w knajpie.

Natomiast w poniedziałek postanowiliśmy iść na wschód słońca na Babią. Wstaliśmy chyba o 3.00 i cicho wymknęliśmy się ze schroniska. Było nas sporo, bo ok. 18 osób. Nie poszły 3 osoby – Basia z Jackiem i Hanka. Na Bronę szliśmy po ciemku. Razem z Januszem staraliśmy się od początku zachować pełną dyscyplinę i zasady metodyki ze względu na to, że to jednak noc i w końcu Babia. Dotąd nie trzymałem ludzi zbyt krótko, pozwalałem szybciej chodzącym iść przodem (choć starałem się, aby na końcu zawsze szedł ktoś pewny).

Wschód na Babiej był udany. Może samo słońce nie wzeszło rewelacyjnie, ale widok był wspaniały – całe Beskidy, Wyspowy, Gorce, Orawa, częściowo gdzieś tam majaczyły Tatry. Janusz wziął juwel i ugotowaliśmy herbatkę. Zeszliśmy ok. 7.00.

Ok. 12.00 poszedłem jeszcze raz na Babią z tymi, którzy nie byli. Poszedł też jeszcze raz Szymon. Tym razem szliśmy Akademicką Percią, podziwiając niesamowite bogactwo roślinności. Ale widoczność była już dużo gorsza niż rano. Reszta ludzi robiła w tym czasie, co chciała. Wiem, że część była na jagodach na Hali Czarnego, a część z goprowcem Stefanem poszła do Żlebu Poszukiwaczy Skarbów. Po południu obejrzeliśmy Muzeum Turystyki, a wieczorem pośpiewaliśmy przed schroniskiem.

We wtorek szliśmy do Lachowic. Parę osób pojechało do Żywca po żywność. Pogoda była chyba po raz pierwszy brzydka – padało i była mgła. A szkoda, bo to ładna trasa. Ku mojemu zdziwieniu zrobiliśmy ją w ciągu 5 godzin. Ale to dlatego, że lało i nie zatrzymywaliśmy się ani na krótkie, ani na dłuższe odpoczynki.

Z grupą, która przyjechała z Żywca, przyszła też Sławka z Markiem. Sławka zrezygnowała z obozu na Potrójnej. Dziewczyna była słaba w chodzeniu po górach, za to szybka do chłopaków i właśnie na Potrójnej poznała Marka i z tego względu została. Miała właśnie jechać do domu, ale spotkawszy w Żywcu ludzi z obozu, postanowiła wrócić z nimi.

W Lachowicach był wieczór przy kominku, a na drugi dzień poszliśmy na Lasek. Szliśmy przez Cichą i Koszarawski Groń, na którym było sporo jagód, malin, dzikich czereśni. Jola z Gośką pojechały do Żywca kupić coś dobrego na zakończenie. Kupiły ciastka, owoce, ciasta, ale nie dostały nigdzie alkoholu. Początkowo w salonie była jakaś rozkrzyczana grupa, więc siedzieliśmy na górze, ale potem salon się zwolnił i dziewczyny przygotowały porcje ciastek, kisielu i czegoś tam jeszcze, pozapalały świeczki i dopiero wtedy zawołały wszystkich na dół. Po konsumpcji było śpiewanie, potem jeszcze jakieś zabawy, a koło północy jedliśmy jeszcze pieczonki. Skończyliśmy późno w nocy. Rano wstałem z Gośką, Jolą i Renatą bardzo wcześnie, bo chcieliśmy być wcześnie w domu. Ja miałem przecież wyjazd do Rumunii, a dziewczyny też gdzieś wyjeżdżały w najbliższym czasie.

29.09.1982

Na ERG wyjechaliśmy już w środę na noc. W Świdnicy byliśmy ok. 6.00. Zwiedziliśmy miasto i przede wszystkim kościół Pokoju. Wyjechaliśmy stamtąd do Książa dopiero ok. 10.00. W Książu umówiłem się z Gośką i Grażyną z Gdańska i Ewą z Sokołowska. Z Książa do Zagórza Śl. był spory kawałek, a wyszliśmy ok. 13.00. Po drodze zatrzymaliśmy się nad jeziorkiem Disy. Z Pogorzały ja i Wojtek poszliśmy szybciej, aby potwierdzić rezerwację noclegów w schronisku młodzieżowym w Zagórzu. Doszliśmy tam już po zmroku, po godz. 19.00. Reszta grupy doszła z Mirkiem do Lubachowa, a potem podjechali autobusem i byli jakieś 30–40 min po nas. Nocleg za jedyne 28 zł był naprawdę kulturalny. Nazajutrz obejrzeliśmy zamek, spotkaliśmy grupę Tomasza „Tomaszka" Piaseckiego

i wspólnie zbudziliśmy trasę Piotra Michnola, który uprawiał turystykę autobusowo -rozrywkową (byli podobno w Wałbrzychu w kinie i kabarecie). Z Zagórza podjechaliśmy do Walimia, a stamtąd podchodziliśmy żółtym szlakiem na Wielką Sowę. Na szczycie spotkaliśmy trasę Janusza Mroczka. Posiedzieliśmy tam trochę i zjedliśmy coś. Nawiasem mówiąc, musiałem namawiać ludzi, żeby zrobili coś ciepłego do jedzenia, bo nie było nikogo, komu chciałoby się cokolwiek zrobić. Za to jeść chcieliby wszyscy, jak już się coś upichci.

Doszliśmy tego dnia do Zygmuntówki pod przeł. Jugowską. Dostaliśmy nocleg na podłodze, co całkiem nas urządzało i zaczęliśmy organizować ognisko. Obok schroniska biwakowała w namiotach grupa Janusza. Oni też przyłączyli się do ogniska. Gdy wróciliśmy ok. 1.00 do budynku, okazało się, że połowę placu w świetlicy zajmowała już jakaś inna grupa i było trochę ciasno. Mirek i Wojtek wynieśli się na zewnątrz, na taki daszek pod oknami świetlicy. Postanowiłem iść w ich ślady, bo nie lubię spać w tłoku i zaduchu. Jasiu Kowalik ułożył się natomiast na betoniku pod schroniskiem (miał karimat). Najlepsze, że zapłaciliśmy za tę noc na dachu czy betonie po 52 zł.

W sobotę pogoda była piękna. Z Kalenicy był piękny widok z morzem mgieł w dole. Niestety musieliśmy wkrótce w to morze wejść. Doszliśmy na metę do Srebrnej Góry ok. 16.00.

23–24.10.1982

W weekend byłem na XV-leciu Koła. Razem z Januszem Mroczkiem miałem prowadzić jedną z tras. Janusz wymyślił jakieś numery, a jednym z nich miało być ubranie się w garnitury. Miałem z tym spory kłopot, bo nie mam odpowiedniego ubrania i ubrałem się normalnie – turystycznie. Zresztą w końcu Janusz nie zrealizował do końca swoich pomysłów. Nie wziął np. psa, który miał robić za bernardyna z beczułką u szyi. Jola z Renatą i Aliną przebrały się natomiast za sanitariuszki, które miały ratować starszych przewodników.

W góry jechaliśmy autokarem razem z trasą Marka „Singera" Śpiewaka. Szliśmy z Jaworzynki doliną Krężelki, a potem niebieskim szlakiem do Koniakowa i żółtym do Zaolzianki.

W Jaworzynce mieliśmy okazję spotkać znanego gawędziarza Pawła Ruckiego. Wracał chyba gdzieś z pola, a zobaczywszy grupę, zaczął opowiadać różne historyjki. Po dłuższej chwili stwierdziłem, że trudno się będzie urwać. Wówczas nie wiedziałem zresztą, że to właśnie on i dopiero gdy poprosiłem, aby się przedstawił, powiedział swoje nazwisko i coś niecoś o sobie. W końcu podziękowaliśmy i ruszyliśmy na trasę, bo czas nas gonił.

W Zaolziance byliśmy ok. 17.30. Było trochę zamieszania przy meldowaniu się, ale w końcu ok. 19.00 zaczęła się kolacja. Jedzenie nie było może bardzo wykwintne, ale za to urozmaicone, smaczne i dużo. Była kaszanka, sałatka

jarzynowa, gulasz (podobno z dziczyzny), sery (żółte, biały, owczy), po butelce piwa, pomidory, ogórki itp.

Po kolacji był występ Józka Brody, który potrwał chyba ze 2 godziny. Występ był kapitalny, bo Broda potrafi opowiadać o tym, co robi, co gra i śpiewa tak ciekawie, że ani przez chwilę nikt nie czuł się znużony. Zresztą nie tylko on sam śpiewał i grał na różnych instrumentach, ale nauczył też nas wszystkich paru piosenek ludowych.

Potem były konkursy, w których prezentowali się m.in. starsi przewodnicy, a następnie wyświetlono film z wyprawy w Alpy i wykład ilustrowany slajdami na temat „Ustawa o związkach zawodowych a przewodnicy" w wykonaniu Jacka „Szpoka" Nabzdyka i Franka Drewnioka.

A potem nastąpiła część nieoficjalna, przy czym utworzyły się dwie grupy śpiewające – jedna, bardziej liczna złożona głównie ze starszyzny, umiejscowiła się w przedsionku, druga, młodsza w liczbie ok. 15 osób, w świetlicy. Szkoda, że nie doszło do połączenia sił, ale byłoby to trudne. Oni mieli swój stary repertuar, a my chcieliśmy sobie pośpiewać nieco innych, nowszych piosenek. Ale najważniejsze, że każdy bawił się tak, jak chciał. Tak jak wiele osób dosiedziałem do rana, w ogóle nie kładąc się spać. Niewypałem było śniadanie w restauracji „U Ujca", gdyż obsługa pomyliła sobie terminy. W rezultacie po dwóch godzinach czekania dostaliśmy ohydną jajecznicę i herbatę. Na obiad pojechaliśmy do Wadowic, podsypiając nieco w autobusie, a potem zwiedziliśmy bazylikę w Kalwarii Zebrzydowskiej.

Spotkanie poobozowe RB przy jaskini pod Trzema Kopcami

9–10.11.1982

Byłem na spotkaniu poobozowym RB. Było bardzo fajnie. Przyjechał Mariusz, Maciek (ten od gitary klasycznej) i Roma z Gdańska, Krzysiek, Sławek, Beata i Jola z Łodzi, Jacek, Basia i Bożenka z Gliwic, no i waleci: Dorota, Jola i Renata, Szymek, a także Janusz Mroczek, Jurek Sarna, Włodki – Wróblewski i Wojtkowiak. W sobotę była impreza do 4.00 rano przy slajdach, a potem przy ognisku, a w niedzielę przeszliśmy się na Błatnią i zeszliśmy do Wapienicy. Po drodze część ludzi zwiedziła z Januszem i Jurkiem jaskinię pod Trzema Kopcami.

15.12.1982

W ostatnią sobotę byłem w Brennej na kołowym wyjeździe, który miał być rozszerzonym zebraniem nowej Rady Koła. Nikt z Rady jednak się nie zjawił, ale wyjazd i tak był udany. Wieczór upłynął na dość żywej dyskusji o sprawach Koła, podczas której padło wiele ciekawych propozycji. W niedzielę z Mirkiem i Jelonem wybrałem się na małą wycieczkę. W nocy spadł śnieg i zrobiło się dość fajnie, choć mglisto. Weszliśmy na Kotarz, a potem przez Grabową i Stary Groń zeszliśmy do Brennej.

PS

W 1982 roku nie przypuszczałem zapewne, że za 35 lat, na 50 lecie Koła spiszę ze starego zeszytu te fragmenty notatek. Nie wiedziałem też, co w ciągu tych 35 lat wydarzy się w Kole, w kraju i w świecie. Nie spodziewałem się, że w każdym wiejskim sklepiku będzie do wyboru kilkanaście gatunków piwa, a granicę ze Słowacją czy Czechami (wtedy była jeszcze Czechosłowacja) będziemy mogli przekraczać w dowolnym miejscu, bez paszportu, książeczki walutowej i karty przekroczenia granicy; że poznam nie tylko góry Rumunii, które wówczas były niezwykłą atrakcją, ale również Alpy, Pireneje czy góry Norwegii i Islandii, a następne pokolenie będzie bez większych problemów poznawać góry świata. Że nasze dzieci zastąpią nas w Kole jako przewodnicy, członkowie Rady i Prezesi.

Niestety nie wiem, co wydarzy się w ciągu kolejnych dziesięcioleci. Oby były to lata równie owocne i spędzone przez Harnasi na górskich szlakach i bezdrożach całego świata.

Zdjęcia autora

ŁUKASZ „PIECZU” PISAREK

O TYM, JAK POWSTAŁA BAZA NAMIOTOWA PRZYSŁOP POTÓCKI

W tym roku obchodzimy dziesięciolecie działalności bazy PTTK na Przysłopie Potóckim. Przy okazji rozbijania namiotów po raz jedenasty warto przypomnieć sobie, jak to wszystko się zaczęło. Szczególnie, że zmieniło się grono osób prowadzących bazę i nie każdy pamięta początki bazy. Moja pamięć też już nie służy, więc opisuję te wydarzenia, które najlepiej zapamiętałem. Z góry przepraszam, jeśli kogoś we wspomnieniach pominąłem.

Wróćmy zatem do tej zamierzchłej przeszłości.

POMYSŁ

Lato 2006 roku obfitowało u mnie w wędrówki po różnych bazach oraz chatkach. Uczestniczyłem w „rozbijaniach” czy też w obozach kursowych. Od os. Szyrokiego na zachodzie, poprzez Głuchaczki, Wały, Podwilk, Jaworki aż do Muszyny, gdzie w sierpniu odbywają się śpiewanki na bazie w Złockiem. W czasie tego „udzielania się” uświadamiałem sobie, jak bardzo te obiekty pomagają w utrwalaniu starych i tworzeniu nowych znajomości. Może właśnie tego byłoby potrzeba Kołu? Niezbyt wymagającej i niezobowiązującej bazy namiotowej, która byłaby miejscem, gdzie reprezentanci różnych pokoleń mogliby przyjechać i odpocząć? Jeśli liczące znacznie mniej członków SKPB Katowice może prowadzić trzy bazy i chatkę (Szyroki), to dlaczego Harnasie nie mieliby dać rady poprowadzić bazy i chatki? Ekipa wokół chatki już jest, baza działałaby latem, a że planowałem w tym czasie poprowadzić następny kurs, to i byłaby okazja przekonać się, czy taka baza zatrzymałaby przy Kole osoby z kursu. Ale to pozostawało w sferze marzeń.

W połowie września 2006 r. wraz z ekipą zarządu SKPB Katowice odwiedziłem Darka Cegłowskiego „Cegłę” i ekipę na Rycerzowej przy okazji „Gitarą i Grulem”. Kto miał okazję brać udział w tym wydarzeniu, ten wie, jak wyjątkową atmosferę tworzy ognisko w cieniu zawalonej owczarni poniżej schroniska.

Następnego dnia postanowiłem przejść się czarnym szlakiem przez Bendoszkę – szlakiem, który wciąż stanowił dla mnie białą plamę. Niesiony duchem piosenki turystycznej dotarłem na Bendoszkę i zacząłem schodzić w dół. W pewnym momencie moim oczom ukazał się dach owczarni. A że dzień wcześniej siedzieliśmy przy ruinach bliźniaczej owczarni pod Rycerzową, od razu przypomniała mi się atmosfera rodem ze śpiewanek w Muszynie. I pomyślałem, że fajnie by było, gdyby na Muszynie była taka wiata, a nie ta dziwna konstrukcja, której budowa kosztowała chłopaków z Łodzi wiele pracy, a i sama rozbiórka, w której z Lusi pomagaliśmy, też łatwa nie była.

Wszedłem do środka. Tak, w takim miejscu spokojnie mogłyby się odbywać podobne śpiewanki! A gdy spojrzałem w dół, od razu moja wyobraźnia podsunęła mi obraz polany z namiotami podobnymi do tych w Muszynie – trochę NS-ów, trochę mniejszych. Wtedy jeszcze nie miałem okazji zwrócić dokładniej uwagi na skład gleby, na której stoi owczarnia.

Zszedłem do bacówek i upewniłem się, że byłoby to dobre miejsce: małe bacówki na codzienną działalność bazy, owczarnia na śpiewanki. Do tego taki zadaszony budynek rozwiązałby problem logistyczny, jaki miałem okazję poznać na własnej skórze, np. gdy zaczęło padać, kiedy wraz ze Sławkiem Stąplem przyjechaliśmy na Głuchaczki, a łąkę trzeba było skosić i nie było się gdzie schować.

Ruszyłem w dalszą drogę, lecz nie tak łatwo umiałem zapomnieć o tym pomyśle. Na samej przełęczy – przy wejściu od Kolonii – ujrzałem kolejne miejsce, gdzie mogłaby stanąć baza. Następnie odwiedziłem bacówkę Podwiązkę na Polanie Bułkowej, którą także rozważałem jako potencjalną lokalizację. Oj, chodziło to za mną.

Zszedłem do Kolonii, złapałem stopa do Bielska, gdzie przez przypadek wyszedłem wprost na samochód... Krzyśka, z którym to właśnie byłem na Rycerzowej. Omówiliśmy pomysł – zwłaszcza że SKPB zarządza trzema bazami, to wiedzą, jak to się robi.

Po kilku tygodniach Radek Truś zapytał mnie, czy nadal myślę o bazie. Chodziło mi to po głowie. SKPB Katowice miały trzy bazy i chatkę, i jakoś się dało – choć bywało ciężko – to dlaczego SKPG nie miałoby mieć jednej chatki i jednej bazy? Radek przekazał mi numer telefonu do właściciela hali, z którym spotkał się przypadkiem, schodząc z Przysłopu. Nie miałem już wymówki. Zacząłem się zastanawiać nad budżetem oraz tym, jakby baza miała funkcjonować. Problem chodzenia po wodę nie był czymś nie do przejścia – w końcu na Szyrokim droga była wprawdzie szersza, ale odległość podobna, a przez pewien czas przypominała tor przeszkód po wycince.

Po Walnym SKPG „Harnasie" było już wiadomo, że moja wizja bazy kołowej nie została przyjęta z entuzjazmem głównie z powodu ostatnich problemów z obsadą na Adamach. Pojawiły się głosy podważające celowość dokładania kolejnego obiektu, na którym pojawią się podobne problemy. Stanęło na tym, że o ile w Kole są osoby zainteresowane ideą bazy, to w związku z obecną sytuacją z chatką nie będzie możliwości oficjalnego poprowadzenia bazy przez SKPG.

Trochę zbiło mnie to z tropu, na szczęście po zebraniu pojechałem do Spiża w Katowicach, gdzie spotkałem osoby z kursu SKPB prowadzonego przez Adama Zająca. One także wyraziły zainteresowanie i chęć pomocy. Tak więc pomyślałem, że co mi tam. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Baza kołowa tylko by dzieliła, a nie o to przecież chodzi, by dzielić Koła. Niech to będzie baza międzykołowa. Pozostały teraz tylko formalności. Kto będzie ją prowadził?

Działalność w Komisji Akademickiej PTTK nauczyła mnie jednego – wymiany informacji. Przecież nie tylko koła przewodnickie prowadzą bazy. Na najbliższe zebranie Komisji Akademickiej pojechałem już z gotowym pomysłem nowego obiektu, który został przyjęty z entuzjazmem (szczególnie, że 2006 r. był ostatnim rokiem funkcjonowania Huty Wysowskiej, i tak ilość baz zostałaby taka sama). Do tego pojawiła się realna szansa na dofinansowanie plus możliwość otrzymania wsparcia od pozostałych baz (Koledzy z Rzeszowa zaproponowali pomoc w zorganizowaniu sprzętu z Huty, SKPB miało przywieźć sprzęt z Jaskini Radochowskiej), a SKPG Kraków podzieliło się doświadczeniami na temat reaktywacji Radocyny. Wracając do domu, wiedziałem już, że ten pomysł może wypalić.

W lutym pojechaliśmy na Blachowanie Harnasi na Wielką Raczę, po którym spotkałem się z właścicielem i uzgodniliśmy szczegóły.

W kwietniu w ramach międzykołowego rajdu PolUś udaliśmy się z Krasnalem sprawdzić bacówki po zimie i zastanowić się, jak wszystko zorganizować. Mieliśmy też okazję zwiedzić okolice bazy, gdy dołączył do nas Staszek Wierzchowski, by porozstawiać punkty INO. Pomysły mnożyły się z każdym rozstawionym punktem. Źródło okazało się nadzwyczaj wydajne, padła propozycja budowy prysznica (co okazało się później porażką – woda była za zimna, a konstrukcję prysznica rozjechały maszyny leśne). Wieczorem zaś w gronie międzykołowym mogliśmy mnożyć pomysły, szczególnie że obecny był np. pomagający przy Głuchaczkach Dzik.

W ciągu najbliższego miesiąca dzięki Ani Boudys z kursu SKPB udało nam się pozyskać sponsora – sklep Cerro Torre z Katowic. Dzięki uprzejmości ekipy z Rycerzowej znalazły się naczynia dla bazy oraz miejsce do składowania namiotów w domu Cegły w Rycerce. Z Adamów przyszła propozycja przekazania koców i kubków.

Powoli nie było odwrotu – zbliżał się czerwiec. Wciąż brakowało bazowych, dlatego plan wstępnie zakładał, że skorzystamy z najdłuższych dni pod koniec czerwca i w lipcu, a potem zobaczymy, co będzie.

PRZYGOTOWANIA DO ROZBIJANIA

Tydzień przed planowanym rozbijaniem udaliśmy się z Lusi, Krasnalem i Biesiem przeprowadzić prace przygotowawcze, tj. kopanie dołu pod kibelek oraz generalne sprzątanie. Krasnal z Biesiem zostali dłużej i postawili płot, poprawili obetkanie bacówki, wstawili drzwi do kuchennej bacówki i zajęli się budową ławki. Po wysprzątaniu obiektu z watrą znaleźli kalendarz wypasowy z lat 1985–2003. I właśnie ta bacówka miała stać się kuchnią w czasie brzydkiej pogody.

Kopanie dołów okazało się porażką – teren był jedną wielką gliną z kamieniami. Kilof przydał się na początku – później tylko menażka i młotek. Istny obóz pracy. Ale udało się wykopać jeden dół.

Potem chłopaki mieli w planie Noc Kupały na Rycerzowej, my zaś z Lusi pojechaliśmy na Głuchaczki. Pogoda zmieniła się na bardzo mokrą. Tak lało, że spotkaliśmy Michała Bratka śpiącego w aucie na końcu asfaltu. Nie było sensu pchać się dalej, kilka osób próbowało skryć się w otwartej jeszcze starej wiacie. Rano trochę się rozpogodziło, dokończyliśmy − rozpoczęliśmy stawianie, a ja sobie w pamięci notowałem, co by tutaj jeszcze przygotować na Przysłop. Szukałem także chętnych do bazowania w pierwszym tygodniu.

Ponieważ nie mogłem znaleźć nikogo z kombi, kto mógłby pojechać do Zyndranowej po obiecany sprzęt od SKPB Rzeszów, w środę poprzedzającą planowane rozbijanie wypożyczonym Berlingo udaliśmy się z Lusi do Piekar Śląskich do Wolfa (prezesa SKPB Katowice), żeby odebrać materace z Jaskini Radochowskiej. Od Biesia odebraliśmy przyrząd umożliwiający kopanie dołów i ruszyliśmy do Zyndranowej, do której dotarliśmy o 3.00 w nocy. Po krótkim odpoczynku Paweł „Stirlitz" wydał nam starego NS-a z Wisłoczka i klika materacy. W pośpiechu zapomnieliśmy zabrać okna i śledzie, o czym dowiedzieliśmy się dopiero podczas rozbijania namiotu.

Rozpoczęliśmy podróż powrotną – tym razem śladem kolei transwersalnej. Późnym popołudniem dotarliśmy do Rycerki, gdzie wypakowaliśmy rzeczy do stodoły właściciela hal i wróciliśmy do Gliwic oddać auto.

PIERWSZE ROZBIJANIE – ROK 2007

Ponieważ w czwartek wieczorem byłem przekonany, że jadę tylko z Biesiem, zaskoczyła mnie piątkowa wiadomość, że jeszcze Młodszy i Bażant chcą pomóc. Wybraliśmy się w podróż zapakowanym ponad możliwości Seicento. Na każdym przystanku musiałem wysiadać i odbierać namioty i kociołki od chłopaków, by mogli wyjść z auta. Podróż z Mysłowic trwała dłużej niż zwykle, bo Seicento lubi być wesołym samochodzikiem. Ponieważ nie zdążyliśmy dojechać do Sanepidu w Żywcu, postanowiliśmy spędzić zaoszczędzony czas na pieczeniu kiełbasek

w Pewli Małej. Gdy dojechaliśmy do Stefana – właściciela hali – okazało się, że ciężki sprzęt jest już załadowany, dlatego wystarczyło tylko dorzucić pozostały sprzęt i ruszyć w drogę do doliny Rycerek. Tam przy leśniczówce pozostawiliśmy Seicento i ruszyliśmy skrótem na bazę.

Pod wieczór, w piątek 29 czerwca 2007 roku, pierwsze namioty bazowe zostały rozbite. Tego wieczoru udało nam się również przekonać turystów, próbujących rozbić namioty przy owczarni, aby zostali naszymi pierwszymi turystami, którzy zanocują na naszej bazie. Dołączyli do nas Nowszy, Marysia i Małgorzata Półrolniczak. Rozstawiliśmy pozostałe namioty (w tym NS-a) i w tej jakże kursowej grupie otworzyliśmy symboliczną butelkę szampana, by uczcić rozpoczęcie działalności.

Następnego dnia stawialiśmy kolejne namioty, gromadziliśmy opał, rozpracowywaliśmy, jak magazynować wodę, a w wyniku sprzątania okolic bazy do Seicento zniosłem trzy 90-litrowe plecaki butelek.

Nadal jednak nie było bazowego na pierwszy tydzień, a ja miałem w poniedziałek zaliczenie na uczelni. Na szczęście w sobotę Lusi zadzwoniła z Wałów z wiadomością, że szykuje się odsiecz i rano rusza autostopem trzyosobowa ekipa. Byłem zaskoczony, gdy tuż po południu udało im się dotrzeć. Zadomowili się, porozkładali dary z Wałów, a ja zszedłem na dół szczęśliwy, że się udało. Po dziewięciu miesiącach myślenia, kombinowania wreszcie się narodziła. Baza na Przysłopie.

PIERWSZE TYGODNIE

Pierwsi bazowi zajmowali się bazą, a ja udałem się po deski na kibelek. Nie ma to, jak wozić drewno do lasu i do tego z Olesna. A to właśnie w tamtejszym tartaku czekały na mnie deski na pierwszy kibelek wraz z gotowym siedziskiem. Ze względów logistycznych deski przycięte zostały do szerokości bagażnika Seicento.

W czasie wyładunku szklanych butelek z bazy do zbiornika segregacyjnego na moim osiedlu spotkałem sąsiada wynoszącego deski z regałów z piwnicy. W ten sposób baza wzbogaciła się o dodatkowe deski, które zostały wykorzystane do budowy ław i stołu.

Po powrocie, gdy wyładowywałem Seicento, ekipa kursu SKPB dzielnie zajęła się pracami nad kibelkiem. Damian wyniósł z auta siedzisko,

pozostali przygotowali mocowanie oraz ściany z czarnej folii. Choć nie był to szczyt elegancji, a konstrukcja oparta o okoliczne drzewa nie była zbyt stabilna, to i tak wystarczyła na pierwszy rok działalności bazy.

Prysznic natomiast to już zupełnie inna historia. Chcąc uniknąć potrzeby noszenia wody, pomyślałem, żeby zrobić miejsce do mycia poniżej źródełka, podpiąć wąż ogrodowy – i będzie działało. Okazało się jednak, że różnica wysokości jest za mała, by można to było nazwać prysznicem, co najwyżej umywalnią przy źródle. Docelowo rozebraliśmy konstrukcję, co okazało się słuszne, gdyż w następnych latach miała miejsce wycinka drzew w okolicy źródła i miejsce prysznica zastąpiła droga do zwózki drewna.

Gdy 8 lipca odwiedziła nas pierwsza duża grupa – kurs SKPG Harnasie w ramach obozu letniego – jeden ze stołów w NS-ie nie przetrwał testów obciążeniowych plecakami. Konieczne było dodanie do niego kilku desek więcej.

Środek lipca obfitował w opady, co spowodowało powstanie małego jeziorka we wnętrzu NS-a w bezpośrednim sąsiedztwie bacówki. Jako tymczasowe rozwiązanie wykorzystaliśmy biały pawilon ogrodowy w celu osłonięcia wejścia do NS-a. Z pomocą kilofa wykopaliśmy rowy melioracyjne oraz ułożyliśmy deski w celu stworzenia chodnika przez błoto. Do przygotowywania posiłków i gotowania wody używaliśmy kociołków zamocowanych do jadwigi w bacówce kuchennej. Od razu zaczęły pojawiać się pomysły wybicia desek na tyle bacówki, by pozwolić na swobodne przejście do NS-a. Pomysł przestawienia NS-a na przód upadł po pierwszej wichurze, kiedy przekonaliśmy się o tym, jak silne zachodnie wiatry wieją na przełęczy. Bacówki stanowiły idealną osłonę dla NS-a i małych namiotów.

Na początku planowaliśmy utrzymywać ogień watry przez cały sezon, przenosząc go pomiędzy ogniskiem a paleniskiem w bacówce kuchennej. Z czasem jednak okazało się to niewykonalne albo uciążliwe – szczególnie w upalne dni.

ZWIJANIE BAZY

Prognoza na zwijanie nie była pomyślna, więc NS-a zwinęliśmy wcześniej, zostawiając tylko niezbędną liczbę namiotów. Większość sprzętów przygotowaliśmy w bacówce do zwiezienia. Pozostało już tylko zabezpieczyć stoły i ławy. Przezornie zanieśliśmy je do lasu, by utrudnić ich spalenie. Oczekując na przyjazd Stefana, przyglądałem się z okna bacówki śladom po namiotach, nie wiedziałem jeszcze, czy pomysł bazy wypalił i czy uda się go powtórzyć za rok. Nie miałem też jeszcze świadomości, że przyjdzie mi doglądać bazy z miejsca trochę odleglejszego niż Gliwice.

Gdy nadjechał traktor, mocno już padało. Zapakowaliśmy sprzęt i zawieźliśmy go do Rycerki Dolnej, gdzie przez najbliższych kilka lat zgodzili się go magazynować Darek z Bacówki pod Rycerzową i Agnieszka z Chaty na Zagroniu. Mokre namioty zabraliśmy do suszenia do naszych domów.

I tak oto minął pierwszy sezon na bazie. Dzięki współpracy osób związanych z SKPG Gliwice i SKPB Katowice udało nam się uruchomić bazę. Dzięki pomocy osób z innych kół i środowisk udało nam się zorganizować sprzęt. Za tę bezinteresowną pomoc wtedy i w kolejnych latach chciałbym wszystkim serdecznie podziękować.

STATYSTYKA

W tamtym sezonie udzielono 110 osobonoclegów, w tym: 110 w namiotach bazowych (22 z ulgą 20% PTTK). Bazowi i pomagający: 90 osobonoclegów.

SEZON DRUGI

21 czerwca – 20 września 2008 r.
Liczba osobonoclegów: 190

Pod koniec maja 2008 roku miałem okazję poprowadzić grupę z noclegiem na Przegibku. Oczywiście wykorzystałem okazję, by wieczorem odwiedzić bazę, ocenić stan po zimie i przypadkiem spotkać Stefana (właściciela). Zgranie idealne, biorąc pod uwagę to, że mieszkałem w tym czasie już w Edynburgu. Odległość i konieczność dostosowania terminu rozbijania do tanich biletów lotniczych spowodowały, że zabrakło nam osób z SKPB Katowice, gdyż w tamtym terminie planowana była budowa wiaty na Głuchaczkach.

Zaraz po przylocie udaliśmy się w kameralnym gronie z Krasnalem i Staszkiem do Rycerki. Podziękowaliśmy Darkowi za przetrzymanie namiotów i wraz ze Stefanem wjechaliśmy na górę. Dosyć sprawnie poszło nam rozłożenie namiotów – niestety na nieskoszonej trawie, przez co nie byliśmy w stanie przeprowadzić wszystkich prac. Do tego brakowało nam bazowych na pierwsze dni. Jako że mnie czekał wyjazd na Głuchaczki, by odebrać kolejne materace, Staszek zaoferował się bazować. Późnym popołudniem dotarłem na miejsce budowy nowej wiaty, gdzie miałem okazję podziękować za materace, pomagając Dzikowi w układaniu papy na świeżo ułożonym dachu. Następnego dnia wyruszyłem do Lachowic, by oddać kilofy i zobaczyć nową podłogę w salonie. Potem szybko do Żywca. Tam spotkałem Darka z Rycerzowej, który podjął się przewiezienia materacy do stodoły, a ja mogłem już skierować się w stronę Gliwic i lotniska.

Po raz pierwszy kierowałem bazą na odległość, do tego nie mając już takich kontaktów w środowisku jak wcześniej. Czy to się mogło udać?

Najważniejsze w tamtym momencie było rozpowszechnienie bazy. Gdy w Edynburgu skontaktowała się ze mną grupa planująca wyjazd do Polski dla szkockiej młodzieży, postanowiłem wypromować bazę. Okazało się, że klimaty bazowe bardzo im odpowiadają i postanowili zatrzymać się tam na kilka dni.

Przyjechali w pełni przygotowani na dzikie biwaki, niemniej gotowanie na ogniu tak przypadło im do gustu, że jeszcze przez kilka lat mieliśmy dostępne butle EPI po tej ekipie.

Zwijanie bazy zaplanowane było na drugą połowę września. Lusi przyleciała do Polski z międzylądowaniem w Paryżu tylko po to, by mi w tym pomóc. Była to dobra decyzja. Wraz z nią i Dzikiem (któremu pomagałem papować dach wiaty na Głuchaczkach, by osłonić impregnat przed deszczem) było nas tylko troje. Do tego cała trójka z SKPB Katowice. Podobnie jak w poprzednim roku – SKPG otwierało, a SKPB zamykało sezon.

SEZON TRZECI

27 czerwca – 29 sierpnia 2009 r.
Liczba osobonoclegów: 270

Wczesną wiosną zaproponowano nam zakup pieca, który stanowiłby idealne uzupełnienie planowanej wiaty.

W maju Lusi wraz z głównym wykonawcą wiaty, Damianem Skurą, i jego lepszą połową Marianną zajęli się transportem pieca, rozwieszeniem nowych tabliczek szlakowych oraz oględzinami bazy przed sezonem. Oto jak wspominała wtedy Lusi:

„Tegoroczny weekend majowy postanowiliśmy spędzić pracowicie. Trzeba było zawieźć piec na bazę. Kolega Damian zaoferował zaopatrzyć się w przyczepkę i przewieźć ładunek. Wystartowaliśmy ze Śląska skoro świt. Załadowaliśmy na początek mały piecyk – kozę od brata Damiana (będzie nam grzał wodę pod prysznicem), a potem w drogę do Piasku, uzbrojeni w adres i wydrukowany planik z Zumi. Pojechaliśmy tak, jak nam nasz plan wskazywał, i znaleźliśmy dom na ulicy o odpowiedniej nazwie. Pukam i się głupio pytam: „No bo my piec kupiliśmy na Allegro?”. Pan na to: „Centralnego ogrzewania?”, a ja, że nie, że kuchenny. Ojciec rodziny zdezorientowany, co się w domu dzieje, wykrzyknął tylko. „Ej, wystawiał ktoś piec na Allegro?”.

Okazało się, że nie, bo trafiliśmy nie do Piasku, a do miejscowości obok. Jednak mapy internetowe nie radzą sobie tak dobrze w małych miejscowościach.

Za drugim podejściem trafiliśmy bezbłędnie. Przy pomocy lokalnych facetów (oprócz Damiana jechały dwie dziewczyny, więc trochę kiepsko z siłaczami) załadowaliśmy piec na przyczepę i w drogę. Z racji, że był to 1 maja, cały naród postanowił pojechać w góry, toteż wystaliśmy swoje w korku. Po drodze zjedliśmy jeszcze tylko szybkiego hot-doga na stacji benzynowej i człapaliśmy, człapaliśmy. Był to jeden z dłuższych przejazdów do Rycerki. W Rajczy jeszcze zgarnęliśmy kolegę Radka, do pomocy przy wyładunku, tak że w autku zrobiło się baaardzo przytulnie. Rozładunek poszedł szybko i sprawnie. Chłopaki spisali się na medal. Teraz tylko piecyk musiał poczekać na pierwszą próbę, na początek lata. No a my... powędrowaliśmy na bazę. Przy okazji powiesiliśmy przygotowane wcześniej drogowskazy. Zawsze coś do przodu".

W weekend 12–14 czerwca udaliśmy się z liczną ekipą przygotowywać teren bazy z naciskiem na przygotowanie drenażu i dołów pod filary wiaty. Kopanie dołów okazało się jednak nie takie łatwe, jak zakładaliśmy – gleba w tym miejscu to mieszanina kamieni i gliny. Ekipa dzielnie walczyła i udało nam się przygotować także materiały na dach.

W czwartek 25 czerwca mocno obładowane Seicento (5 osób plus bagaże, namioty, gitary i piła spalinowa) dowiozło nas do Rycerki, gdzie po spakowaniu wozu ruszyliśmy rozbijać bazę. Po kilku dniach zmagań konstrukcja była gotowa, a Damian wraz z bratem i ojcem planowali jeszcze jedną wizytę, by dokończyć dach. Ostatecznie w tym sezonie Baza wzbogaciła się o nową wiatę kuchenną, w której znalazły się nowy piec oraz nowe stoły i ławy. Wybudowano także prysznic, zreperowano ujęcie wody pitnej uszkodzone przy okazji budowy drogi leśnej w stronę Przegibka. Został również założony drenaż zapewniający odwodnienie polany, dzięki czemu udało się uniknąć podtopienia namiotów, które zdarzało się w poprzednich latach. Konieczny też był remont konstrukcji nośnej bacówki, gdzie mieści się palenisko, a która została uszkodzona zimą przez nieznanych sprawców. Poprawiono także ogrodzenie obozowiska.

SEZON CZWARTY

26 czerwca – 28 sierpnia 2010 r.
Liczba osobonoclegów: 222

Tym razem na rozbijanie zabraliśmy najmłodszego członka rodziny – 6-miesięczną Julkę. Wprawdzie prognoza na piątek była dość kiepska (typowa szkocka pogoda), ale udaliśmy się pakować wóz do Rycerki. Niestety opady deszczu nie pozwoliły traktorowi wjechać od strony Rycerek i Stefan użył nowej drogi, by dojechać nad bazę. Tam w strugach deszczu składowaliśmy sprzęt przy

drodze, znosząc do późnych godzin nocnych wrażliwe na wodę przedmioty, takie jak materace i koce. Nad ranem wciąż panowała gęsta mgła, lecz w miarę znoszenia kolejnych elementów zaczęło się rozpogadzać. Odtąd ciągła wędrówka po kolejne materace, elementy stelaża czy też płachty z NS-a miała okazać się stałym elementem każdego sezonu.

Po trzech sezonach część małych namiotów zaczęła przeciekać, więc umieściliśmy ich sypialnie wewnątrz NS-a. Było to jedyne rozwiązanie, które jednocześnie chroniło tropiki przed słońcem. Nie miało to jednocześnie wpływu na ilość miejsc noclegowych – nadal oferowane one były w pięciu czteroosobowych namiotach bazowych (łącznie 20–25 miejsc noclegowych). Oczywiście istniała także możliwość rozbicia namiotu własnego.

Po sezonie zimowym konieczne było przeprowadzenie kilku napraw poszycia dachu oraz przetarcie jednego ze szlaków dojściowych – droga została zablokowana gałęziami z pobliskiej ścinki.

Podczas mojej drugiej wizyty w sierpniu przeprowadziliśmy prace przygotowawcze pod budowę konstrukcji łazienki oraz zabezpieczyliśmy bacówki i jadalnię przed kolejną zimą.

Czwarty sezon działalności bazy przyniósł po raz pierwszy spadek ilości nocujących turystów. Z rozmów z dzierżawcami pobliskich schronisk wywnioskowaliśmy jednak, że nie było to zjawisko odosobnione, bo cały rejon nie był w tym roku tłumnie odwiedzany. Prawdopodobną przyczyną tego stanu rzeczy była kiepska pogoda na początku lata i powodzie.

W zwijaniu bazy pomagał nam zainteresowany bazowaniem Artur Wójcik. Po odstawieniu namiotów do stodoły postanowił pozostać na bazie przez kilka dni, by pomóc impregnować wiatę, bacówki i kibelek.

SEZON PIĄTY

25 czerwca – 26 sierpnia 2011 r.
Liczba osobonoclegów: 262

Zeszłoroczny spadek liczby osób odwiedzających bazę oraz problemy ze znalezieniem obsady i pomocy przy jej prowadzeniu, a także konieczność noszenia sprzętu nie rokowały pomyślnie. W połowie maja nadal nie było wystarczająco dużo chętnych do pomocy przy rozbijaniu i prowadzeniu bazy. Powoli zacząłem się liczyć z najgorszym, dlatego w maju wystosowałem do Zarządu Oddziału pismo informujące o możliwości zawieszania działalności bazy. Zwróciłem się także z propozycją do zarządów SKPG i SKPB. Niestety, oba koła nie były zainteresowane – SKPB szukało chaty, a Harnasie musieli skupić się na działalności przewodnickiej.

Życie zawodowe i rodzinne nie pozwoliłyby mi już na spędzenie całych wakacji na zajmowaniu się bazą. Jednak szansa jej uruchomienia po zawieszeniu nie była wielka. Trzeba było poszukać rozwiązania pośredniego. Uruchomić bazę choćby na 3–4 tygodnie. Wziąłem urlop i przyleciałem na ten ostatni sezon. Widmo zawieszenia działalności podziałało.

Piotr „Metzger" Latusek zorganizował odbiór materiałów reklamowych, załatwił czajnik i całą masę mocnych worków, które do dziś służą nam do przechowywania materacy i koców. Chahor zafundował nową kasetkę. Udało mi się nawet zatrudnić mojego brata, Tomka, do pomocy w przywiezieniu z Wrocławia NS-a, aby zastąpić naszego dziurawego z Wisłoczka. Z pomocą w bazowaniu przyszedł też poznany w poprzednim sezonie Artur – zaoferował się obsadzić wszystkie puste terminy.

Samo rozbijanie było wyjątkowo udane. Zgromadziło ponad 20-osobową ekipę chętnych do pomocy. Choć droga dojazdowa została zniszczona, udało nam się przygotować teren i zjechać wozem z nowej drogi leśnej. W ten sposób uniknęliśmy konieczności ręcznego znoszenia namiotów. Z planowanych inwestycji zakupiono używany namiot NS oraz mniejszy namiot. Przeprowadzono prace przy łazience i toalecie oraz załatano dach.

Podobnie jak rok wcześniej sypialnie małych namiotów zostały rozstawione w NS-ach, gdzie dobrze służyły jako osłona przed wszelkiego rodzaju robactwem. Baza coraz częściej gościła rowerzystów, przeznaczyliśmy więc drugi NS na garaż dla rowerów oraz magazyn do chowania namiotów przed słońcem.

Pogoda w czasie zwijania dopisała. W ostatni tydzień Ewa z Karoliną przygotowywały sprzęt do zwózki. Uszkodzona szyba w piekarniku nie zatrzymała produkcji smacznych wypieków – kawałek blachy skutecznie ją zastąpił.

W tym sezonie nastąpiła też jeszcze jedna zmiana. Użyczająca nam miejsca w stodole Agnieszka zdecydowała się sprzedać Chatę na Zagroniu – rozpoczęła się zbiórka pieniędzy przez SKPB, by wykupić chałupę. W tamtym momencie nie wiedziałem jeszcze, że być może już wkrótce i nasza stodoła zostanie sprzedana, a my będziemy musieli poszukać nowego miejsca do przechowywania bazowego sprzętu zimą.

SEZON SZÓSTY

23 czerwca – 31 sierpnia 2012 r.
Liczba osobonoclegów: 263

Tym razem nie mogłem wziąć udziału w rozbijaniu. Metzger wraz ze Staszkiem zajęli się pracami na miejscu. Stanęły przed nami nowe wyzwania – cały sprzęt musiał zostać zabrany ze stodoły w Rycerce i przetransportowany do bazy. Tym razem bez traktora wszystko było znoszone z aut zaparkowanych na drodze leśnej.

Na szczęście pojawili się w naszym gronie Marek i Ewelina Gancorz. Obydwoje związani z leśnictwem, mieszkający i pracujący w okolicy bazy zaoferowali pomoc w wwożeniu sprzętu ich dostawczym VW T4, a docelowo także użyczyli swojego garażu przez kilka kolejnych lat.

Podobnie jak w zeszłym roku, sypialnie od małych namiotów zostały rozstawione w NS-ach, gdzie dobrze służyły jako osłona przed wszelkiego rodzaju robactwem. Same NS-y stanęły bezpośrednio przy bacówkach, zasłaniając widok na namioty oraz blokując przejście odciągami. Nowe namioty, by ochronić je przed szkodliwym działaniem słońca, były wystawiane z namiotu technicznego tylko wtedy, gdy były potrzebne.

Baza stała się obecnie celem wzmożonych wycieczek rowerowych (przyczyniła się do tego wspomniana droga leśna). Dlatego drugi NS pełnił niejako dwie funkcje: miejsca dla schowanych przed słońcem namiotów, jak i garażu dla rowerów. Na początku lipca zorganizowany został Rekreacyjny Rajd Rowerowy.

Tym razem rozbijaniem kierowałem zdalnie. A żeby tego było mało, stodoła została sprzedana i konieczne było zabranie wszystkiego, co się w niej znajdowało. Niestety w całym zamieszaniu fajerki od pieca zostały na dole i trzeba było po nie wracać. Za to ekipa rozbijających okazała się dość liczna – 10 osób. Do tego dzięki pomocy Marka z Ogrodów Forester cały sprzęt został wwieziony na górę. Marek też zaoferował swój garaż jako miejsce do składowania na zimę.

4–5 sierpnia odbyło się V-lecie bazy. Była to okazja do spotkania się z większością osób, które się w niej udzielały, pobiegania po lesie w poszukiwaniu punktów INO przygotowanych przez Zbyszka Sochę, a w przypadku niektórych osób – zabawy do białego rana.

W czasie spotkania udało się Damianowi i Adamowi obić kibelek nad dziurą wykopaną przeze mnie i Artura. Żywot rozpoczął podwójny kibelek. W pracach pomagała nam także moja 2,5 letnia Julka – od segregowania wkrętów, przez skręcanie ścian kibelka, aż po malowanie desek. Wszędzie było jej pełno.

Na odległość pomagałem też w zwijaniu – Ewa i Karolina bazujące na miejscu jako ostatnie przez cały tydzień przygotowywały bazę do zwózki.

W sezonie 2012 zaczęła się też interesować działalnością na bazie Gosia Pańczyszyn, co kilka lat później zaowocowało tym, że Gosia przejęła zarządzanie bazą.

SEZON SIÓDMY

29 czerwca – 29 sierpnia 2013 r.
Liczba osobonoclegów: 325

W tym sezonie NS stanął zaraz za bacówką bazowego. Za nim ustawiony został namiot rodzinny, a potem już nowe (brązowe) namioty.

Od kilku lat rozbijanie i zwijanie odbywało się bez pomocy traktora i wymagało transportu sprzętu samochodami, a następnie przenoszenia sprzętu w plecakach i rękach.

W tamtym roku już tylko jeden namiot NS nadawał się do rozstawienia. Podobnie jak w latach poprzednich, sypialnie od starych namiotów zostały rozstawione w nim, gdzie dobrze służyły jako osłona przed wszelkiego rodzaju robactwem. Nowe namioty, by ochronić je przed szkodliwym działaniem słońca, były umieszczone w absydzie NS-a i wystawiane tylko wtedy, gdy były potrzebne.

Trzyletnia Julka pokochała już bazę i postanowiła zostać najmłodszą bazową. Pożyjemy, zobaczymy. Na początek jednak opiekowała się swoją dziewięciomiesięczną siostrą Sandrą, która bardzo upodobała sobie leżenie na kocu i obserwowanie, jak Julka pomaga nam skompletować stelaż do NS-a.

Siódmy sezon działalności bazy przyniósł wzrost liczby nocujących pomimo zmiennej pogody.

SEZON ÓSMY

27 czerwca – 24 sierpnia 2014 r.
Liczba osobonoclegów: 251

Podobnie jak w latach poprzednich rozbijanie i zwijanie odbyło się bez pomocy traktora i wymagało transportu sprzętu samochodami, a następnie przenoszenia sprzętu w plecakach i rękach.

Właściciel hali poinformował nas, że uruchomiony zostanie ponownie wypas owiec na Przysłopie. Uzgodnił jednak z pasterzami, że użyją bacówek tylko na początku wypasu, a potem zorganizują sobie nocleg. Gdy dotarliśmy skosić łąkę, naszym oczom ukazały się nowe bacówki.

Wypas w tak bliskim sąsiedztwie bazy miał duży wpływ na klimat bazy zarówno pozytywny (świeży nabiał), jak i negatywny (zanieczyszczona łąka, psy). Był to wypas próbny, więc z niecierpliwością czekaliśmy na decyzję o jego kontynuowaniu.

Podobnie jak w latach poprzednich sypialnie od starych namiotów zostały rozstawione w NS-ie. Tak samo nowe namioty wystawiane były tylko wtedy, gdy były potrzebne.

Nieoceniona okazała się pomoc „Ogrodowego" Marka, który przechował sprzęt z bazy w swoim prywatnym garażu w Lalikach oraz wywiózł go na bazę. Bazowi Damian i Przemek zakleili dach wiaty i zrobili wylewkę betonową. Jednak potrzeby z roku na rok rosły. Kilka namiotów nadawało się do wymiany, a wiata wymagała gruntownej przebudowy.

W tym roku zanotowaliśmy zmniejszoną liczbę pobytów bezpłatnych (dla osób, które pomagają przy rozbijaniu/zwijaniu), jednocześnie zachowując podobną liczbę pobytów płatnych. Dużo więcej osób mogło wygospodarować czas tylko na jeden dzień i wracało wieczorem. W tym wypadku argumentem nie był koszt (bezpłatny), lecz brak czasu, który także powodował problemy ze znalezieniem bazowych.

SEZON DZIEWIĄTY

4 lipca – 29 sierpnia 2015 r.
Liczba osobonoclegów: 337

W rozbijaniu uczestniczyło osiem osób pod wodzą Gosi – nowej szefowej bazy. Tym razem rozbity został tylko namiot rodzinny zamiast NS-ów. Powstał maszt na flagę PTTK. Moja wizyta w lipcu miała tylko na celu uzupełnienie ewentualnych braków. A jako że Gosi udało się wszystko ogarnąć, miałem mało roboty. Podobnie jak w roku ubiegłym na polanę sąsiadującą z bazą przybyli bacowie wraz z owcami. Pierwsza połowa wakacji upłynęła spokojnie, turyści korzystali z noclegu głównie w weekendy. W pierwszym tygodniu sierpnia bazę odwiedziła szesnastoosobowa grupa ze Szczecina, która wcześniej rezerwowała nocleg na cały tydzień. Baza wzbogaciła się o ławkę.

Do grona bazowych dołączyli nowi wolontariusze, dzięki którym baza mogła funkcjonować w każdym tygodniu lipca i sierpnia. Na Facebooku „polubiło" nas w sumie 457 osób i m.in. dzięki promocji w internecie coraz więcej turystów trafiło w to miejsce. Nie bez znaczenia okazała się także inicjatywa SKPG „Kraków" i wprowadzenie „Bazowej Odznaki Turystycznej". Przysłop Potócki staje się celem coraz większej liczby piechurów.

Na bazę zakupiono nowe koce i materiały budowlane do remontu wiaty. Jednak w dalszym ciągu część kuchenna wymaga generalnej przebudowy.

Gosia podjęła się prowadzenia bazy w następnym sezonie.

SEZON DZIESIĄTY

2 lipca – 27 sierpnia 2016 r.
Liczba osobonoclegów: 248

Po dziewięciu sezonach oddałem w końcu pałeczkę następczyni. Oczekująca Gosia nie tylko przejęła organizację rozbijania, ale i prowadzenie bazy. Po raz pierwszy w czasie lipcowej wizyty poczułem się na bazie jak turysta, który przyjeżdża nie z obowiązku, lecz dla przyjemności.

Odbył się generalny remont dachu wiaty, a bacówka kuchenna zmieniła wygląd – zniknęła ściana frontowa i zostały wykonane drzwi do wiaty. Miejsce to zostało przeznaczone na skład opału oraz do magazynowania śmieci.

Jako że zamki w dotychczasowym namiocie rodzinnym uległy uszkodzeniu, zakupiony został namiot z dwiema sypialniami.

Ponadto przystąpiliśmy do promowania Dziecięcej Bazowej Odznaki Turystycznej. Kupiło ją u nas dziewięcioro dzieci w wieku 0–10 lat. Na szlakach bazowi umieścili nowe tablice informacyjne (na Przegibku oraz na czarnym szlaku z Soli na Bendoszkę).

SEZON JEDENASTY – 2017 R.

Przygotowania do sezonu rozpoczęły się już w ostatni weekend maja, kiedy to świeżo upieczeni rodzice, Gosia i Dominik oraz Damian i Marianna, postanowili

zabrać swoje pociechy na bazę, by dokonać prac naprawczych po zimie. Poza zakupem materiałów na wymianę podwalin została naprawiona uszkodzona przez wiatr papa. Dodatkowo rozpoczęły się prace nad wymianą podwaliny pod wiatą. Wszystko to po to, by schron mógł służyć nam jeszcze przez lata. Dokładniejszy opis po sezonie może zostanie zamieszczony w następnym „Harnasiu".

PODSUMOWANIE

I tak oto dotarliśmy do końca moich wspomnień. Mam nadzieję, że przed Bazą kolejna dekada. Tym razem o spisywanie wspomnień poproszę Gosię dużo wcześniej – tak by mogła zapamiętać o wiele więcej niż ja. Tak jak wspomniałem na początku, moja pamięć już nie służy, więc opisuję te wydarzenia, które najlepiej zapamiętałem.

Moim następcom życzę wytrwałości nawet wtedy, gdy wydaje się to bez sensu. Nic tak nie pomaga jak radość w oczach młodszego pokolenia, gdy mogą skakać w błocie, pomagać w przygotowaniu ognia i przynosić wodę ze źródła. To dla nich dziś działamy – jeśli odpuścimy, to dzieci nie będą miały szansy na podziwianie gwiazd świecących nad Przysłopem Potóckim. Gdy tworzyliśmy bazę, bliska nam była idea owiec na hali, choć wydawała się nierealna. Siedem lat później owce powróciły, a do dziś pasterze wybudowali trzy nowe budynki pasterskie. Warto trwać i kontynuować działalność, nawet gdy to oznacza masę wyrzeczeń. Gosi i jej następcom życzę, by nie zabrakło im wiary oraz życzliwych i pomocnych ludzi wokół.

Przysłop Potócki, 27 maja 2017 r.

Zdjęcia Marka Świecha

MAŁGORZATA MUSIAŁ

10 LAT MINĘŁO... SBN PRZYSŁOP POTÓCKI

Są takie miejsca, do których warto wracać. Szczególnie jeśli chodzio górskie zakątki. Bo to właśnie przyroda przyciąga najbardziej. Tam w biel odziane pasą się owieczki, tam Wielka Racza wygląda z daleka, tam rozgwieżdżone niebo spogląda na cienie siedzących przy ognisku grajków. Stamtąd nie chce się wyjeżdżać, szczególnie w niedzielę rano. Hamaczek, wiaterek, zimna woda ze strumyka… Tak, zawsze można wracać w poniedziałek. Pierwszy pociąg z Soli do Katowic odjeżdża już o 3.59.

Fenomen studenckich baz namiotowych polega na tym, że spotykasz ludzi, z którymi możesz porozmawiać na ciekawe tematy. Wystarczy chwila, a odnosisz wrażenie, że znasz swojego rozmówcę od dawna. Stykasz się ze szczerością i prawdziwym obliczem drugiego człowieka. Nie ma tu miejsca na kamuflaż, zresztą nie ma takiej potrzeby. Tutaj możesz być sobą. W taki sposób zawiązuje się sporo przyjaźni. Właśnie tak poznałam Piecza.

LEGENDARNY PIECZU

Mówią o nim „legenda bazy", „lodołamacz kobiecych serc", „ten Pieczu, co mieszka w Szkocji". Człowiek, który jest, ale go nie widać, bo gdyby zapytać bazowych, czy go znają, część z nich odpowiedziałaby, że nigdy go nie widziała. Ale z pewnością każdy o nim słyszał. Przyznam, że przed naszym pierwszym spotkaniem w 2012 roku też byłam ciekawa, kto to taki. Zdumiewało mnie, że można zajmować się wolontarystycznie obiektem

w górach z odległości ponad 2 000 km. Zaczynałam wtedy kurs u Harnasi. Pewnego dnia znalazłam wpis na forum, że SBN Przysłop Potócki szuka bazowych w okresie lipiec – sierpień. Od razu poczułam, że to coś dla mnie i postanowiłam skontaktować się z nadawcą ogłoszenia. Okazało się, że bazowym musi być „osoba znana w środowisku górskim". Napisałam więc do Stacha Wierzchowskiego (szefa mojego pierwszego kursu) z prośbą o rekomendację. Oczywiście ją otrzymałam. W pełni świadoma swoich praw i obowiązków pojechałam na pierwsze bazowanie.

Pamiętam, że pierwszego dnia spotkałam po drodze syna leśniczego, który chyba chciał mnie wystraszyć. W rejonie Praszywki swoją gawrę mają niedźwiedzie i nieraz schodzą do Rycerki, i sznupią w śmietnikach… Skoro tak wędrują, to na bazę też mają niedaleko – pomyślałam. Ta sama historia przeraziła inną młodą bazową do tego stopnia, że przez tydzień chroniła się wieczorami z siekierą na poddaszu bacówki. Trochę odetchnęłam z ulgą, kiedy okazało się, że na czas mojego pobytu przyjedzie Pieczu. Ale nie był to leniwie spędzony czas. Szef bazy codziennie zasypywał mnie kolejnymi czynnościami do wykonania: zaimpregnować deski, pozaszywać rozprute zamki w namiotach, wytrzepać koce i materace, poprawić śledzie, zamieść liście w wiacie, posprzątać w bacówce, wymyć i poukładać garnki i, co najistotniejsze – regularnie wylewać zlewki do kibla. Tak jest! Porządek musi być. Chyba poradziłam sobie całkiem nieźle i casting na bazową miałam zaliczony. W następnym roku bazowałam znowu i w końcu zdecydowałam się pomóc Pieczowi w prowadzeniu bazy. Ustaliliśmy, że ja będę zajmować się szukaniem obsady, stroną i facebookiem, a on całą papierologią i rozliczeniami. Taki układ mi odpowiadał, bo nie cierpię rachunków, a kontakty międzyludzkie mam opanowane. I można by rzec, że wszystko toczy się dalej, aż do dnia dzisiejszego, ale nastąpiło sporo zmian.

„IDĄ ŁOWCE PO NIEBIE, KU SWOJEJ KOLEBIE…"

W 2014 roku na Przysłopie zawitały owce. Prawdziwy folklor! Dźwięk dzwoneczków przywieszonych do szyi beczącym „kłębkom wełny", ich widok, kiedy rozchodzą się po polanie, pokrzykujący baca i szczekający psi pomocnicy – to wszystko jest w stanie wyrwać z namiotu nawet najbardziej zaspanych turystów. Na własne oczy można też zobaczyć, jak doi się owce, a nie jest to takie oczywiste. Bobcia bowiem na wykładach z etnografii wielokrotnie podkreślała – owce doi się od tyłu.

To dobrze, że pasterstwo powraca w Beskidy. Wypas w tym rejonie (nie tylko na Przysłopie Potóckim, ale też na Przegibku, Rycerzowej i Wielkiej Raczy) zainicjował Mateusz Rusa z Rycerki Górnej. Oprócz Polaków zatrudnia także dwóch Ukraińców. Stado liczy ok. 200 owiec i kilka kóz od różnych właścicieli,

którzy płacą za ich wypas. Pasterze stali się już naszymi dobrymi sąsiadami i razem ze swoimi podopiecznymi tworzą niesamowity klimat. Jednak wrażliwcy mogą czuć się rozczarowani. Współczesny baca korzysta z samochodu, nie nosi magicznego pasa, a w swoich słowach wyraża się dosadnie i kwieciście… Przytoczę tu opowieść Mileny, która – podobnie jak ja – pała niegasnącym entuzjazmem do tego miejsca. Akurat podczas swojego dwutygodniowego bazowania obchodziła urodziny. W ten szczególny dzień postanowiła poczuć się wyjątkowo. Wzięła prysznic (w warunkach wiadomych), umyła włosy i zrobiła makijaż – po raz pierwszy od dwóch tygodni. W końcu czasem można poczuć się jak prawdziwa kobieta. Kiedy jej odmieniona twarz spotkała się ze spojrzeniem bacy, usłyszała zaskakujący komplement, płynący ze szczerych, poczciwych uczuć rozmówcy: „Jak ten skur**syn wyładniał!" Panowie, no cóż, w innych okolicznościach i w innym miejscu takie słowa byłyby nie do przyjęcia. Milenka oczywiście wybuchnęła gromkim śmiechem. Kiedy pasterze dowiedzieli się, że ma urodziny, podarowali jej prezent – redykołki w kształcie serduszka.

POTÓCKIE OSOBISTOŚCI

Pieczu nie jest jedyną legendą bazy i jedyną jej indywidualnością. Takich Księstwo Potóckie posiada więcej. Znacie Artura? Kto by go nie znał. Człowiek skromny, nielubiący rzucać się w oczy, a zarazem niezwykle towarzyski. Ma niesamowite poczucie humoru. Anglista z wykształcenia, filozof z zamiłowania. Niczym Sokrates uświadamia wierzącym, że nic nie wiedzą. Przegadaliśmy już wiele godzin na temat istoty boskości we wszechświecie. Niestety, ile razy się to dzieje, tym bardziej przekonuję się o tym, że *scio me nihil scire*. Przebywając kilka dni na bazie, stapiając się z naturą, pewne pytania o sens bytu nasuwają się same. Wtedy warto porozmawiać z Arturem. Aczkolwiek nie rozwiał wszystkich moich wątpliwości. Skomplikował moje myśli jeszcze bardziej, skłaniając do dalszych poszukiwań.

Natchnienia szukają u nas poeci. Wieczorem przy ognisku deklamują wiersze. Tomek Brodzki i jego przyjaciele z „Syndykatu Poeciarzy" wielokrotnie już urządzali na bazie wieczorki poetyckie, wprawiając słuchaczy w metafizyczną zadumę. Takiego klimatu nie zapewni żadne schronisko.

Tutaj można zakochać się na zabój: w przyrodzie, przestrzeni, górach... Zakochać można się w kimś nowym albo uświadomić sobie, że kochamy tych, którzy są z nami na co dzień. Może czasem trzeba wyjechać w góry po to, żeby to zrozumieć? Zdarzają się też romantyczne historie. Kinga i Marcin poznali się przez internet. Postanowili pojechać w góry. Szli czarnym szlakiem z Soli na Przegibek, gdzie zaplanowali nocleg. Po drodze zatrzymali się na bazie i, jak to często bywa, zadecydowali, że zanocują w namiocie. Kilka tygodni później Marcin napisał do mnie wiadomość, że są z Kingą zauroczeni bazą i chcieliby bazować w następnym roku. Przyjechali w kolejne lato już jako para, z kolei rok później wzięli ślub w małej kapliczce na Przegibku. Na Przysłop Potócki starają się przyjeżdżać w każde wakacje. Nawet teraz, kiedy przeprowadzili się do Gdyni, na bazowanie jechali ponad 700 km. Wcale im się nie dziwię. Tu jest po prostu pięknie.

Baza posiada także swojego budowniczego – Damiana, który jest przykładem niezwykłej determinacji. Podobnie jak Pieczu pokonuje setki kilometrów, żeby tu przyjechać. Damian mieszka w Niemczech, ale ciągnie go w polskie Beskidy. Ma fach w ręku, więc wykorzystuje swoje umiejętności w udoskonalaniu bazowej wiaty. Pomagają mu brat Adam i ojciec Jan. Ich pomoc jest niezastąpiona. A co najważniejsze – chce im się coś robić. Taka inicjatywa to rzadkość. W zeszłym roku zrobili nowy dach, dzięki czemu przy większej ulewie nie trzeba wylewać z wiaty wody wiadrami. Wreszcie nic nie cieknie! W tym roku udało im się wymienić podwaliny, wstawić okna i uszczelnić ściany. Powstała także nowa bokówka dla bazowego z malowidłami Marianny. Od razu przyjemniej tu spać i patrzeć na ozdobione ściany z kwiatowymi ornamentami. W przyszłości zapewne przybędzie ich więcej.

CO ROKU COŚ SIĘ TU ZMIENIA

Baza to prawdziwy raj dla maluchów. Mikołaj, Franek i Emil przyjeżdżają tu z mamą Iloną na coroczne bazowanie. Najmłodszy z nich – Emil, miał zaledwie 2 miesiące, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy. Nie wiem, czy komuś uda się pobić ten rekord. Pozostałe „bazowe dzieci" – Maks Damiana i Marianny oraz nasz Karolek, również odwiedzili bazę bardzo wcześnie: w 4. i 7. miesiącu życia. Wiele matek jest przerażonych, że coś może się stać ich maleństwu zaraz po urodzeniu, więc rezygnują one z wyjazdów w góry, a co dopiero pod namiot. A maluszkowi tak naprawdę niewiele potrzeba do szczęścia, ważne, żeby mama była blisko. Ilona jest najlepszym przykładem na to, że da się to wszystko pogodzić. Bazowanie to też idealna forma spędzania wakacji dla całej rodziny: tanio, atrakcyjnie i niecodziennie.

W ostatnich latach rzeczywiście wśród turystów odwiedzających bazę sporo jest rodzin z dziećmi. Na pewno ma na to wpływ ogłoszona przez Oddział Akademicki w Krakowie Dziecięca Bazowa Odznaka Turystyczna, którą można u nas kupić. Przeznaczona jest dla dzieci w wieku 0–10 lat. To doskonała reklama dla wszystkich baz namiotowych i propagowanie turystyki kwalifikowanej wśród dzieci, krzewienie miłości do gór już od najmłodszych lat.

PODZIĘKOWANIA

Czas podsumować 10 lat funkcjonowania bazy i podziękować osobom, dzięki którym ona istnieje. 15 lipca 2017 roku obchodziliśmy okrągłe 10-lecie. Ale nie byłoby czego świętować, gdyby nie Pieczu i jego mocne postanowienie, żeby na tej malowniczej przełęczy w Beskidzie Żywieckim, w Worku Raczańskim, utworzyć bazę namiotową. Podziękowania należą się przede wszystkim bazowym. Za to, że po prostu są. Bez ludzi bowiem nie byłoby takich miejsc. Dziękuję też mojemu mężowi Dominikowi za to, że pomaga mi w prowadzeniu bazy, a zwłaszcza w jej corocznym rozliczaniu. Bez pomocy Eweliny – naszej pani leśniczy, i Marka Ogrodowego nie mielibyśmy gdzie trzymać wyposażenia poza sezonem. Dziękuję Kamilowi Ziętkowi za prowadzenie strony internetowej. Szczególne podziękowania należą się Michałowi Kulankowi, który w tym roku włożył dużo wysiłku w promocję bazy: wyznakował szlak bazowy z Rycerek, koordynował rozwieszenie tabliczek na szlakach, zajął się drukiem bazowych koszulek, pocztówek, naklejek, plakatów i pieczątki. Podziękowania należą się także Oddziałowi Uczelnianemu PTTK w Gliwicach oraz Komisji Akademickiej PTTK za wsparcie finansowe.

Zdjęcia Marka Świecha

ZBIGNIEW DRAPAŁA

WYBRANE BESKIDZKIE UZDROWISKA NA PRZESTRZENI OSTATNICH 200 LAT

HISTORIA UZDROWISK W POLSCE

Pierwsze wzmianki o leczniczym działaniu wód pochodzą z XI wieku. Wtedy to Judyta, żona Władysława Hermana, podjęła się leczenia bezpłodności źródłami siarczanowymi w Inowłodzi nad Pilicą. Po spożyciu tamtejszej wody udało się jej zajść w ciążę, a następnie urodzić dwóch synów – Bolesława Krzywoustego oraz Zbigniewa [9].

Wraz z falą osadniczą na terenach podgórskich i górskich w XIII i XIV wieku dochodziło do odkrywania bogactw na niezamieszkałych dotąd terenach. Jednym z pierwszych miejsc na terenie Beskidów, w których znaleziono i zaczęto wykorzystywać źródła wypływające na powierzchnię ziemi, była Rabka. Stało się to dzięki cystersom, którym w tamtym czasie przekazano tzw. terytorium ludźmierskie [14].

Za sprawą, nawet przypadkowego, odkrycia właściwości leczniczych wód pojawiła się potrzeba klasyfikacji i badań naukowych związanych z tym bogactwem. Pierwszym, który się ich podjął, był Wojciech Oczko – XVI-wieczny doktor medycyny i filozofii, lekarz kilku królów polskich, m.in. Stefana Batorego. Dzieło, wydane w 1578 roku, zatytułowane „Cieplice" stanowiło pionierską pozycję dla rodzącej się dopiero balneologii. Zawierało ono klasyfikację znanych już wód

mineralnych i leczniczych występujących na terenie Polski oraz ich działanie i metody leczenia. W tej książce po raz pierwszy wspomniano o takich uzdrowiskach jak Iwonicz czy Swoszowice [9].

Następnie, po dokonaniu medycznego opisu poszczególnych rodzajów wód, stworzono odpowiednie warunki do korzystania z ich właściwości leczniczych. Miało to jednak miejsce dopiero pod koniec XVIII wieku, kiedy swoje początki jako uzdrowiska – także pod względem infrastruktury – miały Druskienniki na Wileńszczyźnie oraz Krynica [9]. Ta druga, będąca pod zarządem austriackim, z początku nie była tłumnie odwiedzana. Dopiero w 1856 roku Józef Dietl, ówczesny profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz uznany balneolog, stworzył w podupadającym uzdrowisku komisję dotyczącą lecznictwa w Krynicy [8].

Dietl przyczynił się w latach 50. XIX wieku do rozwoju kolejnych miejscowości: Szczawnicy, Iwonicza, Żegiestowa, Muszyny, Rabki. Po zbadaniu miejscowych wód i ich właściwości leczniczych zaczęto budować dostosowaną do potrzeb infrastrukturę uzdrowiskową – łazienki, pijalnie wód, domy zdrojowe, wille, sanatoria [11][13]. Łatwiej dostępne źródła obudowywano w wiaty. Aby uprzyjemnić czas wolny, tworzono miejsca rozrywek, np. muszle koncertowe, place, parki zdrojowe.

Warto zaznaczyć, że liczba kuracjuszy zależała w końcu XIX wieku i początku XX wieku nie tylko od liczby miejsc w sanatoriach. Duże znaczenie miała również dostępność miejscowości pod kątem komunikacji publicznej lub innych form transportu. Władze uzdrowisk starały się najpierw budować jak najlepsze drogi utwardzone (dopiero w 1876 roku udało się stworzyć nową bitą drogę z Muszyny, dokąd dojeżdżała kolej, do Krynicy, co znacznie wpłynęło na renomę tego miejsca jako uzdrowiska i miejscowości wypoczynkowej [8]), a potem – doprowadzić linię kolejową do samych uzdrowisk (w Rabce – 1884 rok [7]; w Krynicy – 1911 rok [8]; w Wiśle – 1929 rok [5]).

Po I wojnie światowej stworzono pierwsze akty prawne, które charakteryzowały uzdrowiska, wskazywały wymagania oraz regulowały wszelkie działania na ich terenie. Pierwszą z nich była ustawa o uzdrowiskach z dnia 23.03.1922 roku. W kolejnych latach ukazywały się następne ustawy dotyczące m.in. przepisów sanitarnych i budowlanych. W 1934 roku z inicjatywy Ministra Opieki Społecznej powstała Państwowa Rada do spraw uzdrowisk.

Obecnie obowiązującym w Polsce aktem prawnym jest ustawa z dnia 28.07.2005 roku o lecznictwie uzdrowiskowym, uzdrowiskach i obszarach ochrony uzdrowiskowej oraz o gminach uzdrowiskowych.

POBYT W UZDROWISKU BESKIDZKIM DAWNIEJ

Głównym celem pobytu była kuracja bogactwem, którym natura obdarowała poszczególne uzdrowiska. W ramach leczenia korzystano z następujących zabiegów: [1]

- spożywanie wód mineralnych prosto ze źródeł (solanki, szczawy wapniowo -żelaziste);
- kąpiele w podgrzewanych wodach mineralnych;
- kąpiele borowinowe;
- kąpiele rzeczne;
- kąpiele elektrostatyczne;
- pobieranie inhalacji z gorących wód mineralnych w zakładach hydropatycznych;
- zajęcia gimnastyczne.

Po skończonych zabiegach zostawało wystarczająco czasu, aby wczasowicze mogli również zadbać o kulturę i rozrywkę. W tym celu kuracjusze wychodzili na spacery do okolicznych parków zdrojowych, lasów, czasem nawet na dalsze piesze wycieczki górskie. W muszlach koncertowych wysłuchiwali koncertów orkiestr i zespołów lub oglądali przedstawienia teatralne. Na terenie uzdrowisk odbywały się różnego rodzaju odczyty literackie, bale, loterie fantowe. Kuracjusze korzystali również z lokalnych bibliotek i czytelni [1].

USTROŃ

Lecznicze właściwości rozgrzanego żużlu wielkopiecowego odkryte zostały w Ustroniu pod koniec XIX wieku. Popularne gierzynowe kąpiele stworzyły obraz tej miejscowości jako uzdrowiska. W 1804 roku poczyniono pierwsze kroki ku stworzeniu zaplecza uzdrowiskowego z prawdziwego zdarzenia – wybudowano Hotel „Kuracyjny", w którym można było zarówno otrzymać nocleg, jak i zażyć kąpieli w wodzie leczniczej. Kilkadziesiąt lat później za budynkiem Hotelu utworzono park zdrojowy. W 1901 roku otworzono niedaleko siedziby Hotelu „Kuracyjnego" kolejny budynek uzdrowiskowy, gdzie odbywały się przede wszystkim kąpiele borowinowe. Okres międzywojenny nie był przychylny Ustroniowi – miejscowość ta przegrała walkę o renomę z Wisłą. Dopiero w 1967 roku władze państwa zdecydowały o rozbudowie infrastruktury uzdrowiskowej w Ustroniu. W kilka lat wybudowano, do dziś funkcjonujący jako ośrodek leczniczy, ogromny kompleks w dzielnicy Zawodzie – sanatorium „Równica", kilkadziesiąt tzw. piramid, Nowy Dom Zdrojowy, Śląskie Centrum Rehabilitacji [5].

Współcześnie kontynuowane jest działanie Ustronia jako uzdrowiska. Dużą część kompleksu zajmują w tej chwili hotele i restauracje (dawny Hotel „Kuracyjny" czy część „piramid") oraz prywatne pensjonaty (dawny zakład kąpieli borowinowych – dzisiaj Willa „Alma"). Ponadto wybudowało się kilka potężnych, nowoczesnych hoteli kilkugwiazdkowych, których standard stanowczo przewyższa standard np. sanatorium „Równica".

WISŁA

Wisłę jako uzdrowisko niejako stworzył Bogumił Hoff, etnograf, który pierwszy raz gościł tu w 1882 roku, a trzy lata później osiadł w Wiśle na stałe. Z jego inicjatywy najpierw wybudowano kilkanaście willi wypoczynkowych, a następnie w 1911 roku Zakład Wodoleczniczy „Źródło Wisły", w którym znajdowały się zakład hydropatyczny oraz łazienki. Po wojnie nastąpiło apogeum w rozwoju wiślańskiego uzdrowiska – wybudowano otwarty basen kąpielowy, Dom Zdrojowy z salą kinową, bibliotekę z czytelnią oraz urządzono park zdrojowy. W roku 1955 opracowano dalszy plan rozwoju Wisły jako uzdrowiska, który przewidywał budowę domów wczasowych na zboczach Partecznika, Jarzębatej i Bukowej. W 1961 roku wybudowano muszlę koncertową [5][18].

Dzisiaj Wisła stała się, podobnie jak Ustroń, miejscowością bardziej wypoczynkową niż uzdrowiskową. Muszla koncertowa rozbudowana została do dużych rozmiarów amfiteatru, w Domu Zdrojowym funkcjonuje restauracja, a otwarty basen kąpielowy od kilku lat nie jest czynny. Rozbudowała się za to ogromna liczba pensjonatów i hoteli, małych i dużych (Hotel „Gołębiewski").

JAWORZE

Miejscowość funkcjonuje jako uzdrowisko od połowy XIX wieku. Ówcześni właściciele, rodzina Saint-Genois, wybudowali park zdrojowy wraz z łazienkami, domem zdrojowym oraz liczne wille dla letników. Pod koniec XIX wieku uzdrowisko chyliło się ku upadkowi, jednak po wielu latach walki lekarskiej rodziny Czopów kurort odzyskał swoją świetność. Ponownie Jaworze odwiedzane było przez pisarzy, uczonych, badaczy. Tuż przed II wojną światową wybudowano nowoczesne sanatorium dziecięce, funkcjonujące dzisiaj jako Beskidzki Zespół Leczniczo-Rehabilitacyjny [5][6].

Obecnie Jaworze to spokojna i cicha miejscowość, mająca jedynie znamiona kurortu beskidzkiego. Stale rozbudowuje się infrastruktura hotelowa, jednak sama miejscowość słynie w świadomości turystów z pięknego zespołu pałacowego, parku oraz kościołów ewangelickiego i rzymskokatolickiego.

RABKA

Pierwsze budynki przyrodolecznicze otwarte zostały w 1864 roku po zaskakujących badaniach, które przeprowadził Józef Dietl. Mianowicie okazało się, że Rabka posiada jedne z najlepszych solanek w Europie. Właściciel miejscowości, Julian Zubrzycki, wybudował łazienki i pijalnię wód oraz kilka willi dla letników. Z końcem XIX wieku ważną rolę w historii tego uzdrowiska odegrał dr Kazimierz Kaden. Przyczynił się on do utworzenia parku zdrojowego, dbał również o rozwój Rabki jako miasta. W 1887 roku otwarto pierwszy szpital dla dzieci chorych na gruźlicę. W okresie międzywojennym budowano kolejne sanatoria w stylu modernistycznym, m.in. sanatorium „Lotos". W czasie II wojny światowej Rabka dotkliwie ucierpiała. W roku 1946 uzdrowisko stało się państwowym przedsiębiorstwem, za sprawą którego w krajobrazie miasta zaczęły przeważać głównie betonowe domy wczasowe [7][14].

Dzisiaj na reprezentacyjnej dla Rabki ul. Orkana coraz więcej historycznych budynków niszczeje lub nawet przestało istnieć. W miejscu dawnych łazienek stoi w tej chwili zakład przyrodoleczniczy. Nie znajdziemy również dawnej muszli koncertowej naprzeciwko łazienek. Willa „Trzy Róże" to budynek obecnie jedynie straszący swoim wyglądem. Z drugiej strony Rabka może chwalić się pięknie urządzonym parkiem zdrojowym i znajdującą się w budynku dawnej pijalni kawiarnią.

SZCZAWNICA

Początek funkcjonowania miejscowości jako uzdrowiska datuje się na 1820 rok, kiedy to ówczesny właściciel Szczawnicy, Kutschera, otworzył niewielki kompleks pijalni oraz dwa domy kuracyjne. Kontynuował również eksport wody rozpoczęty kilkanaście lat wcześniej. Następni właściciele – Szalayowie – wpłynęli na uzdrowisko w znacznie większym stopniu. Otwarto Górny Zakład Zdrojowy, zlecono naukową analizę chemiczną wód, a także zatrudniono lekarza zdrojowego. Kilka lat po wizycie w Szczawnicy Józefa Dietla wybudowano Dolny Zakład Zdrojowy. Po śmierci Józefa Szalaya w 1876 roku obydwa zakłady zdrojowe przeszły na własność Akademii Umiejętności. Dzięki niej w 1884 roku wybudowano okazały „Dworek Gościnny". 5 lat później dr Józef Kołączkowski wybudował Hydropatię. W 1909 roku uzdrowisko wykupione zostało przez Adama Stadnickiego, który dokonał gruntownej modernizacji obiektów oraz zlecił ponowną analizę chemiczną szczawnickich wód. W 1936 roku z jego inicjatywy wybudowano Inhalatorium.

Po wojnie uzdrowisko upaństwowiono, a nowo powstałe sanatoria, np. sanatorium „Hutnik", przeznaczone zostały dla konkretnej grupy pracowniczej. W roku 2005 część uzdrowiskowa Szczawnicy ponownie trafiła w ręce rodziny Stadnickich [10].

Dzisiaj Szczawnica to prężnie rozwijający się kurort. Odrestaurowany kilka lat temu Plac Dietla wraz z okolicznymi budynkami zachwyca swoim pięknem. Wiele willi z końca XIX i początku XX wieku nadal istnieje i funkcjonuje jako pensjonaty. W odnowionej pijalni możemy skosztować wód z wielu szczawnickich źródeł. Oprócz uzdrowiskowej części Szczawnica kładzie nacisk na promocję otaczających ją Pienin jako miejsca wartego odwiedzenia, a zimą zachęca do skorzystania ze stoku narciarskiego na Palenicy.

KRYNICA

Pierwsze budynki przyrodolecznicze otwarto w 1793 roku, jednak z powodu złych dróg lokalnych Krynica nie była odwiedzana tłumnie przez wczasowiczów. Zmieniło się to w roku 1856, kiedy badaniem miejscowych zdrojów zajął się Józef Dietl. W ciągu następnych 30 lat powstała większość istniejących do dziś budynków uzdrowiskowych – łazienki, pijalnia wód, dom zdrojowy, wille i pensjonaty. W okresie międzywojennym Krynicę rozsławił Jan Kiepura, wchodząc w posiadanie willi „Patria" oraz koncertując w tej miejscowości. Wybudowano wtedy również kolej na Górę Parkową, która istnieje i działa do dziś [8]. Po wojnie duży udział w kształtowaniu Krynicy miało państwo, budując kilka domów wczasowych odstających estetyką od dotychczasowych zabudowań uzdrowiska.

Dzisiaj Krynica to obok Szczawnicy najprężniej rozwijający się i najchętniej odwiedzany kurort w Beskidach, którego oferta uzdrowiskowa jest niezmiennie bogata. W Domu Zdrojowym można skosztować różnych wód mineralnych, a w jego okolicach przetrwało kilka drewnianych willi. Rokrocznie odbywają się Festiwal Muzyczny im. Jana Kiepury oraz Forum Ekonomiczne, w czasie którego spotykają się politycy i przedsiębiorcy z całego świata [11][13].

IWONICZ

Jako uzdrowisko miejscowość ta zaczęła w pełni funkcjonować na początku XIX wieku. Sporządzono wtedy analizy chemiczne wód oraz otwarto łazienki i zdroje. W połowie XIX wieku Iwonicz odwiedzał Józef Dietl, korzystając z tutejszych dobrodziejstw. W okresie międzywojennym wybudowano istniejące do dziś sanatorium „Excelsior", a po wojnie – w zachodniej części Iwonicza kilka sanatoriów robotniczych [5].

Do dzisiaj zachowała się w Iwoniczu ogromna ilość zabudowy uzdrowiskowej. Nad miasteczkiem góruje wieża zegarowa willi „Bazar" oraz Łazienki z Domem Zdrojowym. Często występujący motyw na wszelkich pocztówkach to nadal istniejąca charakterystyczna ośmioboczna altana nad źródłami „Amelia" i „Karol". Wciąż funkcjonuje wiele dawnych willi i pensjonatów, m.in. „Biały Orzeł" czy „Ustronie".

RYMANÓW

Odkrycia tutejszych źródeł dokonał w 1876 roku hr. Stanisław Potocki. Oficjalnie uzdrowisko otwarto 5 lat później. Pierwsze budynki uzdrowiskowe, które powstały w Rymanowie, to Dom Zdrojowy, pijalnia, „Zielony Domek" oraz „Dworzec Gościnny". Przez następnych kilkanaście lat otwierane były kolejne wille dla kuracjuszy. W 1912 roku Rymanów nawiedził pożar, na skutek którego zniszczeniu uległa część zabudowy uzdrowiska. W okresie międzywojennym uzdrowisko polepszyło swój status – ponownie zaczęły działać łazienki, zaczęto również stosować kąpiele borowinowe. W czasie II wojny światowej rozwój Rymanowa ponownie został zahamowany [5].

Obecnie nadal funkcjonuje pijalnia wód. W dawnych łazienkach działa sanatorium „Eskulap". Zachowało się też kilka dawnych drewnianych willi.

WYSOWA

Za początek uzdrowiska uznaje się wybudowanie w 1812 roku przez Ignacego Zychowicza łazienek wraz z pokojami gościnnymi. W kolejnych latach powstawały kolejne budynki przyrodolecznicze, jednak zwiększenie liczby kuracjuszy odwiedzających Wysową odnotowano w 1876 roku po wybudowaniu drogi gruntowej z Ropy. W okresie międzywojennym wzniesiono nowe budynki zdrojowe, w tym do dziś funkcjonującą drewnianą pijalnię wód mineralnych. II wojna światowa zatrzymała rozkwit Wysowej. Dopiero w roku 1959 teren uzdrowiska przejęło państwo, a następnie wybudowało nowe domy wczasowe i sanatoria, takie jak np. „Biawena" czy „Glinik" [5].

Dzisiaj Wysowa kontynuuje swoją historię jako miejscowość uzdrowiskowa. Powstałe po I wojnie światowej zakłady lecznicze wciąż istnieją i oferują kuracje. Co więcej, niedawno otwarto w okolicach zrewitalizowanego parku zdrojowego stylową krytą pływalnię.

UZDROWISKA A SPA

Obecnie bardzo często w kontekście oferty turystycznej kurortów spotyka się określenie SPA. Wbrew pozorom trudno jest jednoznacznie zdefiniować znaczenie tego słowa.

W wielu źródłach możemy spotkać opinię, że jest to skrót łacińskiego stwierdzenia *Sanus per aquam* („zdrowy poprzez wodę") lub *Sanitas per aquam* („zdrowie poprzez wodę"). Taką tezę popierałyby wodolecznicze właściwości zabiegów w ramach SPA. Ta etymologia jest jednak błędna. Wyrażenie SPA pochodzi od nazwy znanego belgijskiego kurortu Spa [16].

Dlaczego więc nie mówi się dzisiaj o kąpielach wodnych czy zdrojowych, tylko uznaje się, że są to szeroko pojęte zabiegi SPA? Powodów jest kilka.

Po pierwsze – jesteśmy przez cały czas świadkami ewolucji samego języka. Do naszego słownika wchodzą nowe zapożyczenia, a jednym z nich jest właśnie wyrażenie SPA. Jego popularność rozpoczęła się w krajach anglosaskich i przywędrowała aż do Polski.

Po drugie – pod słowem SPA kryje się znacznie większy wachlarz możliwości i usług. Współcześnie celem przyjazdu do kurortu nie jest jedynie poprawienie swojego zdrowia za sprawą leczniczych wód czy czystszego powietrza. Gros kuracjuszy przybywa w celu odpoczynku i relaksu i to dają im właśnie zabiegi SPA. Oprócz kąpieli wodnych czy borowinowych ośrodki zapewniają zabiegi kosmetyczne, relaksacyjne czy gimnastyczne, które mają poprawić samopoczucie klientów. Wiąże się to również z rozwojem wielu dziedzin medycyny, na której pieniądze mogą zarobić właściciele luksusowych hoteli i pensjonatów.

Po trzecie i ostatnie – SPA brzmi modnie, jest wyznacznikiem przynależności do wyższej, bogatszej grupy społecznej. W artykule Doroty Kopczyńskiej (Uniwersytet Warszawski) pt. „SPA – wanna, zabieg, ośrodek, hotel czy filozofia?" padają takie słowa: „Żyjemy w ciągłym biegu, intensywnie pracujemy, a potem chcemy wypoczywać równie szybko i intensywnie. Fundujemy sobie weekend w spa i do woli korzystamy z zabiegów. Poza tym spa jest teraz modne, stanowi oznakę prestiżu, po prostu wypada tam bywać" [16]. Działa to oczywiście w obie strony. Właściciele obiektów noclegowych równie chętnie wykorzystują hasła SPA czy wellness w celu przyciągnięcia bogatszych klientów i słownego podwyższenia wszelkich standardów panujących w ich hotelu.

Warto zastanowić się, czy taki kierunek rozwoju kurortów wypoczynkowych w Beskidach jest właściwy. Z jednej strony – tak, ponieważ im większy zakres usług, z których może skorzystać wczasowicz i które jednocześnie zapewniają u niego dobre samopoczucie, tym częściej będzie wracał, a co za tym idzie – zostawiał pieniądze. Powstaną nowe miejsca pracy, o którą w mniejszych miejscowościach jest bardzo trudno. Z drugiej jednak strony tracą na znaczeniu historyczne pojęcie uzdrowiska i jego walory społeczne. Na starych fotografiach możemy zobaczyć, jak pensjonariusze wychodzili na wspólne spacery do parków zdrojowych, popołudniami spotykali się z okazji rozmaitych wydarzeń, organizowanych przez władze uzdrowiska. Wyjazd do uzdrowiska traktowany był jak wielkie wydarzenie, wielu ludzi spędzało tam długie miesiące. W tzw. hotelach SPA na pierwszym miejscu stawia się spokój i wygodę jednostki – klienta. Próbuje się dać maksimum udogodnień i przyjemności w minimum czasu, a wszystko ma odbywać się w obrębie hotelu, bez konieczności wychodzenia poza jego teren. W ten sposób nie wykorzystuje się wszystkich naturalnych dóbr, które istnieją w okolicy, np. źródeł wód mineralnych, pięknych lasów, wspaniałych zabytków czy często bogatej oferty kulturalnej.

BIBLIOGRAFIA

1. Dr Xawery Gorski, Polski przewodnik po zdrojowiskach, „Przegląd Zdrojowy", 1904.
2. Polskie Towarzystwo Balneologiczne, Przewodnik po Galicyi zawierający opis zdrojowisk, uzdrowisk, zakładów leczniczych polskich oraz miast Krakowa i Lwowa, Kraków, 1911.
3. H. Mianowski, Znaczenie gospodarcze ruchu turystyczno-uzdrowiskowego w Polsce – rozważania na czasie, Kraków, 1934.
4. Związek Pensjonatów w Wiśle, Wisła. Największe uzdrowisko śląskie u źródeł Wisły, 1937.
5. M. Barański, Beskid Śląski – przewodnik, Oficyna Wydawnicza Rewasz, 2007.
6. J. Roik, Dzieje Jaworza na przestrzeni wieków, Jaworze, 2010.
7. Praca zbiorowa, Gorce – przewodnik dla prawdziwego turysty, Oficyna Wydawnicza Rewasz, 2011.
8. Praca zbiorowa, Beskid Niski – przewodnik dla prawdziwego turysty, Oficyna Wydawnicza Rewasz, 2012.
9. Uzdrowiska polskie. Reprint wydania z 1936 roku, Wydawnictwo Księży Młyn, 2012.
10. www.200lat-uzdrowisko.pl
11. www.krynica.pl
12. www.muzeum.ustron.pl
13. www.kuriergalicyjski.com
14. www.rabka.pl
15. www.rymanow-zdroj.pl
16. www.tjk.uw.edu.pl
17. www.wikipedia.pl
18. www.wisla.pl

MAŁGORZATA UMAN-NTUK

ZMIANA GRANIC POLSKI I SKŁADU NARODOWEGO NA PRZESTRZENI WIEKÓW

ZE SZCZEGÓLNYM UWZGLĘDNIENIEM TERENU UPRAWNIEŃ PRZEWODNIKA BESKIDZKIEGO

Przez całe stulecia Polska sąsiadowała na wschodzie z Rusią, na południu z Czechami, Węgrami i Austrią. Przez ponad 900 lat sąsiadem Polski były Węgry. Granice te wielokrotnie ulegały zmianom na skutek wzajemnych sąsiedzkich najazdów. Aż do upadku I Rzeczpospolitej granica południowa biegła pasem ziemi niczyjej obejmującej niezamieszkały teren gór zwanych Beskidami. Kolonizacja polska od północy i węgierska od południa zawęziła ten pas do głównego wododziału europejskiego. Dopiero w 1782 r. Austriacy sporządzili mapę tych terenów. Góry przez ponad 100 lat nie oddzielały już Polski od sąsiadów, a południowa część naszego kraju była częścią Austrii, a później monarchii Austro -Węgierskiej.

GRANICE PAŃSTWA POLSKIEGO DO CZASÓW ROZBIORÓW

KSIĘSTWO CIESZYŃSKIE

Śląsk Cieszyński był częścią Księstwa Raciborskiego rządzonego przez Piastów Śląskich. Najstarszy syn Władysława Opolskiego, Mieszko, ok. 1290 r. otrzymał rozległe tereny pomiędzy rzekami Ostrawicą a Sołą. Na obszarze tym istniały dwa ważne miasta: Cieszyn i Oświęcim. Cieszyn został wybrany na stolicę, a Mieszko stał się założycielem linii Piastów cieszyńskich, panującej do 1653 r.

Prawdopodobnie w 1315 r. nastąpił podział księstwa wzdłuż rzeki Białej pomiędzy synów Mieszka: Władysław objął część oświęcimską, Kazimierz część cieszyńską.

18 lutego 1327 r. książę cieszyński Kazimierz złożył w Opawie hołd lenny królowi czeskiemu Janowi Luksemburskiemu. Odtąd Księstwo Cieszyńskie stanowiło lenno korony czeskiej. Po 1653 r., czyli po śmierci Elżbiety Lukrecji – ostatniej Piastówny – księstwo przeszło pod panowanie Habsburgów i stało się odrębną prowincją Austrii.

Księstwo Cieszyńskie traciło ziemie na skutek ekspansji Węgrów, którzy przekroczyli Wag. Spory graniczne trwały przeszło 400 lat i dopiero w 1793 r. granica została definitywnie określona na głównym grzbiecie Beskidów.

KSIĘSTWO OŚWIĘCIMSKIE I ZATORSKIE

Księstwo Oświęcimskie powstało ok. 1315 r. w wyniku podziału Księstwa Cieszyńskiego. W 1327 r. książę oświęcimski Jan I Scholastyk złożył hołd lenny królowi Czech Janowi Luksemburskiemu. Przeszło 100 lat później zostało wydzielone Księstwo Zatorskie. 19 marca 1454 r. Jan IV (ostatni książę oświęcimski) złożył hołd lenny królowi Polski, Kazimierzowi Jagiellończykowi, a 21 lutego 1457 r. sprzedał mu swoje księstwo za 50 000 kop groszy praskich. W 1564 r. Księstwo Oświęcimskie i Zatorskie wcielono do Korony Królestwa Polskiego i przyłączono do województwa krakowskiego jako powiat śląski.

Tereny dawnego Księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego należące do Polski Austria zagarnęła podczas I rozbioru Polski, powołując się na prawa Korony Czeskiej do tych ziem.

ORAWA

Ziemie orawskie obejmujące dorzecze Orawy aż do jej ujścia do Wagu należały do Polski. Kolonizacja węgierska posuwała się od południa doliną Orawy ku grzbietom Beskidów. Ważnej drogi handlowej do Polski strzegł zamek orawski, który stanowił również centrum administracyjne dla całej Orawy. Zamkiem i Orawą władali z nadania królów węgierskich również Polacy: Ścibor Ściborowic herbu Ostoja i „hrabia Liptowa i Orawy" – Piotr Komorowski. Węgrzy, zasiedlając te tereny, przesunęli granicę Orawy na grzbiet Beskidów od Policy przez przełęcz Bory Orawskie i Żeleźnicę.

SPISZ

Olbrzymie części Spisza pozostawały przez wiele wieków we władaniu Polski. Już Bolesław Chrobry przyłączył je do Polski, a granicą była do wieku XIV rzeka Hornad. Państwo węgierskie, kolonizując te tereny, stopniowo przesuwało granicę na północ. Węgrzy zajęli Kotlinę Popradu, Zamagurze i w następnych latach Polska straciła Podoliniec oraz Starą Lubowlę, które wcześniej należały do Ziemi Sądeckiej.

Kolonizacja Spisza następowała również od strony polskiej przez osadników z Ziemi Sądeckiej. Po spustoszeniach w czasie najazdów tatarskich sprowadzono na te tereny ludność niemiecką z okolic Nadrenii, Śląska i Saksonii. W czasie kolonizacji tzw. saskiej lokowano na prawie niemieckim większość miast spiskich. Ich nazwy przypominają o pochodzeniu pierwszych mieszkańców: Falsztyn – Sokola Skała (Falkenstein), Kacwin – Koci Zakątek (Katzwinkel), Krempachy – Kręty Potok (Krummbach), Kieżmark – Serowe Jarmarki (Kase Markt). Po kolonizacji niemieckiej w wieku XV rozpoczęła się kolonizacja wołoska.

Węgrzy panowali nad całym Spiszem do 8 listopada 1412 r. W tym dniu król Władysław Jagiełło podpisał z królem węgierskim i niemieckim Zygmuntem Luksemburskim umowę pożyczki 37 000 kop groszy praskich, czyli ok. 7,5 tony srebra. Część terenów Spisza stanowiła zabezpieczenie udzielonej pożyczki. Pożyczka miała być zwrócona w miejscu jej wypłaty, czyli na zamku w Niedzicy, który w tamtych czasach znajdował się na terytorium węgierskim.

Jako tzw. zastaw spiski Polsce przypadły:

- Lubowla wraz z zamkiem, który stanowił siedzibę kolejnych starostów spiskich, a w latach 1655–1661, podczas potopu szwedzkiego, na zamku ukryte były polskie klejnoty koronne. Pierwszym starostą spiskim był rycerz Zawisza Czarny z Grabowa, a ostatnim Kazimierz Poniatowski – brat ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego. Gwara lubowelska jest bardzo zbliżona do języka polskiego.
- Podoliniec z kolegium pijarskim (założonym w 1642 r.), którego wychowankami byli: Stanisław Konarski i Józef Stalarczyk – pierwszy proboszcz Zakopanego.

- Gniazda oraz 13 miast spiskich: Biała Spiska, Lubica, Matejowce, Nowa Wieś Spiska, Poprad, Spiska Sobota, Wierzbów, Straże, Ruszkinowce, Wielka, Spiskie Podegrodzie bez spiskiego zamku, Spiskie Włochy, Twaroże i 15 wsi.

Obszar zastawu stanowiło 5 enklaw, z których okręg podoliniecki stykał się bezpośrednio z terytorium Polski.

Pieniądze na pożyczkę pochodziły z odszkodowań wypłaconych królowi Władysławowi Jagielle przez Krzyżaków po bitwie pod Grunwaldem. Pożyczka ta nigdy nie została Polsce zwrócona, a próby odzyskania przez Węgrów zastawu – bez spłaty pożyczki – nie powiodły się. Między innymi w latach 1474 i 1489 król Maciej Korwin chciał wykupić Spisz za wartość długu, ale Polska nie zgodziła się ze względu na przedawnienie i inflację. W 1498 r. sąd papieski we Wrocławiu zatwierdził prawo Polski do tych ziem po wieczyste czasy. Węgrzy nie rezygnowali i kolejne sejmy podejmowały sprawę wykupu Spisza. Próbowano Spisz wykupić prywatnie, próbowano skłonić miasta spiskie do wykupienia się z pomocą Węgier, ale wykazały one wierność Polsce.

Władzę kościelną na południu Spisza sprawował biskup z Odrzychomia, ale księża pochodzili z Polski. Podoliniec, Gniazda i Lubowla podlegały biskupowi krakowskiemu.

Wojska konfederatów barskich wyparte przez wojska rosyjskie z okolic Muszyny usiłowały w 1769 r. zdobyć zamek w Starej Lubowli. Kazimierz Poniatowski poprosił Austriaków o pomoc i zajęcie zamku. Umożliwiło to wprowadzenie przez Marię Teresę władzy austriackiej na terenie całego starostwa spiskiego.

Jeszcze przed I rozbiorem Polski w 1769 r. Austria zajęła tereny polskich starostw sądeckiego, nowotarskiego i czorsztyńskiego. Pretekstem do aneksji tych ziem polskich była epidemia dżumy i kordon sanitarny miał ochronić monarchię przed rozprzestrzenianiem się zarazy. Austria rościła sobie prawo do tych terenów jako dziedzictwa królewny węgierskiej Kingi poślubionej Bolesławowi Wstydliwemu – Kinga otrzymała Sądecczyznę jako rekompensatę za swój posag przekazany na potrzeby armii polskiej. Król August Poniatowski protestował przeciwko przesunięciu granicy za Nowy Targ, który nigdy węgierskim nie był. Cesarzowa obiecała pokojowe wytyczenie granicy polsko-austro-węgierskiej po zakończeniu wojny rosyjsko-tureckiej.

Oficjalnie tereny Spisza należące do Korony Królestwa Polskiego stały się częścią Górnych Węgier po I rozbiorze Polski.

Rozbiór Polski nie zakończył sporu o granicę na Spiszu wewnątrz monarchii. Węgry nie akceptowały przebiegu granicy pomiędzy nimi a Galicją i cesarz po wieloletnich sporach ustanowił granicę na Białce, Dunajcu i Popradzie.

TATRY I PODHALE

W średniowieczu w trudno dostępne Góry Śnieżne, jak nazywano Tatry, zapuszczali się głównie zbójcy lub banici. Na niżej położonych tatrzańskich halach i polanach Wołosi wypasali owce. Na nieurodzajnej ziemi nie zależało dworom królewskim, które skupiały się na wioskach, z których pobierały podatki.

W czasach I Rzeczpospolitej biegnąca przez Tatry granica z Królestwem Węgierskim obejmującym dzisiejszą Słowację, nazywaną wtedy Górnymi Węgrami, wiodła główną granią Tatr, nie skręcając w stronę Żabiego, lecz biegnąc przez Wysoką, Ganek, Zadni Gerlach, aż do Polskiego Grzebienia, który wziął swoją nazwę właśnie od tego, że był polski. W okresie przedrozbiorowym najwyższym szczytem Korony był Zadni Gerlach (2625 m n.p.m.).

Po rozbiorach Austria przejęła dobra królewskie i sprzedała je prywatnym właścicielom.

Nowy Targ był miastem królewskim Korony Królestwa Polskiego. Po rozbiorach został kupiony przez Emanuela Homolacza, który toczył spory z węgierskim Frydmanem o Roztokę. W 1835 r. rząd Galicji zakazał obu stronom gospodarowania na tym terenie. Wszystkie komisje powołane dla rozstrzygnięcia sporu twierdziły, że leży on w kompetencji międzypaństwowej i że własność prywatna węgierska gruntów nie przesądza o przynależności państwowej spornego obszaru.

Hrabia Władysław Zamoyski kupił dobra zakopiańskie i toczył spór o rejon Morskiego Oka z pruskim księciem Christianem Hohenlohe, właścicielem dóbr po węgierskiej stronie granicy. Węgrzy żądali podzielenia Morskiego Oka i Czarnego Stawu na część polską i węgierską.

W 1897 r. sprawa trafiła przed arbitraż międzynarodowy. 13 września 1902 r. sąd w Grazu uznał argumenty reprezentanta Austrii, Oswalda Balzera (jego imię nosi droga prowadząca z Zakopanego w stronę Morskiego Oka), i wytyczył szczegółową granicę w tym rejonie Tatr, pozostawiając Morskie Oko po stronie Galicji. Na wieść o ogłoszeniu wyroku aktor i reżyser teatralny Ludwik Solski na czele rozradowanego tłumu wykrzykiwał na Krupówkach: „Jeszcze Polska nie zginęła, wiwat plemię lasze! Słuszna sprawa górę wzięła, Morskie Oko nasze!”. Hrabia Zamoyski otrzymał tytuł honorowego obywatela Zakopanego, a jego pomnik stoi na skrzyżowaniu ul. 3 Maja z Krupówkami.

RUŚ CZERWONA I GRODY CZERWIEŃSKIE

Obszar Rusi Czerwonej obejmował dorzecze Sanu i Dniestru po górną Prypeć. W jej skład wchodziły: ziemia sanocka, ziemia przemyska, ziemia chełmska, ziemia bełska, ziemia halicka i ziemia lwowska. Tereny te zostały zdobyte przez Bolesława Chrobrego i przyłączone do Polski przez Kazimierza Wielkiego.

Tereny ówczesnej wschodniej Rzeczpospolitej Austria zagarnęła w czasie I rozbioru Polski, podając jako podstawę prawa Korony Węgierskiej do Rusi Czerwonej i Podola.

POLSKA W CZASACH ROZBIORÓW

Na mocy zaproponowanego przez cesarza niemieckiego Fryderyka II sposobu unormowania sytuacji w Polsce 5 lipca 1772 r. Prusy, Austria i Rosja podpisały konwencję rozbiorową.

Granica Austrii została przesunięta na północ na linię Wisły, a całą prowincję nazwano Galicją – Lodomerią ze stolicą we Lwowie.

Austria objęła ziemie Rusi Czerwonej ze Lwowem, Przemyślem, Sanokiem i Bełzem, południową Małopolskę z Oświęcimiem, Tarnowem i Nowym Sączem, zachodni fragment Podola: Tarnopol, Zbaraż oraz część ziemi chełmsko-włodzimierskiej z Zamościem. Tereny te uzyskały w 1849 r. status kraju koronnego Austrii.

Po III rozbiorze w 1795 r. do Austrii przyłączono ziemie nazwane Nową Galicją. Nowa Galicja obejmowała terytoria między Pilicą i Bugiem wraz z Krakowem, Sandomierzem, Radomiem, Kielcami, Lublinem, Chełmem i Białą Radziwiłłowską. Ziemie Nowej Galicji oraz cyrkuł zamojski z I rozbioru w 1809 r. przyłączono do Księstwa Warszawskiego.

W 1846 r. Austriacy zajęli Kraków i zlikwidowali niezależną Rzeczpospolitą Krakowską, która została Wielkim Księstwem Krakowskim. Od tego czasu oficjalna nazwa prowincji brzmiała: Królestwo Galicji i Lodomerii wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim i Księstwami Oświęcimia i Zatoru.

W 1741 r. cesarzowa Maria Teresa koronując się węgierską koroną św. Stefana, przyjęła również tytuł królowej Galicji i Lodomerii. Zasiadanie na tronie Księstwa Halicko-Włodzimierskiego węgierskiego króla Kolomana pozwoliło w 1769 r. włączyć cesarzowej Austrii do swojej pieczęci również herby Księstwa Halickiego i Księstwa Włodzimierskiego.

Pod koniec 1772 r. Teodor Antoni Rosenthal, kustosz Adam Kollar i rektor Josef Benczura ogłosili traktat, zatytułowany Wywód poprzedzający prawa o prawach Korony Węgierskiej do Rusi Czerwonej i Podola, tak jako Korony Czeskiej do Księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego. Uzasadnili tym samym prawa Austrii do ziem, które przypadły jej przy rozbiorach Polski.

Granice trzech europejskich mocarstw, które dokonały rozbioru Rzeczypospolitej Obojga Narodów: Prus (później Niemiec), Austrii (później Austro -Węgier) i Rosji (później ZSRR), zbiegały się w tzw. Trójkącie Trzech Cesarzy. Linie graniczne biegły rzekami: Białą Przemszą, Czarną Przemszą oraz Przemszą.

Obecnie są to tereny miast: Mysłowice (dzielnice Brzęczkowice i Słupna) oraz Sosnowiec (dzielnice Modrzejów i Jęzor). W czasach zaborów ze strony pruskiej miejscowościami granicznymi były: Brzęczkowice/Słupna, ze strony rosyjskiej Modrzejów, a ze strony austriackiej Jęzor (wtedy osiedle należące do Jaworzna). Do zakończenia I wojny światowej miejsce to było znane w całej Europie i było odwiedzane przez 3 000–8 000 turystów tygodniowo. Po rzece pływały dwa niewielkie parostatki wycieczkowe, można było podziwiać widoki z wieży Bismarcka znajdującej się w Mysłowicach, wybudowanej w 1907 r., a zburzonej w 1937 r. za czasów wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego.

Granica przestała istnieć w tym miejscu w 1915 r. po zajęciu Królestwa Kongresowego przez Niemcy i Austro-Węgry. Formalnie Trójkąt Trzech Cesarzy zniknął w 1918 r. po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Galicja – Lodomeria była najbiedniejszym z trzech zaborów. Z tego powodu złośliwie przekształcano nazwę na Galicja – Głodomeria. Nędza i niedożywienie były przyczyną osłabienia i obniżenia przeciętnej długości życia ludzi. Najwięcej było tam też mężczyzn niezdolnych do służby wojskowej w całej monarchii austro -węgierskiej. W drugiej połowie XIX wieku nastąpiła eksplozja demograficzna (w latach 1880–1910 ludność Galicji wzrosła z 5,958 mln do 8,025 mln, czyli o 34,7%) i Galicja była jednym z najbardziej przeludnionych obszarów Europy. Uwłaszczenie chłopów na niewielkich gospodarstwach, które jeszcze się pomniejszały na skutek zmian w prawie dziedziczenia (każde dziecko otrzymywało „kawałek" ziemi), a ponadto: analfabetyzm stojący na drodze do zwiększenia efektywności gospodarowania, licytacja zadłużonych gospodarstw, przeludnienie wsi, nadmiar rąk do pracy w gospodarstwach – to wszystko spowodowało głód, który wygnał z domów tysiące mieszkańców. Emigrowali oni za chlebem do bogatszych sąsiadów, a najodważniejsi popłynęli do Ameryki.

Wyjazdy „na saksy" stanowiły największy odsetek migracji sezonowych do Niemiec. Prusy w latach 1909–1910 wydały Polakom 83 447 zezwoleń na pracę sezonową (65 493 do pracy w rolnictwie i 17 954 w przemyśle). Kolejnym państwem europejskim, do którego kierowała się fala emigracji z ziem polskich, była Francja. Emigrant musiał posiadać tylko paszport i francuską wizę. W 1913 r. emigracja polska liczyła ok. 22 000 osób. Francja zgłaszała duże zapotrzebowanie na siłę roboczą, zwłaszcza niewykwalifikowaną do pracy w rolnictwie. Głównym jednak celem masowych emigracji Polaków był kontynent amerykański: Stany Zjednoczone, Kanada, Brazylia i Argentyna.

Polityczną emigrację popowstaniową (emigrowała gównie szlachta i inteligencja) stopniowo zastąpiła emigracja zarobkowa – wyjeżdżali chłopi. Emigracja ta miała charakter na tyle masowy, że przed I wojną światową nie było rodziny łemkowskiej, z której nikt by nie wyemigrował. Szacuje się, że ok. 700 000 mieszkańców Stanów Zjednoczonych i Kanady miało co najmniej jednego przodka Rusina (Łemka, Bojka ze strony polskiej bądź słowackiej).

Utworzyli oni na emigracji silne grupy narodowe, które w późniejszych okresach wspomagały finansowo pozostałych w kraju rodaków.

I WOJNA ŚWIATOWA

I wojna światowa, która wybuchła w 1914 r., spowodowała spustoszenie Galicji. Przetoczyły się tu wielkie ofensywy, po których zostało ok. 400 cmentarzy. Wśród tych, którzy walczyli i zginęli, byli zamieszkujący te tereny Polacy wcieleni do wszystkich walczących armii.

Austria i Rosja – sprzymierzeńcy podczas rozbiorów Polski walczyły przeciw sobie.

POWSTANIE NIEPODLEGŁEJ POLSKI

Zajęte przez 146 lat przez Austrię ziemie powróciły do Polski po zakończeniu I wojny światowej. 11 listopada 1918 r. podpisano rozejm w wagonie kolejowym w Compiègne. Austria zrzekła się praw do całej Galicji i Lodomerii.

Państwa zachodnie nie znały stosunków narodowościowych, realiów historycznych i politycznych na odzyskanych przez Polskę terenach. Traktatem wersalskim z 28 czerwca 1919 r. ustalono przebieg granic Polski z sąsiadami. Odrzucono możliwość powstania wolnego państwa ukraińskiego i słowackiego. Ukrainę podzielono pomiędzy Związek Radziecki i Polskę. Oddzieloną od Węgier Słowację i Czechy połączono w jedno państwo: Czechosłowację.

Polacy zamieszkujący Orawę, Spisz i Śląsk Cieszyński chcieli pozostać obywatelami II Rzeczypospolitej. Na spornych terenach miał zostać przeprowadzony plebiscyt, aby mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego, Spisza i Orawy mogli się wypowiedzieć: czy czują się Polakami, czy obywatelami Czechosłowacji. Jednak delegacja polska pod przewodnictwem premiera Stanisława Grabskiego zgodziła się na ustępstwa terytorialne na rzecz Czechosłowacji. Sprawa przynależności Cieszyna, Orawy i Spisza była dla Stanisława Grabskiego sprawą drugorzędną wobec spraw związanych z wojną polsko-bolszewicką. Niepowodzeniem zakończyła się misja Piotra Borowego i księdza Ferdynanda Machaya do prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrowa Wilsona i na konferencję do Paryża. Delegacja polska w zamian za amunicję i pośrednictwo państw zachodnich w negocjacjach Polski ze Związkiem Radzieckim zgodziła się na odwołanie planowanego plebiscytu. Ostateczny przebieg granicy ustaliła Rada Ambasadorów na konferencji w Spa w Belgii – 28 lipca 1920 r.

Do Polski przyłączono tylko skrawki Spisza i Orawy. Poza granicami Polski pozostało ok. 15 000 Polaków na Orawie (Rabczyce, w których urodził się

i mieszkał Piotr Borowy, znalazły się w granicach Czechosłowacji, a Piotr Borowy przeniósł się do Lipnicy Wielkiej, gdzie zmarł i gdzie znajduje się jego grób), ok. 25 000 Polaków na Spiszu oraz ok. 143 500 na Śląsku Zaolziańskim. Podzielono np. Lipnicę Wielką pomiędzy Polskę i Czechosłowację. Śląsk Cieszyński podzielono wzdłuż rzeki Olzy i grzbietu Czantorii i Stożka.

Polska straciła również ziemie na wschodzie. Granicę ustalono na tzw. Linii Curzona (lord Georg Curzon reprezentował Wielką Brytanię), pozostawiając poza granicą Polski tereny na wschód od tej linii, m.in. Lwów i Wilno – była to wersja prawdopodobnie Lewisa Bernsteina-Namierowskiego, urodzonego w polskiej wiosce angielskiego polityka nieprzychylnego sprawie polskiej.

Po wygranej przez Polskę wojnie polsko-bolszewickiej granica państwowa została wyznaczona w traktacie ryskim z 18 marca 1921 r. i przesunięta o ok. 200 km w kierunku wschodnim jako tzw. Linia Curzona B – Lwów znalazł się na terytorium Polski.

Powrócił problem przebiegu tatrzańskiej granicy. Wojsko polskie z rozkazu komendanta nowotarskiego Wojska Polskiego, byłego legionisty i założyciela TOPR-u – Mariusza Zaruskiego, dotarło przez Łysą Polanę i Tatrzańską Jaworzynę do Kieżmarku. Dowódcy czescy i słowaccy wobec przewagi militarnej Polaków byli skłonni pozostawić te tereny II Rzeczpospolitej z fragmentem głównej grani Tatr Wysokich, Zadnim Gerlachem, Polskim Grzebieniem i Lodowym Szczytem. W styczniu 1919 r. polskie dowództwo otrzymało rozkaz nakazujący wycofanie się z terenów na południe od Łysej Polany. Polacy byli pewni, że rozkaz wydał francuski marszałek Ferdinand Foch – naczelny wódz wszystkich sił sprzymierzonych podczas I wojny światowej na froncie zachodnim, którego Józef Piłsudski uważał za przyjaciela Polski (po wojnie polsko-bolszewickiej Foch został mianowany marszałkiem Polski). Polacy wykonali rozkaz i wycofali się na północną stronę Tatr. Okazało się, że rozkaz wydał Ferdinand Vix – pułkownik, szef misji Ententy w Budapeszcie, który sprzyjał Czechosłowacji.

Polacy przekroczyli Łysą Polanę jeszcze raz w 1919 r. W Budapeszcie powołano Węgierską Republikę Rad (istniała od marca do sierpnia 1919 r.). Wojsko polskie skorzystało z zamętu i zajęło sporne tereny. Na wieść o wybuchu wojny polsko-bolszewickiej znów wycofało się za Łysą Polanę.

Armia marszałka Józefa Piłsudskiego pokonała Rosjan w bitwie warszawskiej, ale większa część Orawy i Spisza, główna grań Tatr Wysokich, całe pasmo Gerlacha, Polski Grzebień czy Lodowy Szczyt pozostały już po czechosłowackiej stronie granicy.

Na mocy tzw. Protokołów Krakowskich z 1924 r. Polska oddała Czechosłowacji wsie Suchą Górę i Głodówkę w zamian za połączenie Lipnicy Wielkiej i część południowych stoków Babiej Góry.

W Bieszczadach słupki graniczne ustawiono na linii aktualnej do dziś. Były one w późniejszych latach przemalowywane i przekuwane. Oznaczenia CS – Czechosłowacja przekuto na S – Słowacja, a P – Polska na D – Niemcy. W marcu

1939 r. Węgrzy zajęli tereny Rusi Zakarpackiej, która należała do Czechosłowacji. Pod Czereninem jesienią 1939 r. stanął obelisk wyznaczający zbieg granic Węgier, Słowacji i Generalnego Gubernatorstwa Na leżącym przy ścieżce słupie można odczytać litery: S (Slovennsko), M (Magyarorszag) i D (Deutschland). Litery oznaczające Węgry zachowały się na kilku sąsiednich słupkach, a litera D została przekuta na P.

Do dawnej przynależności administracyjnej tych terenów nawiązuje herb województwa podkarpackiego, powstały z połączenia herbów dawnych województw: ruskiego i bełskiego.

II RZECZPOSPOLITA

W 1938 r., po konferencji w Monachium, podczas której państwa zachodnie zgodziły się na ustępstwa wobec Hitlera, Warszawa przypomniała sobie o Tatrzańskiej Jaworzynie, Zaolziu i innych terenach. Polska w dniu podpisania układu monachijskiego notą dyplomatyczną zażądała od rządu Czechosłowacji pokojowego przekazania Zaolzia zamieszkiwanego w większości przez ludność polską. 2 października 1938 r. Zaolzie zostało włączone do Polski, a 27 listopada wojsko polskie przekroczyło granicę. Przeciw Słowakom wysłano najlepsze oddziały pancerne II RP dowodzone przez Stanisława Maczka i Franciszka Skibińskiego. W tym czasie Hitler zajmował Sudety.

Polska zagarnęła tereny: Zaolzie (Skalite, Czarne, Świerczynowiec), na Orawie ziemie przekazane w 1924 r. – Suchą Górę i Głodówkę, górną część Doliny Jałowca pod Babią Górą, część Tatr Jaworzyńskich z Jaworzyną i Podspadami, w Pieninach całego biegu Dunajca aż po prawy brzeg, wsi Leśnicy oraz obszaru po prawej stronie Dunajca aż po szczyt Aksamitki, w okolicach Żegiestowa, Łopatę i okolice Sulińskiego źródła, w Beskidzie Niskim teren pod szczytem Cygielki.

Granica Polski biegła na południe od Rysów – główną granią przez Ganek, Zadni Gerlach, Małą Wysoką, Jaworowy Szczyt, Lodowy Szczyt, Baranie Rogi, Jagnięcy Szczyt, Płaczliwą Skałę do Ździaru. Najwyższą górą II Rzeczypospolitej stał się Lodowy Szczyt (2627 m n.p.m.).

Prezydent Mościcki spędził sylwestra 1938 r. w zameczku myśliwskim wystawionym przez księcia Hohenlohego w Jaworzynie Tatrzańskiej, która 30 czerwca 1939 r. weszła w skład gminy Bukowina Tatrzańska.

Polskę w okresie międzywojennym zamieszkiwała ludność pochodzenia polskiego, czeskiego, słowackiego, ruskiego, niemieckiego, żydowskiego i romskiego.

Pomimo zawirowań z ustaleniem granic odradzającego się państwa polskiego nie było w tym okresie znacznych konfliktów narodowościowych. Ludzie ci od wieków żyli obok siebie. Prawosławni, grekokatolicy, katolicy czy Żydzi modlili się w swoich świątyniach, handlowali, byli sąsiadami żyjącymi w zgodzie.

II WOJNA ŚWIATOWA

Nadszedł 1 września 1939 r. Niemcy i Słowacja napadły na Polskę. 17 września 1939 r. od wschodu weszli Rosjanie. Po zaledwie 21 latach niepodległości Polska została ponownie podzielona. Hitler dekretem z 8 i 12 października wcielił zachodnią część Polski, w tym m.in. województwo śląskie do Rzeszy, a z pozostałej części utworzył Generalne Gubernatorstwo ze stolicą w Krakowie. Żeby przekroczyć granicę między tymi tworami, trzeba było mieć przepustkę.

Wschodnie tereny Polski dostały się pod władzę Związku Radzieckiego. Granicę ustalono na Sanie. Przemyśl został podzielony. Prawie połowa terytorium II RP została zajęta przez ZSRR.

Na Orawie granica pomiędzy słowackim państwem księdza Tiso a GG biegła między Podwilkiem a Spytkowicami na Przełęczy Spytkowickiej skrajem lasu w Podwilku (las należał do Niemiec – Generalnej Guberni). Granica między Piekielnikiem a Załucznem biegła po wzgórzu nad Załucznem (do dziś zachowały się ślady w postaci drogi granicznej, kopców granicznych czy śladów fundamentów komory celnej przy drodze do Czarnego Dunajca). Granica przecinała drogę Piekielnik – Czarny Dunajec i biegła borami (torfowiskami).

W okresie międzywojennym rolnicy z Sidziny posiadali grunty w Zubrzycy Górnej i w czasie wojny mogli bez przeszkód przekraczać granicę. Umożliwiało to przemyt żywności ze Słowacji do GG. Polacy ze Spytkowic przechodzili nocą granicę do Podsarnia, niosąc gwoździe, kury, jajka. Z Generalnej Guberni do Słowacji pędzono konie, a spirytus był najczęstszym środkiem płatniczym.

Istniały dwie placówki (obie niemieckie) położone przy drodze łączącej Podwilk ze Spytkowicami:

– w miejscu dzisiejszego parkingu pod lasem na Przełęczy Spytkowickiej,
– przy drodze z Piekielnika do Czarnego Dunajca koło Lasu Baligówka.

Pomiędzy Zubrzycą a przysiółkiem Sidziny – Wielką Polaną oraz na Krowiarkach nie było posterunków.

Do dzisiaj zachował się historyczny słupek graniczny na Mędralowej: do XVI wieku zbiegały się tu granice Polski, ziem śląskich i Węgier, a w czasie okupacji granice GG i Słowacji. Na Przełęczy Cichej stała strażnica niemieckiego Grenzschutzu – do dzisiaj widoczne są jej fundamenty. Strzegła granicy między III Rzeszą a GG. Granica wiodła głównym grzbietem Pasma Jałowieckiego.

Wysiedlenia i eksterminacje ludności związane były z niemieckimi i rosyjskimi planami germanizacji i sowietyzacji terenów należących do II Rzeczypospolitej. Miały charakter zorganizowanych, starannie zaplanowanych wysiedleń całych obszarów zamieszkanych przez ludność polską i osiedlania na tych terenach ludności niemieckiej, tzw. Generalsiedlungsplan.

Wysiedlenia Polaków rząd III Rzeszy dokładnie zaplanował. W październiku 1939 r. wydano Dekret o Umocnieniu Niemieckości. Do wysiedleń zostali w pierwszej kolejności zakwalifikowani Żydzi i ludność urodzona poza terenem

byłego zaboru pruskiego. Oddziały niemieckie zostały zwolnione z odpowiedzialności za przestępstwa popełnione w czasie przesiedleń i bezkarnie realizowały zalecenia czystek etnicznych i eliminację inteligencji.

Miała zostać wysiedlona cała ludność niewykazująca łatwości do asymilacji i zniemczenia. Zamierzano zamordować lub przeznaczyć na niewolników wszystkich Słowian, czyli ok. 65 mln osób. Na opuszczonych terenach osiedlano Niemców i obywateli innych krajów germańskich. Akcję rozpoczęto już w listopadzie i trwała ona przez całą wojnę. Polaków przesiedlano z całymi rodzinami do obozów wysiedleńczych, skąd kierowano ich do obozów koncentracyjnych, wywożono na przymusowe roboty w głąb Niemiec, zmuszano do katorżniczej pracy w rolnictwie i przemyśle.

Na terenach wcielonych do Rzeszy i terenach Generalnej Guberni mieszkało ok. 2,2 mln Żydów. Okupant zamierzał przesiedlić wszystkich na tereny wschodnie wcielone do ZSRR. Hitler, mając w planach atak również na Związek Radziecki, był zwolennikiem planowej eksterminacji ludności żydowskiej. Żydów uśmiercano lub wysiedlano do gett, które później były systematycznie likwidowane z mordowaniem na miejscu lub z przewożeniem wszystkich do obozów zagłady. Już we wrześniu 1939 r. zabito ludność pochodzenia żydowskiego z okolic Przemyśla i Dynowa. Zanim Armia Czerwona zdołała uszczelnić granicę, przepędzano Żydów za San i Bug, skąd byli wywożeni w głąb ZSRR. Całe mienie żydowskie przepadało, synagogi, szkoły, cmentarze były niszczone.

Taki sam los jak Żydów spotkał Romów. Byli oni wywożeni do obozów i mordowani. Tylko w KL Auschwitz między 26 lutego 1943 r. a 21 lipca 1944 r. w tak zwanym rodzinnym obozie cygańskim przebywało 20 967 dzieci, kobiet i mężczyzn. Romowie byli jedyną nacją w KL Auschwitz, która zbuntowała się przeciw planowanej próbie ich zgładzenia, co zmusiło Niemców do odwołania zaplanowanej na 16 maja 1944 r. akcji. Likwidacja Romów nastąpiła w nocy z 2 na 3 sierpnia 1944 r. Ogółem w KL Auschwitz zginęło ok. 20 000 Romów.

Władze sowieckie wprowadziły Generalny Plan Przesiedleńczy, obowiązywała dyrektywa Ławrientija Berii o przesiedleniu ludności polskiej w głąb Związku Radzieckiego. Wywożono wojskowych, policjantów, urzędników, pracowników kolei i lasów, Żydów, uchodźców z Generalnej Guberni, nauczycieli. Pierwszych obywateli polskich, blisko 55 000 uchodźców z centralnej i zachodniej Polski, wysiedlono już w październiku 1939 r. Przesiedlono ich do wschodnich obwodów Białoruskiej i Ukraińskiej SRR w ramach tzw. rozładowywania miast kresowych. W grudniu 1939 r. władze radzieckie podjęły ostateczną decyzję o przystąpieniu do usuwania niepewnego politycznie elementu z zajętych obszarów. Pierwsza deportacja miała miejsce 10 lutego – wywieziono ok. 140 000 osób, kolejna 13–14 kwietnia – wywieziono 61 000 osób, głównie kobiet i dzieci. W następnych: na przełomie maja – lipca 1940 r. i w maju i czerwcu 1941 r., tuż przed rozpoczęciem kampanii Barbarossa przeciwko ZSRR przez III Rzeszę – wywieziono 165 000 osób. W ciągu 15 miesięcy radzieckiej okupacji na wschód trafiło co najmniej

330 000–400 000 osób. Do tego doliczyć należy osadzonych w więzieniach, skazanych i zesłanych do obozów pracy przymusowej, jeńców wojennych, młodzież wcieloną do Armii Czerwonej i „strojbatalionów" (grup budowlanych) oraz wszystkich wywiezionych do pracy w radzieckich fabrykach i kopalniach. Ok. 700 000 obywateli II RP w okresie wrzesień 1939 – czerwiec 1941 dostało się w tryby radzieckiego systemu terroru, z czego 10% zmarło.

W tym okresie przesiedlano również Łemków i Bojków na tereny ZSRR. Łemkowie byli nacją bardzo zamkniętą. Rzadkością były mieszane małżeństwa, identyfikowali się z Wielką Rusią, byli wyznania prawosławnego i greckokatolickiego i już na początku wojny kilka tysięcy Łemków dobrowolnie wyjechało do ZSRR. Obiecywano im „złote góry", lecz zastawali nędzę i głód. Dzięki propagandzie organizacje łemkowskie w Stanach Zjednoczonych, nie znając prawdziwej sytuacji w ZSRR, przekazały na potrzeby Armii Czerwonej 300 000 dolarów. Uciekinierzy powracający do rodzinnych wsi opowiadali prawdę i następne przesiedlenia nie miały już charakteru dobrowolności.

W latach 1942–1944 na terenie Wołynia i Małopolski Wschodniej ukraińskie organizacje nacjonalistyczne i miejscowa ludność ukraińska dokonały brutalnych czystek etnicznych. Według historyków zginęło ok. 50 000–60 000 Polaków, Żydów, Ormian. Atmosfera zagrożenia powszechna wśród polskiej ludności skłoniła wiele osób do ucieczki w centralne regiony Polski.

Wzrost liczby wyjazdów ze Lwowa zaznaczył się również w okresie poprzedzającym nadejście sowieckiego frontu w lipcu 1944 r. Obawiano się stalinowskiego terroru znanego z lat 1939–1941 oraz wywłaszczeń i wywózek na wschód. Do czerwca 1944 r. opuściło Lwów ok. 45 000 osób, które już nigdy nie powróciły do miasta, 15 000 osób z ziemi przemyskiej schroniło się przed UPA jeszcze przed nadejściem frontu radzieckiego we Lwowie. Wielu z nich wyjechało później na zachód w obawie, by i w mieście nie dosięgły ich prześladowania ukraińskie.

Konferencje w Teheranie (28 listopada – 1 grudnia 1943 r.) i późniejsza w Jałcie (4 – 11 lutego 1945 r.) zapoczątkowały nowy rozdział w dziejach Europy. Zgodnie z porozumieniem zawartym pomiędzy Józefem Stalinem, Franklinem D. Rooseveltem a Winstonem Churchillem Polska została „oddana" Związkowi Radzieckiemu. Granice południowe Polski zostały ustalone w przebiegu z roku 1924, a granica wschodnia - w kształcie podobnym do tego, który istnieje do dziś.

POLSKA PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Polska Ludowa miała być krajem socjalistycznym i jednolitym narodowo. Dla miliona ludzi koniec wojny nie oznaczał więc końca niedoli. Polska podpisała

z Republiką Ukraińską układ o przesiedleniu obywateli polskich z terenów republiki do Polski i ludności ukraińskiej na tereny Ukrainy. Do Polski mieli wrócić wszyscy Polacy i Żydzi, którzy do 17 września 1939 r. posiadali polskie obywatelstwo. Przeprowadzony spis wykazał istnienie 500 000 mniejszości ukraińskiej na terenach polskich – narodowość utożsamiano z wyznaniem.

Najpierw rejestrowano tych, którzy chcieli przesiedlić się dobrowolnie. Pomimo wielu zachęt ze strony radzieckiej odzew był słaby. W pierwszym okresie wyjechało w głąb ZSRR tylko ok. 80 000 Łemków i Bojków z terenów Beskidu Sądeckiego, Niskiego i Bieszczadów. Wyjeżdżały rodziny ze wsi zniszczonych działaniami wojennymi. W sierpniu 1945 r. zakończył się etap dobrowolnej repatriacji.

Władze Polski powołały się na przedwojenne rozporządzenia pozwalające usunąć z terenów przygranicznych osoby zagrażające państwu oraz odbierano obywatelstwo polskie osobom służącym w obcej armii, czyli w Armii Czerwonej. Do przeprowadzenia akcji skierowano wojsko. W pierwszym etapie przesiedlono 81 000 osób. Działająca na tym terenie Ukraińska Powstańcza Armia w odpowiedzi na działania wojska polskiego, aby uniemożliwić polskie osadnictwo na tych terenach, paliła opuszczone wsie, atakowała posterunki komisji przesiedleńczych. Te działania wywołały u Polaków poczucie zagrożenia i dały władzy dodatkowy argument do przyspieszenia wysiedleń.

Akcja została zakończona 15 czerwca 1946 r. Aby wywieźć wszystkich zarejestrowanych, zwiększono ilość wysiedlanych rodzin ze 100 do 500 dziennie. Oddziały Wojska Polskiego dokonywały pacyfikacji wsi, zdarzało się, że mordowały opornych mieszkańców, jak to miało miejsce w Terce.

Po złamaniu zasady dobrowolności wysiedlono ok. 252 000 osób. Łącznie w czasie całej akcji repatriacyjnej przesiedlono do ZSRR 480 000 osób, w tym:

– z województwa krakowskiego – 21 776 osób,

– z województwa rzeszowskiego – 267 790 osób.

Łemkowie zamieszkali rozdzieleni aż w piętnastu obwodach całej Ukrainy.

WYSIEDLENIA LUDNOŚCI POLSKIEJ Z KRESÓW WSCHODNICH 1944–1946

Strona radziecka prowadziła akcję wysiedlania ludności polskiej z terenów tzw. Kresów Wschodnich. Największą operacją wysiedleńczą było wysiedlenie Polaków z Wilna i Lwowa w okresie 1944–1946 r. Prowadząc negocjacje z Polakami o przynależność Lwowa, Rosjanie repatriacjami odwrócili stosunki narodowościowe w mieście. Do Lwowa specjalnymi transportami ściągano ludzi z głębi Związku Radzieckiego, aby zarejestrować ich jako mieszkańców miasta. Rosjanie wytrącili argument Polsce i Aliantom o narodową przynależność Lwowa do Polski i postanowieniami konferencji jałtańskiej Lwów został Polsce zabrany.

28 czerwca 1945 r. USA i Wielka Brytania uznały Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, a 5 lipca 1945 r. cofnęły uznanie rządowi RP w Londynie. Decyzje jałtańskie zostały ostatecznie zatwierdzone. Polacy musieli opuścić Lwów. Można było wyjechać ze ściśle określonym bagażem. Strona sowiecka sprawdzała bardzo rygorystycznie bagaż i nawet na dworcu repatrianci pozbawiani byli swego dobytku. Ludzi wywożono w kierunku na Pomorze Zachodnie, Mazury i na Ziemie Odzyskane, czyli do Gliwic, Wrocławia, Kłodzka, Opola.

Terror i nacisk sowiecki na lwowian były nie do zniesienia. Przymusowo zamykano kościoły i klasztory, brutalnie wymuszano wyjazdy. Grupy sprowadzonych ze wschodu nowych mieszkańców miasta wymuszały na Polakach, by opuścili swoje mieszkania.

Uczeni polscy opuszczali Lwów stopniowo. Umowa między Polską a ZSRR dawała im możliwość zabrania swojego warsztatu pracy, czyli prywatnych książek i aparatury. Z powodu trudności transportowych i niechęci urzędników sowieckich było to bardzo trudne. Wywóz zbiorów uniwersyteckich i aparatury badawczej był niemożliwy.

Ogółem od maja 1945 r. do końca listopada 1946 r. przesiedlono ok. 140 000 polskich lwowian. Uczeni z Politechniki Lwowskiej i Uniwersytetu Jana Kazimierza osiedlali się we Wrocławiu, Gliwicach, Krakowie, Gdańsku, Poznaniu i Łodzi.

Rocznik statystyczny z 1937 r. szacował liczbą Lwowian na 317 000. Posługujących się językiem polskim było 198 000, żydowskim i hebrajskim 75 000, ukraińskim i ruskim 25 000. Część Lwowian w 1939 r. wyjechała na Węgry i do Rumuni, część: została wywieziona w trakcie sowieckich deportacji w latach 1939 –1941, uciekła przed frontem w roku 1944, została zamordowana, zmobilizowana do Armii Żymierskiego i Berlinga latem 1944 roku, deportowana albo wyjechała dobrowolnie z miasta w latach 1944–1945. Według danych polskich pełnomocników do spraw ewakuacji ludności polskiej we Lwowie sumarycznie zarejestrowano do ewakuacji 108 523 osoby narodowości polskiej oraz 3 691 osób narodowości żydowskiej. Największy punkt repatriacyjny, tzw. Specjalny Punkt Etapowy Zachodni, istniał od maja 1945 r. do 11 kwietnia 1949 r. na terenie miasta Dziedzice. Przeszło przez niego ok. 500 000 osób z 1,3 mln repatriantów.

29 listopada 1946 r. Polska Komisja Ewakuacyjna zamknęła swą działalność, a 30 listopada 1946 r. opuściła Lwów i terytorium ZSRR. Tym samym sześćset lat historii miasta zostało przekreślone.

PRZESIEDLENIA NIEMCÓW

W przeszłości władcy, duchowni i panowie feudalni na słabo zaludnione tereny Polski, Czech i Węgier sprowadzali osadników z Niemiec. Posiadali oni pozycję dominującą pod względem politycznym i ekonomicznym nad dotychczasowymi mieszkańcami tych ziem dzięki gospodarności, nadawanym przywilejom i ulgom.

Byli przemysłowcami, robotnikami wykwalifikowanymi. Na tereny Beskidów przynieśli nową religię: protestantyzm i nowy przemysł, np. tkactwo.

Zwolennikiem kolonizacji niemieckiej był Józef II cesarz Austrii. 17 września 1781 r. podpisał patent cesarski, którym rozpoczął tzw. kolonizację józefińską. Dopuszczał osadnictwo miejskie i kolonizację rolniczą. Dodatkowy patent z 11 listopada 1781 r. umożliwił osadnictwo protestantów. Tereny dla przyszłych osadników pochodziły z dawnych królewszczyzn i ziem zlikwidowanych klasztorów. M.in. na ziemie odebrane klaryskom sprowadzono w latach 1782–1820 kilka tysięcy Niemców. W 1939 r. na Sądecczyźnie żyło ok. tysiąca Niemców, którzy prowadzili szkoły w Nowym Sączu, Stadle i Gołkowicach. Największy napływ kolonistów nastąpił w latach 1783–1784. Po zakończeniu akcji osiedleńczej mieszkający już osadnicy niemieccy mogli tworzyć nowe osady. Na tereny Galicji, głównie Wschodniej, przybyło 14 400 osób (ponad 3 200 rodzin). Powstało 120 czysto niemieckich i 55 mieszanych osad.

Koszt akcji kolonizacyjnej wyniósł ok. 3 mln złotych reńskich, czyli ponad 900 złotych reńskich na jedną rodzinę kolonistów. W założeniach osiedlać się mieli rzemieślnicy i robotnicy, natomiast zdecydowaną większość stanowili rolnicy.

W XIX wieku kolonizacja terenów wschodnich przybrała formę priorytetową. Pojawiła się idea powstania Wielkich Niemiec, pangermanizm i Drang nach Osten, które dały początek potrzebie zdobycia „przestrzeni życiowej" dla Niemców.

Niemcy po II wojnie światowej na podstawie postanowień konferencji w Poczdamie zamieszkali na wschód od granicy na Odrze i Nysie, ewakuowali się lub byli przymusowo przesiedlani do alianckich stref okupacyjnych. Ich majątek został znacjonalizowany. Domy i gospodarstwa rolne objęli przesiedleńcy ze wschodu. Z terenów należących do Polski wysiedlono w okresie od 1945 do końca 1950 r. ok. 3,5 mln Niemców.

AKCJA „WISŁA" (OPERACJA „WISŁA")

Mieszkańcy terenów Polski południowo-wschodniej, którym udało się do 1946 r. uniknąć przesiedlenia, nie zaznali spokoju. Ostatni etap wysiedleń rozpoczął się w roku 1947. Był on częścią wojskowej operacji „Wisła", która miała położyć kres działalności UPA na ziemiach polskich – taki był oficjalny powód przesiedleń.

Nacjonaliści ukraińscy nie uznali granic ustanowionych na konferencjach w Teheranie i Jałcie. Działacze OUN chcieli oderwania spornych terenów od Polski i utworzenia niepodległego państwa ukraińskiego po nazwą Zakierżoński Kraj. UPA chciała zapobiec wysiedleniu ludności ukraińskiej na tereny ZSRR. Atakowała siedziby komisji przesiedleńczych, stacje kolejowe, mosty, wiadukty, tory, linie telefoniczne, paliła i terroryzowała wioski oraz miasta, w których mieszkała ludność polska.

Władze polskie twierdziły, że wysiedlenie ludności ukraińskiej ma służyć zwalczeniu partyzantki ukraińskiej, gdyż ludność ukraińska stanowiła dla OUN-UPA bazę zaopatrzenia, schronienia i zaplecze werbunkowe. Poprzez rozproszenie ludności ukraińskiej i jej późniejszą polonizację zlikwidowano problem, jaki stanowiło istnienie mniejszości ukraińskiej w Polsce. Ustały walki zbrojne na terenach objętych wysiedleniem.

Przesiedlenie było przymusowe. Zezwolono pozostać tylko Polakom, rodzinom mieszanym oraz osobom szczególnie zasłużonym dla nowego państwa.

Bezpośrednim powodem propagandowym do rozpoczęcia akcji była śmierć generała Karola Świerczewskiego w dniu 28 marca 1947 r., ale przygotowania do operacji podjęto już wcześniej. Od dnia śmierci Świerczewskiego Biuro KC PPR w ciągu kilkunastu godzin podjęło decyzję o deportacji ludności niepolskiej (ukraińskiej, ale też rusińskiej – Łemków i Bojków) z terenów całej południowo-wschodniej Polski.

W akcji „Wisła" pomagali Polakom również sąsiedzi. Sowieci wyznaczyli do akcji jedną dywizję pancerną, specjalne oddziały antypartyzanckie oraz oddziały Wojsk Pogranicznych NKWD do blokowania granicy. Czechosłowacy utworzyli specjalną grupę operacyjną oraz oddali do polskiej dyspozycji środki transportu do pomocy w przegrupowaniu polskich wojsk. Wojsko przybywało do wsi zwykle wcześnie rano ok. 4.00, dawało od kilku do 48 godzin na spakowanie dobytku i opuszczenie domów. Ograniczenie stanowiły też przepisy nakazujące zmieszczenie wszystkiego maksymalnie na dwóch wozach konnych. Nie pozwalało to na załadowanie większych narzędzi, mebli, zapasów ziemniaków i zboża. Z konieczności zostawiano też część zwierząt hodowlanych. Pieszo, nieraz nawet 70 km, ludzie byli przepędzani do stacji załadowczych (którymi były: Nowy Łupków, Olszanica, Besko, Komańcza, Szczawne, Kulaszne, Wysoczany, Pisarowce, Zagórz, Załuż, Olszanica, Sanok, Przeworsk, Werbkowice, Chotyłów i Bełżec).

Pozostawione mienie wykorzystywały wojskowe służby kwatermistrzowskie na miejscu, wysyłając zapasy pozostawione przez przesiedleńców do aprowizacji jednostek wojskowych w centralnej Polsce.

Pozostawiony majątek miał być zabezpieczany przez Ludowe Wojsko Polskie i przekazany lokalnym władzom, a następnie komitetom osiedleńczym lub Samopomocy Chłopskiej. Wojsko i administracja lokalna miały jednocześnie przystępować do zabezpieczania mienia, ale administrację powiadamiano niezbyt często. W rzeczywistości gospodarstwa były okradane przez pozostałą ludność polską i komisja inwentaryzacyjna nie miała czego spisywać. Liczne były przypadki rozdzielania mienia pomiędzy ludność polską oraz dowódców oddziałów wojskowych.

Transport wysiedlonych odbywał się w niezwykle ciężkich warunkach, jazda koleją trwała 3–7 dni, potem rozwożono wysiedleńców furmankami do punktów zbornych. W punktach zbornych przesłuchiwano wszystkich, przydzielając

odpowiednią kategorię zagrożenia (od A – najwyższa, do C). W punktach tych ludność pozostawała nawet kilka dni, aż do skierowania do odpowiedniej stacji załadowczej i podstawienia wagonów. Łemków przesiedlano głównie w okolice Wrocławia, Legnicy, Gorzowa, Zielonej Góry, Olsztyna, Koszalina. Przesiedleńcy nie mieli prawa wyboru miejsca i maksymalnie ich rozpraszano. Mieszkańców średniej wielkości wsi osiedlano aż w 30 miejscowościach. Rodziny z kategorią A i B osiedlano po jednej na wieś lub folwark. Dopiero przy braku miejsca do zasiedlania zezwolono na dosiedlanie kilku rodzin z kategorii C, pod warunkiem, że rodziny te pochodziły z różnych regionów i nie znały się wcześniej.

Wysiedlono w całej południowo-wschodniej Polsce 320 wsi, ok. 70 000 osób. Z terenów łemkowskich wywieziono w ramach operacji „Wisła" ok. 35 000 osób, czyli ok. 25% Łemków zamieszkałych tu przed II wojną.

Opornych wobec wysiedlenia i wszystkich podejrzewanych o współpracę z UPA osadzano w obozie w Jaworznie. Istniał tam od stycznia 1945 r. Centralny Obóz Pracy, założony na terenie byłego SS-lager Dachsgrube, filii KLAuschwitz, decyzją Biura Politycznego KC PPR przekształcony w obóz dla cywilnej ludności ukraińskiej. Do obozu zsyłano ukraińską inteligencję, księży i wszystkich podejrzewanych o sprzyjanie UPA. Pierwszych ukraińskich i łemkowskich więźniów przywieziono do Jaworzna w maju 1945 r., ostatnich zwolniono w lutym 1949 r. W obozie przebywało 3 936 osób, w tym 823 kobiety i kilkanaścioro dzieci. Warunki sanitarne były tam bardzo złe, panował głód. Obowiązywał reżim wzorowany na obozach hitlerowskich i sowieckich. Stosowano dotkliwe kary (np. w ważne święta cerkiewne urządzano „ukraińskie procesje", odpowiednik znanych z nowszych czasów „ścieżek zdrowia"). Na skutek głodu, bicia i chorób zmarło w Jaworznie ok. 200 więźniów.

Położenie przesiedleńców na nowym miejscu było tragiczne. Spotkali się oni z wrogim przyjęciem – poprzednia fala osadników złożona była głównie z przybyszów, którzy pamiętali masakry wołyńskie. Uznali oni nowych przesiedleńców za ukraińskich bandytów. Po przybyciu na tereny tzw. Ziem Odzyskanych przesiedleńcy otrzymywali mienie oraz domy po wysiedlonych na zachód Niemcach. W wielu przypadkach były to jednak domy uszkodzone przez szabrowników lub pierwszych przesiedleńców. Dochodziło do kwaterowania kilku rodzin w jednym domu lub osiedlania w stajniach i innych budynkach gospodarczych.

Łemkowszczyzna i Bieszczady należały przed II wojną do najgęściej zaludnionych obszarów Europy. Przeludniona ziemia na skutek wysiedlenia jej rdzennej ludności całkowicie opustoszała. W odczuciu Łemków przesiedlenie było niezasłużoną wielką krzywdą.

Akcja trwała od 28 kwietnia do końca lipca 1947 r., chociaż ostatnie wysiedlenia miały miejsce jeszcze w roku 1950. W wyniku akcji wojskowej rozbito siły UPA w liczbie 1 500 ludzi oraz uwięziono 2 900 członków OUN, a przesiedlenia objęły ponad 140 000 osób cywilnych. Pierwotnym kryptonimem

tej akcji był „Wschód", zmieniony później na „Wisła". W październiku 1947 r. władze ZSRR przeprowadziły Akcję „Z" Zachód, w wyniku której z terenu USRR wysiedlono na wschód ponad 76 000 Ukraińców oskarżonych o sprzyjanie UPA.

AKCJA OSIEDLEŃCZA LUDNOŚCI POLSKIEJ

Jednocześnie z akcją wysiedleńczą na opustoszone tereny Łemkowszczyzny zaczęli powoli wprowadzać się polscy osadnicy. Większość osadników przybyła z przeludnionych terenów Kotliny Sądeckiej, okolic Limanowej i Podhala.

Do 30 czerwca 1946 r. utworzono 28 nowych posterunków MO i przystąpiono do tworzenia następnych 53. W 61 wsiach zorganizowano oddziały ORMO.

Utworzono Wojewódzki Komitet Zasiedleńczy. Do 30 czerwca 1947 r. osiedlono 6 600 osadników, a do 30 lipca – 13 500. Było to dużo mniej, niż zaplanowały władze. Beskid Niski i Bieszczady stały się puste i dzikie.

Wiele wsi całkowicie przestało istnieć. Pozostawione przez mieszkańców budynki częściowo rozebrano, częściowo spalono (by nie pozostawiać bazy dla UPA), częściowo zniszczył je czas. Szczególnie zniszczone zostały osady na wschód od Jasiołki.

Do pustych wsi bieszczadzkich sprowadzili się uciekinierzy z Grecji. Po zakończonej wojnie domowej do Polski przybyło w 1949 r. ok. 14 000 Greków. Duża część zamieszkała w rejonie Ustrzyk Dolnych – wsie: Krościenko, Jureczkowa, Listkowate i Grązziowa.

Powroty Łemków i Bojków na ojcowiznę stały się możliwe po śmierci Stalina i zapanowaniu tzw. odwilży w 1956 r. Nie były one jednak łatwe ze względu na utrudnienia administracyjne i na konieczność spłacenia polskich osadników, którzy zasiedlili opuszczone gospodarstwa. Mimo to w latach 1956–1958 ok. 2 000 Łemków wróciło do swoich domów. Ze wsi, do których powrócili Łemkowie, często odpływała wkrótce ludność polska, m.in. z powodu konfliktów dotyczących prawa własności ziemi. Całkowicie wyparto polskich osadników z Bartnego. Zakaz powrotu przestał obowiązywać po roku 1980. Starsi ludzie nie wracali już do swoich domów rodzinnych, a młodzi mieli lepsze perspektywy w wielkich miastach Polski, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Duża grupa Łemków, przesiedleńców i ich potomków, żyje obecnie na Ukrainie. 200 000 grupa Łemków żyje na Zakarpaciu.

W Bieszczady przyjechali ludzie goniący za przygodą i ścigani przez prawo. W części opuszczonych PGR-ów gospodarowali więźniowie: w Czarnej, Stuposianach, Michniowcu i Zatwarnicy. Do dzisiaj takie gospodarstwa istnieją w Średniej Wsi i Nowym Łupkowie.

GRANICA POŁUDNIOWA PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Po II wojnie światowej odżył spór terytorialny między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Czechosłowacką Republiką Socjalistyczną. Przywrócono przebieg granicy z lat 1920–1938, ale żadna ze stron nie była z tego zadowolona. 10 marca 1947 r. pod naciskiem Moskwy podpisano układ o przyjaźni między PRL i CSRR. Pomimo tego nadal pozostawała kwestia Zaolzia i Ziemi Kłodzkiej. Dopiero 13 czerwca 1958 rządy PRL i CSRS podpisały porozumienie zatwierdzające na Śląsku Cieszyńskim polsko-czeską granicę z 1920 r., na Spiszu linię ustaloną w roku 1924, w pozostałej części linię graniczną sprzed roku 1938 z ziemią kłodzką po jej północnej stronie. Strona polska uzyskała ostatecznie torowisko bieszczadzkiej kolejki wąskotorowej koło Balnicy. Z numeracji słupków wypadł numer 1/52, a szlak niebieski biegnie wąską ścieżką przez zarośla, południowym stokiem wododziału u podnóża Matragony i przecina kilka jarów – źródłowych dopływów Udavy.

DRUGA FALA WYSIEDLEŃ LUDNOŚCI POLSKIEJ Z KRESÓW WSCHODNICH 1955–1959

W roku 1955 w okresie „odwilży" po śmierci Stalina nowa ekipa rządząca ZSRR zainspirowała powrót więźniów politycznych przetrzymywanych w łagrach. W końcu 1955 r. do Polski wróciło kilka tysięcy osób. 15 listopada 1956 r. do Moskwy udali się Wł. Gomułka i J. Cyrankiewicz i uzyskali zgodę na powrót ludności polskiej z Kresów Wschodnich, która nie została przesiedlona w latach 1944–1946. Do końca 1956 roku sprowadzono do Polski ok. 29 000 Polaków.

W latach 1955–1959 przesiedlono łącznie 245 501 osób. 22 260 osób pochodziło z łagrów i miejsc osiedlenia w głębi ZSRR. Reszta pochodziła z Kresów Wschodnich, w tym z Ukraińskiej SRR 76 059 osób. Przesiedleńców kierowano głównie na ziemie zachodnie. Po wysiedleniach na obszarze USRR pozostało nadal ok. 360 000 Polaków. W czasie drugiej fali wysiedleń do PRL przybyło wiele znanych osobistości, m.in. Czesław Juliusz Wydrzycki, znany potem jako Czesław Niemen, Lew Rywin, Władysław Kozakiewicz.

AKCJA H-T

Po konferencji w Jałcie granica między Polską a Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich biegła wzdłuż Sanu, od jego źródeł do góry Jawor i przez wieś Ustianowa dalej, na północny-wschód.

Tak było do roku 1951. Na podstawie ustawy z dnia 15 lutego 1951 r. o zmianie granic do Polski przyłączono należące do USRR miasto Ustrzyki Dolne oraz wsie: Czarna, Lutowiska, Krościenko, Bandrów Narodowy, Bystre, Liskowate. Do ZSRR przyłączono tzw. kolano Bugu: fragment województwa lubelskiego z miejscowościami Bełz, Uhnów, Krystynopol, Waręż, Chorobrów oraz lewobrzeżną część Sokala – Żwirkę. Ludność z żyznych okolic Sokala – ok. 4 500 osób została w październiku i listopadzie przesiedlona w Bieszczady i zasiedliła 31 z 43 istniejących tu przed wojną wsi. Część tej ludności nie umiejąc gospodarować w trudnych bieszczadzkich warunkach, porzuciła objęte gospodarstwa.

Powodem wymiany 480 km^2 ziem były nowo odkryte bogate złoża węgla kamiennego na Sokalszczyźnie i połączenie kolejowe Rawa Ruska – Sokal. Przed zmianą granic Rosjanie, korzystając z tej linii, musieliby opłacać tranzyt. Już w krótkim czasie w wybudowanych kopalniach Rosjanie wydobywali ok. 15 mln ton węgla rocznie, czyli połowę polskiego wydobycia sprzed wojny. Polsce przekazano tereny z ubogimi glebami i z wyeksploatowanymi złożami ropy naftowej. Wymiana tych terenów umożliwiła zagospodarowanie i dokończenie rozpoczętej przed II wojną światową budowy zespołu elektrowni Myczkowce-Solina na rzece San, rozdzielonych powojenną granicą polsko-radziecką. Zyskaliśmy piękne widoki oraz wybudowaną w latach sześćdziesiątych zaporę wodną z elektrownią i sztucznym zbiornikiem na Solinie.

Nazwa akcji H-T pochodzi od pierwszych liter wysiedlanych powiatów: Hrubieszów – Tomaszów.

PRZEBIEG GRANIC POLSKI – CZASY WSPÓŁCZESNE

Obecny przebieg polskiej granicy (ogółem: 3 511 km) określa szereg umów międzynarodowych, jakie Polska zawarła z sąsiadami. Po układzie z Schengen – 21 grudnia 2007 r. zniknęły przejścia graniczne między Polską, Czechami i Słowacją. Słupki graniczne wyznaczające przebieg granicy są pamiątką po czasach, gdy granica dzieliła rodziny i sąsiadów, a teren wokół nich był niedostępny dla przeciętnego turysty.

AGNIESZKA MATUSIAK

MIGAWKI Z GÓR ŚWIATA

Kiedy po raz pierwszy wyruszałam w 2006 roku na dłuższe niż zwykle wakacje, nie przypuszczałam, że będzie to początek przygody, która trwa po dzień dzisiejszy – wyjazdów w niezwykłe miejsca, spotkań z absolutnie czymś nieznanym, niezwykłymi ludźmi, zachwycającą przyrodą, ale też walki ze swoimi słabościami, zniechęceniem, złością, zmęczeniem...

Artykuł ten przybliża kilka miejsc, które z różnych względów zaskoczyły i zachwyciły mnie najbardziej – takich, które bez względu na ilość zdjęć, jakie wykonały moje oczy, będą zapisane na karcie pamięci mojego mózgu na zawsze.

CHIŃSKA NIESPODZIANKA – ŁUK SHIPTONA

Rok 2007 wydawał się zwyczajny, ale już nie mogłam doczekać się wakacji, które zaplanowałam w Kirgizji i Chinach. Po pierwszej tak długiej, trzymiesięcznej podróży w 2006 roku i wizycie w Chinach i Mongolii, wyjeżdżając stamtąd, wymyśliłam, że chciałabym zobaczyć Kaszgar – pozostało tylko zaplanowanie, już w 2007 roku, jak się tam dostać i co zobaczyć. Jako ofiarę, która miała towarzyszyć mi w podróży i stanowić gwarancję bezpieczeństwa, ochronę przed dziką zwierzyną oraz nachalnymi Azjatami, upolowałam Ryszarda „Nowego" Antonika. Nowy tak dobrze poczuł się w tej roli, że postanowił kolejne wakacje spędzić na chronieniu mnie przed rozochoconymi moimi blond włosami Tadżykami, Irańczykami, Palestyńczykami, Libańczykami, Syryjczykami, Kubańczykami oraz innymi nacjami, których wiele by jeszcze wymieniać.

Kiedy zapewniłam sobie już towarzystwo na cały wyjazd – w Kirgizji towarzyszył mi Marek, z którym byłam w poprzednim roku w Chinach (też dobrze czuł się w tej roli, nawet w perspektywie na kolejne lata, ale przegrał w starciu z Nowym) – można było zająć się planowaniem trasy, dojazdu i całej logistyki podróży.

Trasa części chińskiej wyprawy: Osz – Kaszgar – jezioro Karakuł – trekking w okolicach Muztagh Aty – Kaszgar – Hotan – Korla – jezioro Bosten – Turfan – Urumczi – Korgos – Ałma Ata.

Wędrówka po Kirgizji zakończyła się dla mnie po ponad miesiącu, dla Ryśka po kilku dniach, ale czekała na nas niezwykła i ekscytująca droga biegnąca nitkami legendarnego Jedwabnego Szlaku. Co prawda Osz to także miasto mające ogromne znaczenie handlowe i znajdujące się na trasie tego szlaku, jednakże chińska część wakacji zapowiadała się znacznie ciekawiej.

Łuk Shiptona

Nocnym autobusem przejechaliśmy przez przełęcz Irkeshtam z Osz do Kaszgaru. Alternatywną opcją podróży do Chin z Kirgistanu jest przejazd przez znajdującą się bardziej na północ przełęcz Torugart. Jednakże należy wiedzieć o tym, że przejazd drogą północną był w 2007 roku możliwy tylko wtedy, gdy wykupiło się usługę transportową w kirgiskim i chińskim biurze turystycznym. W przypadku trasy południowej nie było takich wymogów, jednakże przejście to funkcjonowało tylko od poniedziałku do piątku. Niestety nie wiedziała tego grupa Polaków, która dotarła na przełęcz Irkeshtam i na przejście w piątek wieczorem, w związku z czym musiała spędzić weekend w górach, czekając na możliwość przejazdu. My natomiast, znając te uwarunkowania, pojechaliśmy sypialnym autobusem w niedzielę wieczorem i w poniedziałek rano byliśmy na kirgisko-chińskiej granicy, gdzie spotkaliśmy ową grupę alpinistów ze Śląska udających się do Pakistanu. Oczywiście przeprawa przez granicę znacznie się przedłużyła i do Kaszgaru dotarliśmy w środku nocy. Na początek, już w ciągu dnia, kontynuowaliśmy spotkanie z legendarnym Kaszgarem. Baśniowe wyobrażenie o tym mieście, jakie sobie stworzyłam, znalazło odzwierciedlenie w starej ujgurskiej starówce, która kilka lat później została zrównana z ziemią. Pozostała część ponaddwustutysięcznego miasta to głównie blokowiska zamieszkiwane w dużej mierze przez Chińczyków. Wszystkie nazwy, oznaczenia i informacje są dwujęzyczne – zapisane chińskimi ideogramami i po ujgursku. Okazało się, że coraz bardziej widoczne są tutaj chińskie wpływy. Kontrastująca z nowoczesnymi budynkami stara ujgurska starówka stanowiła zapowiedź tego, co mieliśmy zobaczyć wkrótce – ścierającą się mentalność, tradycję, historię Ujgurów mieszkających w tym rejonie od wieków i napływowych Chińczyków, ekspansywnie wchodzących z nowoczesnością w zastaną sytuację. Ujgurzy, stanowiący na tym obszarze najliczniejszą grupę etniczną, są jedną z 56 grup zamieszkujących Kraj Środka. Kaszgar ma również współcześnie ogromne

znaczenie ze względu na to, że miasto to połączone jest z Hasan Abdal w Pakistanie słynną Karakorum Highway. Jest to najwyżej położona międzynarodowa autostrada. Zapierająca dech w piersiach trasa została wybudowana w latach 1966–1986 i mierzy łącznie 1300 km, z czego 806 km znajduje na terenie Pakistanu, a 494 km po stronie chińskiej. Przejeżdżając cały odcinek, podziwiać można ośnieżone szczyty Muztagh Ata, Kongur Tagh, a po stronie pakistańskiej Masherbrum, Gasherbrum, Broad Peak, Nanga Parbat i K2. W najwyższym punkcie na Przełęczy Khunjerab Pass, znajdującej się na granicy między obydwoma krajami, osiąga się wysokość 4877 m n.p.m. My przejechaliśmy tylko część osławionej drogi, pozostawiając zwiedzanie większości atrakcji Kaszgaru na deser.

Kolejny dzień przeznaczyliśmy na jednodniową wycieczkę pod Łuk Shiptona, znajdujący się w masywie Kara Tagh. Jest on uznawany za największy łuk skalny na świecie. W 1947 roku został odnaleziony przez Erica Shiptona, a powtórnego odkrycia dokonała w 2000 roku ekipa National Geographic. Przez chwilę zastanawialiśmy się nad tą wycieczką ze względu na stosunkowo wysokie koszty transportu, jednakże to, co zobaczyliśmy, było zdecydowanie warte każdego juana wydanego na podróż. Jak się okazało, miejsce to nie cieszy się, o dziwo, wielką popularnością wśród turystów, pomimo tego, że zostały tam zbudowane odpowiednie drabiny umożliwiające dotarcie pod łuk. Widok łuku robi nieprawdopodobne wrażenie. Natura jest nadzwyczajnym konstruktorem. Sam prześwit ma 350 m wysokości i 54 m szerokości, a doznanie niesamowitości tego miejsca potęguje cisza i pustka oraz to, co widzi się przez światło łuku. Ostatnie chwile w Kaszgarze poświęciliśmy na zwiedzanie starej, ujgurskiej części miasta i skarbów tego miejsca, czyli Mauzoleum Abakh Khoja oraz meczetu Id Kah.

SPACERUJĄC W CHMURACH – HUANG SHAN – PARK NARODOWY ZHANGJIAJIE WULINGYUAN – WOKÓŁ MINJA KONKI

Pomysł na kolejną wizytę w Chinach był spontaniczny. Sporo już widziałam, ale tyle ciekawych miejsc jeszcze czeka! Wymyśliłam zatem nietypową trasę:

Trasa chińskiej części wyprawy: Pekin – Góry Żółte (Huang Shan) – Park Narodowy Zhangjiajie Wulingyuan – Chengdu – Kangding – trekking wokół Minja Konki – Luding – Kangding – Chengdu

Góry Żółte to jeden z symboli Chin. Wędrując po nich, można jeszcze zobaczyć to, czego już nie doświadczymy w Europie – tragarzy noszących w lektykach

turystów! Chociaż wysokość szczytów nie jest bardzo zatrważająca, bo najwyższy z nich Szczyt Lotosu ma 1846 m n.p.m., to w całych Huang Shan znajduje się aż 77 szczytów powyżej tysiąca metrów. Ponadto są dwa jeziora, trzy wodospady i 24 strumienie. Wędrówka jest o tyle uciążliwa, że idziemy praktycznie cały czas po kamiennych schodach, których jest podobno ponad 60 000. Punktem obowiązkowym jest spędzenie nocy w górach tak, aby zobaczyć wschód słońca. Szczególnie popularnym miejscem jest Guangming Ding („Szczyt Światła") o wysokości 1840 m n.p.m. i Tiandu Feng („Stolica Nieba", 1829 m n.p.m.). Trzeba jednak pamiętać, że w Chinach nie możemy liczyć na romantyczne zachody czy wschody słońca z ukochaną osobą. Owszem, w zasadzie możemy, ale świadkami naszych uniesień będzie ok. 600 innych osób, najczęściej Chińczyków. Nie powinno to dziwić, skoro pasmo to odwiedza ok. 15 milionów turystów rocznie. Chińscy turyści docierają o poranku dowożeni autokarami pod samą bramę parku. My trochę musieliśmy się natrudzić. Ale zostaliśmy w położonej u podnóża gór wiosce powitani w dosyć nietypowy sposób – w autobusie, do którego wsiedliśmy, w drzwiach pojawił się niski mężczyzna i z uśmiechem powiedział: „Jestem Hu, pan Hu – piszą o mnie w tym przewodniku, który macie w ręce – pomogę wam". Oddaliśmy się zatem w ręce pana Hu i w zasadzie nie musieliśmy się martwić o nocleg i o to, jak dostać się w góry. Wędrówka po skalnych mostkach pozostawiła niezapomniane wrażenia, podobnie jak granitowe szczyty o fantazyjnych kształtach. W czasie drogi towarzyszyły nam charakterystyczne sosny gatunku *Pinus hwangshanensis* i morze mgieł. Rejon Huang Shan znany jest również z chińskiej herbaty wysokiej jakości, jak Huangshan Maofeng czy Keemun, zatem i jej musieliśmy spróbować przed dalszą trasą.

Park Narodowy Zhangjiajie Wulingyuan

Przejazd w drugie pasmo był nie tylko czasochłonny, ale i trudny logistycznie. Wtedy też wymyśliliśmy teorię, że istnieje coś takiego jak „gen taksówkarza" – nie ma bowiem żadnego innego wyjaśnienia, które tłumaczyłoby, dlaczego taksówkarze na całym świecie chcą naciągać turystów – i to bez względu na kraj.

Po dwóch dniach przejazdu pociągiem i autobusem dotarliśmy do kolejnego miejsca wpisanego na listę UNESCO w Chinach – do Parku Narodowego Zhangjiajie Wulingyuan, będącego pierwszym utworzonym w Kraju Środka parkiem narodowym. Ten spektakularny obszar rozciągający się na ponad 26 000 ha w prowincji Hunan jest pokryty przez ponad 3000 wąskich filarów i szczytów

Park Narodowy Zhangjiajie Wulingyuan

piaskowcowych o wysokości ponad 200 m. Między szczytami leżą wąwozy i wąwozy z potokami, basenami i wodospadami, ok. 40 jaskiń i dwa duże naturalne mosty.

W zasadzie trudno opisać to miejsce, to jedno z takich, które trzeba zobaczyć.

Nasyceni niezwykłymi widokami ruszyliśmy dalej w głąb Chin, by dotrzeć do miasta Kangding. Moja doskonała pamięć wzrokowa tym razem zawiodła. Pomimo tego, że byłam tam rok wcześniej, prawie nie poznałam tego miasta! Okazało się, że Chińczycy na fali kolejnej modernizacji postawili w rok następne „miasto duchów" – choć tym razem bardziej osiedle, w którym nikt nie chce mieszkać. Po zaopatrzeniu się w jedzenie na drogę o poranku postanowiliśmy zorganizować sobie transport do wioski, z której wiedzieliśmy, że startuje się na trekking wokół Minja Konki (Gongga Shan) – 41. szczytu Ziemi o wysokości 7556 m n.p.m. Jest to najbardziej wysunięty na wschód siedmiotysięcznik i trzeci co do wysokości szczyt, który nie leży w Karakorum czy w Himalajach. Szczyt określany jest jako „król gór Syczuanu" i znajduje się w paśmie górskim Daxue Shan, między rzekami Dadu a Yalong. Pierwszego wejścia na szczyt dokonali 28 października 1932 roku Terris Moore i Richard Burdsall z USA, a do 2003 roku góra została z powodzeniem zdobyta tylko osiem razy przez 22 wspinaczy. Jest to zatem dość nietypowy i rzadko zdobywany szczyt. W czasie naszego pobytu dysponowaliśmy jedynie graniówką (!), gdyż nie było możliwości nabycia mapy tego terenu. W efekcie wędrowaliśmy 7 dni, mając na mapie narysowane źródło, powyżej którego powinniśmy przejść przełęczą do następnej doliny i nie mając pojęcia, dokąd dokładnie idziemy. Kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym pojawiła się ta przełęcz, okazało się, że patrzymy na szeroką dolinę, a potencjalnych miejsc i źródeł jest co najmniej pięć! No to wpadliśmy! Jak z nieba pojawił się na koniu pasterz, którego zapytaliśmy, pokazując kierunek, o magiczne „Juisi", czyli miejscowość, do której zmierzaliśmy. Kiwnął głową i pojechał dalej, a my powędrowaliśmy upewnieni głosem z nieba, że to właściwa droga. Po nocy spędzonej na przełęczy położonej powyżej 4000 m n.p.m. zeszliśmy do wioski, po drodze zatrzymując się u Tybetanki, która przygarnęła nas z namiotu dla zwierząt, w którym schowaliśmy się przed ulewnym deszczem. Wtedy po raz kolejny przekonałam się, że każdemu wyjazdowi z Nowym towarzyszy deszcz, nawet na pustyni… Po dniu podróży traktorem, busem i na przyczepie samochodu typu

Kamaz dotarliśmy do Kangdingu.

Minja Konka pokazał się nam przez chwilę, ale ze względu na skalę trudności związanych z organizacją tej trasy uznaliśmy ten trekking za jedną z najlepszych i najciekawszych przygód w życiu.

DEMAWEND BEZ HIDŻABU

Tym razem padło na Iran – bo był tani przelot z Berlina. A zatem, czemu nie? Persja, perskie dywany, przystojni Persowie… wszystko zapowiadało się dobrze. W planie pojawił się też szczyt – wielka hałda, czyli Demawend (5610 m n.p.m., choć Irańczycy twierdzą, że Demawend ma 5671 m n.p.m.), wulkan drzemiący w górach Elburs i jednocześnie najwyższy szczyt Iranu, położony ok. 70 km na północny-wschód od Teheranu. Góra zbudowana głównie z kwasowych law andezytowych. Miał to być mój pierwszy zdobyty pięciotysięcznik… i udało się! Trasa nie była szczególnie trudna, przy dobrych warunkach pogodowych i odpowiednim czasie aklimatyzacji góra jest dostępna dla każdej osoby, która cieszy się w miarę dobrą kondycją i zdrowiem.

Ciekawostką jest to, że prawdopodobnie jako pierwszy szczyt zdobył 1 sierpnia 1843 roku Europejczyk Theodor Kotschy – austriacki botanik i podróżnik urodzony w Ustroniu! Kolejnego znanego wejścia dokonał samotnie 28 sierpnia 1852 roku Józef Czarnota – urodzony w Strumieniu, polski poddany cesarza austriackiego i dyrektor górniczy w służbie szacha perskiego.

Trasa, którą wybraliśmy, jest do pokonania w dwa dni, jednakże my postanowiliśmy najpierw podejść do schroniska położonego na wysokości 4250 m n.p.m., gdzie spotkaliśmy wybitnego portugalskiego himalaistę – João Garcię, który w 2010 roku stał się pierwszym Portugalczykiem i dziewiętnastym człowiekiem w historii, który wspiął się na wszystkie 14 ośmiotysięczniów oraz dziesiątym, który dokonał tego bez korzystania z tlenu i z pomocy Szerpów. Poznaliśmy też Khoo Swee Chiow, Singapurczyka będącego pierwszym mieszkańcem Azji Południowo-Wschodniej i czwartą osobą na świecie, która zdobyła koronę Ziemi, czyli Biegun Południowy, Biegun Północny i Siedem Szczytów. Jest on także pierwszym zdobywcą Mount Everestu z tego kraju.

Damawend po zejściu ze szczytu

Doborowe towarzystwo było z nami w trakcie zdobywania szczytu, choć my poświęciliśmy

jeden dzień na aklimatyzację i dopiero kolejnego dnia o świcie wyruszyliśmy, aby zdobyć Demawend. Pan Swee wyszedł jako prawie ostatni, przebiegł obok nas, a kiedy my byliśmy za połową drogi, on już zbiegał do schroniska. No cóż, tłumaczyliśmy sobie to tym, że miał przewodnika, który niósł mu plecak…

Po zdobyciu szczytu poznawaliśmy uroki Iranu, jego kuchni, przyrody oraz zwiedzaliśmy przecudne zabytki. Tym razem ja już z hidżabem na głowie, bo tylko jak to powiedziała jedna z Iranek – Demawend to strefa wolna od hidżabu. Tylko dom i góry…

Kraj zauroczył nas na tyle, że wróciliśmy do niego rok później.

TURKUSOWO – KUBA

Tanie loty to spory impuls, żeby wybrać się do jakiegoś kraju. Gorzej, kiedy lot jest tani, ale sam pobyt niestety już nie. Kuba była na moim celowniku od dłuższego czasu i tu – jak na życzenie – trafił się dosyć tani lot do Hawany. Plaże, kubańska muzyka, drinki z palemką... Góry? Jakie góry? Okazało się, że jednak są... i to całkiem sporo, a najwyższy szczyt Kuby to Pico Turquino (1974 m n.p.m.) leżący w prowincji Santiago de Cuba w paśmie górskim Sierra Maestra. Góry są znane jako siedziba partyzanckich oddziałów Fidela Castro walczących z dyktaturą Batisty, który ukrył się w nich po fiasku cumowania jachtu Granma w grudniu 1956 roku. Castro wraz z niedobitkami zaszył się w dżungli, a z czasem jego siły stopniowo rosły. Na czele zgromadzonych oddziałów wkroczył do Hawany w styczniu 1959 roku. Dziś można oglądać drewniane chaty, w których mieszkał Castro oraz jego zwolennicy. Skromne zabudowania zwiedza się w towarzystwie przewodnika, podobnie jak zresztą cały Park Narodowy Turquino. Aby zdobyć najwyższy szczyt, musieliśmy wykupić dwudniową wycieczkę. W oczekiwaniu na miejsce w schronisku zwiedziliśmy właśnie Comandancie General de La Plata, bo tak nazywa się miejsce ukrycia Fidela Castro. Kolejnego dnia wyruszyliśmy w dżunglę. Przewodnik to czysta formalność. Nasz z początku nawet coś próbował opowiadać, ale zraziło nas do niego kłamstwo, że nie płacą mu za wycieczkę i liczy na nasze napiwki. Cóż, dla nas opłata za wejście do parku i tak była sporym

Kuba

wydatkiem, więc uznaliśmy, że damy napiwek stosowny do wykonanej pracy. Po kilku godzinach marszu w upale wśród gęstej roślinności, ścieżką wyciętą maczetą, ale na tyle obszernie, że można było swobodnie iść, dotarliśmy do schroniska. Byliśmy przygotowani, że w nocy będzie dosyć chłodno i faktycznie tak było. Rośliną, która mnie najbardziej zaskoczyła w tym dniu, była poziomka znaleziona obok schroniska. Ok. 5.00 rano wyruszyliśmy w stronę szczytu. Nasz przewodnik postanowił nas i wędrujących z nami Francuzów zostawić i dołączyć do grupy Niemców. Poinformował nas, że na szczycie będzie czekał inny przewodnik, z którym zejdziemy na dół. W efekcie szliśmy sami, a na szczycie co prawda go spotkaliśmy, ale i tak schodziliśmy sami. Po kilku godzinach męczącego schodzenia zeszliśmy nad samo morze, gdzie czekała na nas w umówionym miejscu poznana na Kubie para Niemców, z którymi wypożyczyliśmy samochód. Obraliśmy kierunek Santiago de Cuba i dalej Bayamo – miejsce, do którego dotarł Kolumb w czasie historycznej podróży w poszukiwaniu drogi do Indii.

Jakie były góry Sierra Maestra? Niezwykle zielone, pełne niezliczonej ilości ptaków (udało mi się sfotografować kolibra!) – to zatem raj dla kochających dżunglę, dziką przyrodę i ptaki. Cel dosyć też nietypowy, bo mało kto jedzie na Kubę, aby wędrować po górach. Można jednak połączyć kąpiele w oceanie oraz górskie spacery – po to, by zrobić coś niesztampowego w czasie zwyczajnego urlopu...

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Nikt nie może zabrać Twoich marzeń. Nie pozwól, by ktoś zabronił Ci wcielać je w życie.

Panie dziękuję Ci że stworzyłeś świat piękny i bardzo różny
a także za to że pozwoliłeś mi w niewysłowionej dobroci Twojej
być w miejscach które nie były miejscami mojej codziennej udręki
(...)
dziękuję Ci Panie że stworzyłeś świat piękny i różny
a jeśli jest to Twoje uwodzenie jestem uwiedziony
na zawsze i bez wybaczenia

/ Zbigniew Herbert, Modlitwa Pana Cogito – podróżnika /

Zdjęcia autorki

KATARZYNA JAMRÓZ

HARNASIE NA DACHU AFRYKI

CZYLI O TYM, JAK KRWAWA KAŚKA I CIESZYNKA WDRAPAŁY SIĘ NA KUPĘ GRUZU ZWANĄ KILIMANDŻARO

– Pomalućku, ale furt..., co w języku suahili tłumaczymy „pole, pole". I są to jedne z najczęściej słyszanych na szlaku słów. Bo faktycznie, szybciej w tych warunkach klimatycznych po prostu się nie da. Zresztą wszystkie afrykańskie, doświadczone przez nas chwile były bardzo powolne. Jakby czas na równiku stanął w miejscu! Tak, równik... zdałam sobie sprawę z jego istnienia tak naprawdę przypadkiem. Coś tam w szkole na lekcjach geografii uczą, że jest, że dzieli świat na dwie półkule. I takie tam. I to było dla mnie fascynujące odkrycie. Wychodzę pewnej nocy do toalety, ale że było zimno i daleko, przycupnęłam za najbliższą skałą i nagle z jednej strony rozpostarło się nade mną niebo pełne gwiazd, a w oddali po drugiej stronie pojawił się księżyc. Ot, takie prozaiczne, prawie jak co noc na mojej Furmanowej. Ale to prawie robi naprawdę olbrzymią różnicę. Próbuję podczas tych kilku chwil wyłapać w przestrzeni kosmicznej jakieś znane gwiazdozbiory, a tu nic! Tylko coś, co przypominało Wielki Wóz, ale jakiś kopnięty, obalony, jakby wylądował w moim rowie na Ciągłówce, próbując zjechać do Zakopanego. I właśnie wtedy mnie olśniło! Przecież to niebo nade mną jest niebem południowym (przecież Zakopane i Tatry są na południe)! Zatem zaczęłam szukać jakiegoś znaku krzyża, ale było tak dużo gwiazd, że widziałam same krzyże. A Krzyża Południa nie. A księżyc? Ech, cała nasza nauka kursowa o tym, że jak widzimy go w kształcie litery C, to się cofa, a jak w kształcie litery D, to dopełnia. A on tu był w C i się dopełniał. Takie moje pierwsze afrykańskie przeżycie na szlaku zwanym Coca-Cola Route w drodze na Kilimandżaro.

Teraz już po takim epickim wstępie mogę zacząć opisywać nasze z Cieszynką zmagania z najwyższą górą Afryki i najdroższym trekkingiem życia. Pamiętam dokładnie, kiedy Agnieszka zadzwoniła do mnie jednego wrześniowego popołudnia, odpoczywając na wywczasie na Furmanowej. A ja byłam w tym czasie z grupą

w Dolomitach, podchodziłam stromymi zakosami w rejonie Passo Falzarego (Dolomity) zdyszana i lekko już zmęczona po kilku dniach intensywnego chodzenia.

— Kasiek, są tanie loty do Tanzanii na styczeń, może by tak...?

— Yyy, no to brzmi nieźle! Hmm (tylko gdzie ta Tanzania? To chyba tam to „Kili" jest). Poczekaj na mnie dwa dni, wrócę do domu, obgadamy sprawę, ale jestem na tak!

Kupiłyśmy bilety dokładnie dwa dni później, jako deser do niedzielnego śniadania i porannej kawy z ekspresu. Ale gdzie ten tytułowy Dach Afryki właściwie się znajduje? Teraz już jesteśmy mądre, uczone w piśmie. Po przeczytaniu trzech przewodników po trzy razy każdy. Miałyśmy sporo czasu podczas przelotu do Dar es Salaam (dawna stolica Tanzanii) z przesiadką w Doha. Tak, tak, kto bogatemu zabroni latać Qatarairways? Zwłaszcza, że jak kupowałyśmy bilety, to obie byłyśmy prawie bezrobotne. Darmowe drinki na pokładzie pomagały przyswajać pierwsze słowa w tym dzikim języku suahili, który jest takim powiedzmy kulturalnym łącznikiem między ponad 120 plemionami Tanzanii.

Kilimandżaro jest to góra W – wulkan i leży na terenie parku narodowego o bardzo restrykcyjnych przepisach. Główny i najwyższy wierzchołek – Kibo – znajduje się na wysokości 5985 m n.p.m. Całość położna jest na pograniczu z Kenią. I to od Kenii zaczęły się nasze przygody z trekkingiem, a dokładniej od jednej agencji poleconej przez mojego znajomego Krisa. Miało być tanio i solidnie. Ponieważ zaplanowałyśmy trekking mniej więcej w 2/3 naszego wyjazdu, postanowiłyśmy napisać do agencji już z Tanzanii, gdzieś między Iringą a Dodomą – stolicą. Wszystko poszło gładko, potwierdzona cena, data rozpoczęcia, nawet jedzenie, które kucharz miał nam przygotowywać, biorąc pod uwagę fakt moich problemów alergiczno-gastrycznych. Zadowolone złapałyśmy autobus ekspresowy, czyli afrykański bus-standard z napisem „Zaufaj Jezusowi" do Arushy, gdzie byłyśmy umówione na dworcu i gdzie miała na nas czekać taksówka i dobry hotel z gorącą wodą pod prysznicem (co nie jest w tym kraju takie oczywiste, ponieważ jak to powiedział jeden Masaj: *Ladies – this is Africa!*). Ucieszyłyśmy się z czekającej na nas taksówki, kierowca załadował plecaki i już za kilka chwil byłyśmy w ładnym hotelu z wszystkimi luksusami i panem bagażowym. Pięć minut później czyste,

pachnące i podekscytowane czekającą nas wyprawą w góry musiałyśmy stawić czoła pierwszym prawdziwym afrykańskim kłodom pod nogami. Agencja okazała się nierzetelna. Wynajęła podwykonawcę – kolejną agencję z Tanzanii. Doszło do wielu niedomówień i nieporozumień, do końca nie wiedziałyśmy, jak duża będzie nasza pielgrzymka na święte Kili, czyli z ilu osób będzie składała się nasza karawana, a co za tym idzie, ilu porterom, kucharzom, przewodnikom musimy zapłacić extra napiwki. Widać Kenia i Tanzania mają zupełnie dwa różne systemy metryczne. Siedem osób w Kenii to tylko pięć w Tanzanii. Jak już zgodziłyśmy się na tych siedmiu „obowiązkowych i zgodnych z przepisami parku" towarzyszy na szlaku, okazało się, że w ciągu jednej nocy przepisy zmieniły się i dali pięciu, zapomniawszy o porterze dla nas. Zatem ruszyłyśmy! Ale na razie z hotelu w Arushy, ciesząc oczy piękną sylwetką Mont Meru (wysokość 4567 m n.p.m.) i po ponad dwóch godzinach jazdy prywatnym jeepem z całą pięcioosobową załogą dojechałyśmy do wioski Marangu. Tutaj pora na końcowe zakupy – woda, chleb. Teraz już tylko przejazd przez wielką zamykaną na jeszcze większą kłódkę bramę. Niczym brama do Pałacu Buckingham, tylko więcej strażników! Wobec potęgi masywu Kilimandżaro i czekającej nas wyrypy beztroska naprawdę się skończyła, a problemów organizacyjnych tylko przybywało. Nagle jeden z naszych przewodników zaczepił jednego portera, który dopiero co zszedł z góry z grupą. Co się będzie chłopak w domu nudził czy dłubał w nosie w autobusie (taki lokalny afrykański zwyczaj – Cieszynka twierdzi, że dlatego oni maja tutaj takie wielkie otwory nosowe). Tak oto po kilku chwilach mieliśmy skompletowaną ekipę i tragarza dla nas! Czyli teraz już tylko rejestracja w biurze parku i możemy wreszcie ruszać w góry. Naszym przewodnikiem był Mikel, który miał swojego asystenta – Paula (także licencjonowany przewodnik). Agencja chyba miała nosa do nas, czyli dwóch „mzungi", że nie będzie z nami łatwo i pewnie dlatego zafundowali nam wyjście „tjutorskie", czyli jeden na jednego. Organizacyjnie i administracyjnie zupełnie zbędny zabieg, dodatkowe koszty dla nas, na co nie miałyśmy na tym etapie wpływu, ale wykorzystałyśmy ten fakt w trakcie ataku szczytowego. Każda miała swojego „partnera", ale o tym później.

Mogłyśmy się poczuć jak prawdziwe królowe, ponieważ nigdy dotąd żadna z nas nie miała swojego osobistego kucharza, kelnera – Ali i portera – Wilhelmu!

Zanim doszło do rejestracji, jeszcze tylko jedna malutka przeszkoda się pojawiła. Woda! I nie jej brak, ale fakt jej posiadania... w plastikowych zwykłych butelkach typu PET. Próbowano nam wmówić, że na teren parku jest absolutny zakaz wnoszenia takowych butelek i że musimy albo kupić (dodatkowe 20$ za szt.), albo wypożyczyć specjalne plastikowe butelki wielokrotnego użytku. Hmm, no plastik jest plastik. Oczywiście był to kolejny zabieg, żeby wyciągnąć kasę z turystów, ponieważ w regulaminie parku nie ma ani jednego słowa na ten temat. Na szczęście udało się nam to zrobić bezkosztowo i pożyczyć trzy butelki od naszych porterów. Idziemy się rejestrować. Straciłyśmy już prawie trzy godziny i niemalże straciłyśmy nadzieję, że w ogóle rozpoczniemy ten trekking, ponieważ w międzyczasie zadzwonił właściciel agencji pośredniczącej i kazał nam wracać do Arushy i anulować zlecenie. Odebrałyśmy to jak zwykły afrykański foch, w dodatku szef tanzańskiej agencji kazał się przepraszać. Było to dla nas kompletnie niezrozumiałe. Byłyśmy ostatnią tego dnia ekipą wychodzącą na szlak. W książce wyjść znalazłam wpis od jakiejś dużej ekipy z Polski. Oni realizowali plan sześciodniowy a my pięciodniowy, zatem miałyśmy pewność spotkać ich po drodze. Liderem grupy była Monika Witkowska, zdobywczyni Korony Ziemi we własnej sympatycznej osobie. Dogoniłyśmy ich już drugiego dnia w schronisku Horombo, ponieważ spędzali tam dodatkowy dzień aklimatyzacyjny. My z góry założyłyśmy, że damy radę bez niego. W końcu doświadczone z nas „góralki". Jedna z „Kentaki" z dziada pradziada, a druga z Gubałówki przez zasiedzenie.

Przez trzy kolejne dni trekkingu pokonuje się dystans ok. 9 km dziennie, co nie jest ani zbyt męczące, ani nudne, gdyż krajobrazy, rzeźba terenu i roślinność zmieniają się każdego dnia. Jak zaczynamy trekking, to poznajemy najpierw deszczowe lasy, w których drzewa są tak magiczne jak u Tolkiena, żeby kolejnego dnia przejść przez las typu *erica arborea* (lasy wrzoścowe). To tak jakby nagle na szlaku gdzieś w Gorcach ktoś potraktował wrzosy sterydami! Drzewa te są wysokie na kilka metrów i tworzą niesłychanie gęstą siatkę. Na szczęście znalazłyśmy już drugiego dnia dziurę w tej wrzoścowej pajęczynie i udało się dostrzec piękną sylwetkę wulkanu Kibo. Nasze pierwsze z nim spotkanie i aż do czwartego dnia ostatnie. Ale na długo pozostanie ten obrazek w mojej pamięci, zwłaszcza fragment z małym ośnieżonym punkcikiem, do którego krok po kroku zbliżałyśmy się i trudno było

uwierzyć, że coś tak odległego jest aż tak wysokie, i że staniemy na szczycie już za cztery dni.

O chłopakach z naszej obstawy można napisać osobną książkę, ale kilkoma refleksjami-przygodami chciałam się podzielić. Każdego dnia uczyłyśmy się od nich nowych zwyczajów na szlaku. Już pierwszego dnia Ali – nasz kelner – ujął nas za serce. Po tym ciężkim i nerwowym pierwszym dniu zaraz po zameldowaniu się u strażnika w schronisku Mandara (wysokość 2715 m n.p.m.) otrzymałyśmy po misce gorącej wody do wieczornej toalety. Tamtejsze schroniska są bezobsługowe, bezsklepikowe, bezpiwne i w ogóle bez-. Do pełni szczęścia brakowało tylko, żeby ktoś nam umył stopy. A następnego dnia, tuż przed śniadaniem, podobny rytuał: delikatne pukanie do drzwi, a tam Ali z miskami wody, herbatą w termosie i kawą. Prawie do łóżka. Co prawda zawsze marzyłam, żeby taką kawę zaserwował mi Mel Gibson, ale co tam. Dobry Ali nie jest zły! Jednak najbardziej byłyśmy zdziwione i pozytywnie zaskoczone, jak na naszym stole pojawiły się kwiaty w wazonie, żółte jak żonkile. I co z tego, że sztuczne! Żadna inna grupa w żadnym schronisku nie miała tak pięknie nakrytego stołu. Zatem łatwo zrozumieć, dlaczego poczułyśmy się jak prawdziwe angielskie królowe. Gdyby tak jeszcze czerwony dywan i orkiestra..., ale dość rozmarzania się. Trzeba wrócić na szlak. W godzinę od wyjścia docieramy do krateru o nazwie Maudi. Niesamowicie bogate florystycznie miejsce. Od tego momentu krajobraz zmienia się stopniowo z lasów wrzoścowych na roślinność przejściową do strefy pustynnej – wulkanicznej. Strefę tę zabezpieczają dosłownie, bo i taka jest ich nazwa, pięknie kwitnące na biało kwiaty będące symbolem Afryki Południowej, *Protea kilimanjarica* oraz olbrzymie lobelie, zupełnie nieprzypominające tych moich zwisających rachitycznie z balkonu na Furmanowej. Tutaj to są duże rośliny, z grubymi pniami i liśćmi jak ananas. Kiedy wychodzimy powoli z tej soczystej zielonej strefy, pojawia się wreszcie wulkaniczna pustynia. Tylko gdzieniegdzie można spotkać krzewinki w sąsiedztwie skał bądź też roślinność azonalną wzdłuż potoków.

Tak oto dotarłyśmy do drugiego schroniska na naszej trasie – Horomobo Hut (wysokość 3705 m n.p.m.). Było słoneczne, ale wietrzne popołudnie i do wieczora miałyśmy sporo czasu. Bez porozumienia z naszymi przewodnikami postanowiłyśmy zrobić sobie mały spacer do grupy skał o nazwie Zebra Rocks po to, żeby zrobić przynajmniej 200 m przewyższenia (lepsze to niż nic), co powinno

przyspieszyć proces aklimatyzacji. Wiemy już, że czasem za takie wybryki przewodnik może utracić licencję na zawsze. Jak się okazało następnego dnia, poszliśmy dokładnie tą samą trasą, ale dla nas nie miało to znaczenia – lubimy grupowe romantyczne spacery.

Kolejnego, trzeciego dnia dotarłyśmy wreszcie do ostatniego – trzeciego schroniska o nazwie Kibo (wysokość 4700 m n.p.m.). Zrobiło się trochę jakby przestrzenniej, wokół krajobraz już zupełnie pustynny, tylko niewielkie kamienie, jedna wielka równina, prawie żadnych przewyższeń, poza budzącym podziw wulkanem Mawenzi (wysokość 5150 m n.p.m.), który jest dość trudną technicznie górą i jedyną w całym masywie Kilimandżaro całkowicie wspinaczkową. Ma w sobie jakiś magnes chyba, bo mój wzrok ciągle podąża w jej stronę. Doszłyśmy sprawnie i szybko jak zawsze na nocleg, witamy się ze strażnikiem, naszą ekipą oraz polską grupą prowadzoną przez Monikę. Zaczynamy się organizować, ponieważ ten wieczór ma być inny od pozostałych. Dziś szykujemy się do ataku szczytowego. Zatem trzeba pójść wcześnie spać, bo o 23:00 czeka nas pobudka, kolacja, a o północy planujemy wyruszyć. Zaraz po wpisaniu się do księgi meldunkowej, rozłożeniu śpiworów wyskoczyłyśmy na szybką godzinną wycieczkę do góry zakosami, których lepiej za dnia nie oglądać, żeby nie odeszła ochota na zdobywanie szczytu. „Droga długa jest i nie wiadomo, czy ma kres" – tak, podążając za słowami piosenki, można w skrócie zobrazować to, co nas czeka już o północy, czyli nigdy niekończące się zakosy – zyg-zak, zyg-zak... aż do Punktu Gillmana na wysokości 5681 m n.p.m.

Wróciłyśmy z wycieczki, toaleta i szybkie spanie. Jest to jedyne schronisko na szlaku, które jest typowym budynkiem o jednej bryle z podziałem na kilkunastoosobowe pokoje z pryczami piętrowymi i wielkimi stołami do spożywania posiłków. Musiałam włożyć stopery do uszu, bo do pokoju zakwaterowali jeszcze innych turystów i ciężko w ogóle było zasnąć. A jak pokazał dzień kolejny, była to jedyna drzemka i szansa na wypoczynek na najbliższe 36 godzin. Przed północą zaserwowano nam zamówioną lekką zupę wegetariańską. Niestety odbijało nam się po niej ogórkami przez pół drogi, która prowadziła zakosami do góry. Już myślałam, że będziemy musiały obie zawrócić przez tę nieszczęsną „lekkostrawną" zupę, ale w końcu po osiągnięciu głównego grzbietu na wysokości ok. 5700 m – przeszło, na nasze szczęście i kucharza, na którego

chciałyśmy wylać wszystkie pomyje. Niebo pięknie rozgwieżdżone, które towarzyszyło nam od początku wspinaczki, nagle powoli zaczęło blednąć i zmieniać barwy na pomarańczowo-czerwone. Tutaj także rozdzieliłyśmy się aż do momentu zdobycia szczytu Kibo. Szłam nieco szybciej z Paulem, bo każde zatrzymanie na dłużej niż 5 minut powodowało, że palce u rąk wchodziły w stan „hibernacji". Pogoda, mimo że stabilna i idealnie bezchmurna, to poprzez wiatr i mróz ok. -15, dawała się we znaki. Miałam na sobie niemal wszystkie ciuchy (poza piżamą), które w ogóle zabrałam na trekking. Pozostało nam do przejścia raptem 250 metrów przewyższenia, ale na dość długim odcinku, zatem nie była to zbyt męcząca wspinaczka. A za nami słońce coraz energiczniej próbowało wyrwać się zza horyzontu, aż wreszcie około godziny 6.20 ukazało się w pełni blasku i od razu odczułam jego ciepło na swoich plecach. Po następnych 10 minutach byłam z Paulem już na szczycie Uhuru Peak (najwyższy punkt wulkanu Kibo, wys. 5895 m n.p.m.). 15 minut później pojawiła się Agnieszka z Mikelem.

A tam totalne wariactwo, mnóstwo ludzi, niektórzy tańczyli i śpiewali, a jeden Anglik rozebrał się prawie do rosołu, zawinął się swoją flagą narodową i paradował niczym paw. Wiedziałyśmy, że na szczycie nie możemy spędzić zbyt wiele czasu z powodu zimna i wiatru. I naprawdę ciężko było ściągnąć rękawiczki do robienia „selfi". Zatem sesja zdjęciowa trwała krótko. Wyściskałyśmy naszych przewodników i podziękowałyśmy, a świętowanie i śpiewy odłożyłyśmy do następnego dnia. Zrezygnowałyśmy także ze spaceru do krateru Richtera, gdyż czekało nas teraz długie, żmudne zejście, poprzez schronisko Kibo prosto do schroniska Mandara, czyli z pominięciem Horombo, gdzie zawsze nocują grupy po

zejściu ze szczytu. Fakt, jest to wariant optymalny, ale już wcześniej założyłyśmy wcześniejszy powrót do Marangu, gdzie chciałyśmy zrobić zakupy i zaplanować naszą dalszą podróż po Tanzanii. Zatem była to jedyna opcja. Wracając do zejścia, cała nasza czwórka wybrała wariant szybszy, czyli spełzywanie piargami prosto w dół zamiast nużącego zygzaka. Dotarliśmy z Paulem do schroniska Kibo ponad 30 minut wcześniej, ale nie marnując czasu, przygotowałam częściowo bagaże dla tragarza i zarządziłam przygotowanie posiłku, a także znalazłam czas na krótką kąpiel słoneczną – jedyną na całym wyjeździe – i chwilę relaksu. Po posileniu się i nawodnieniu zaczęliśmy mozolne zejście, robiąc niemal 2000 metrów przewyższenia i ponownie przechodząc przez kilka znanych nam już stref roślinności. Dotarliśmy do schroniska wczesnym wieczorem totalnie zmęczeni, co było widać po twarzach naszych przewodników. Na ostatnim odcinku, kiedy ścieżka ponownie wiodła zacienionym lasem, nasz przewodnik potknął się o kamień i upadł. Wyglądało to groźnie, więc wzięłam jego plecak (robiąc chwilowo za tragarza) i pobiegłam ok. 800 metrów do schroniska, informując dla żartów strażnika, że odtąd jestem nowym przewodnikiem na szlaku Marangu i że za chwilę dotrze tutaj moja grupa, i proszę o zameldowanie nas. Strażnik zrobił oczy wielkie jak 5 złotych, chyba nie bardzo rozumiejąc, co się stało i że to taki niewinny żarcik. Na szczęście ekipa doszła po chwili, a strażnik zobaczył, że Mikel jest lekko potłuczony i brudny od upadku. Wykonał telefon do schroniska Horombo, gdzie powinniśmy spędzić noc, i potwierdził wydanie zgody przez siebie samego kilka godzin wcześniej. Ot, takie zakręcone procedury. I już po chwili dał nam klucze do naszego prywatnego M4. Jeszcze tylko jeden wysiłek – wieczorna toaleta i kolacja. Już nawet nie mieliśmy siły ze sobą rozmawiać. Taka mała cisza przed nadciągającą następnego dnia burzą... czyli załatwianiem odłożonych problemów formalnych z pierwszego dnia – sprawą zapłaty za portera wziętego do ekipy z łapanki.

Póki co chciałyśmy się porządnie wyspać. Udało się nawet szybko zasnąć. Jednak noc miałam niespokojną. Nad ranem, ok. 4.00, zbudziły mnie odgłosy sąsiadów, pokasływanie i chrapanie naraz. Ukradkiem wyjrzałam za okno i znów te miliony gwiazd. Nie mogłam oprzeć się pokusie spędzenia reszty nocy na tarasie przy jadalni pod gołym niebem. Było ciepło, zatem zabrałam śpiwór i umościłam się wygodnie na ławce. I tak, lewitując myślami i błądząc po nieznanych mi gwiazdozbiorach, przetrwałam do momentu, kiedy rzeczy nie są już czarne, ale nie są jeszcze białe. Niekiedy tylko ze stanu zamyślenia wyrywały mnie odgłosy małp baraszkujących na drzewach wokół naszej polany. Nie powiem – czułam momentami lekki strach, czy przypadkiem nie wpadnie im do głowy jakiś pomysł na „małpie figle". Powoli zaczęło świtać, na co wskazywały także coraz głośniej śpiewające i prowadzące dysputy ptaki. Przygotowałam aparat na nagrywanie filmu i kiedy tylko słońce zaczęło wychylać się ponad korony drzew w niższej części polany, zaczęłam nagrywać ten kilkunastominutowy słoneczny spektakl. Po chwili dołączyli także inni turyści – niepoprawni jak ja romantycy: Japończycy, Niemcy, Anglicy, Finowie. Dla nich był to pierwszy wschód słońca pod Kilimandżaro,

ponieważ wszyscy byli dopiero w drodze na szczyt. Dla nas ostatni. Śniadanie tego dnia było uroczyste i spędzone w towarzystwie naszych przewodników. Do tej pory cała ekipa obsługi jadała posiłki osobno – taki zwyczaj. Dziś jednak chciałyśmy podziękować chłopakom za wspólnie spędzony czas, za sukces zdobycia szczytu w dobrym czasie i bez ofiar w ludziach (ciągle twierdzę, że kucharz chciał nas otruć przed atakiem szczytowym, dlatego dodał do zupy ogórki i mleko, które nam szkodzą!). Miałyśmy dla nich także drobne prezenty rzeczowe – między innymi rękawiczki puchowe dla Paula za ocalenie moich palców przez odmrożeniami pod szczytem Uhuru oraz folię NRC dla Mikela, którą zabezpieczyłyśmy się przed wiatrem podczas jednego z postojów pod Punktem Gillmana (oni nie znają tam takich materiałów i mniemam, że widzieli pierwszy raz na oczy taką folię). Teraz pozostało nam tylko odśpiewać pieśni zdobywców, odtańczyć triumfalny taniec i z uśmiechem na ustach odbyć ostatnie dwie, trzy godziny zejścia do bramy Marangu Coca-Cola Route. Po drodze zahaczyliśmy jeszcze o wodospad, który czasem bywa wodospadem, kiedy padają deszcze, ale teraz była to zaledwie ciurkająca strużka, za to miejsce świetne, bo zacienione nad potokiem, gdzie można spędzić błogo dosłownie ostatnie chwile na trekkingu. I oto brama. Ta, którą znamy już z wejścia do parku sprzed 5 dni. Wpis do książki meldunkowej dopełnia formalności (to już piąty na całej trasie), pamiątkowe zdjęcia z puszką coca-coli i puszką piwa Kilimanjaro, zameldowanie się, a właściwie wymeldowanie w biurze parku z podaniem godziny zdobycia szczytu Uhuru i już prawie możemy odetchnąć z ulgą, że to, co jeszcze 5 dni temu wydawało się niemalże nierealne i powodowało sytuacje stresowe, teraz się kończy szczęśliwie i pełnym sukcesem. Pozostaje nam już tylko zamknięcie spraw organizacyjnych i pożegnanie się z naszym tragarzem, którego dokładnie pięć dni wcześniej zgarnęliśmy przypadkowo. Nastąpiła także najważniejsza chwila dla członków naszej ekipy, czyli napiwki. Siedzieliśmy wokół stołu na tarasie otoczonym pięknymi fotografiami roślinności i zwierząt. Każdy członek wyprawy otrzymał od nas zwitek dolarów, co poprzedziłyśmy przemową i podziękowaniami za dobry serwis na szlaku. I udało się nam wreszcie dogadać z biurem tanzańskim w sprawie płatności dla Wilhelmu – Mikel, nasz przewodnik, oddał mu swój napiwek, który z kolei miał zostać pokryty przez właściciela biura. Tak, napiwki to bardzo ważna

część zapłaty każdej ekipy obsługującej turystów na Kilimandżaro. Prawdę mówiąc, tragarze i cała reszta, może poza przewodnikami, utrzymują się tylko z naszych datków, ponieważ biura płacą im naprawdę niewielkie pieniądze.

Był wieczór, kolejny ciepły na tej afrykańskiej ziemi. Ponieważ nasza podróż po Tanzanii trwała trzy tygodnie, to przestałyśmy liczyć, ile tych wieczorów już minęło. Siedziałyśmy w cywilizowanej restauracji o włoskiej nazwie Mamma Mia (właściciel ma włoskie korzenie), w zupełnie niecywilizowanej miejscowości Lushoto, jadłyśmy najgorszy ryż (wyglądem przypominał raczej klej i tak też smakował) podczas całej wyprawy, zapijałyśmy go piwem Kilimanjaro i dopiero teraz tak naprawdę świętowałyśmy zdobycie tej wielkiej góry. Tutaj właśnie uszły z nas wszystkie emocje, głównie te stresujące, i mogłyśmy odczuć przyjemność z trekkingu, a także na spokojnie wymienić się refleksjami i spostrzeżeniami, które każda z nas w sobie gromadziła przez kilka ostatnich dni.

Nie ma dla nas wątpliwości i jesteśmy zgodne, że Kilimandżaro nie jest zbyt urodzajną górą i ma bardzo banalną sylwetkę, ale należy się jej respekt i podziw. I pewnie gdyby nie wysokość nad poziomem morza, byłaby jedną wielką kupą gruzu, prawie jak nasze śląskie hałdy. Ale w końcu jest Dachem całej Afryki!

Zdjęcia autorki

KATARZYNA JAMRÓZ

ORGANIZACJA TREKKINGÓW KOMERCYJNYCH W XXI WIEKU. FUNKCJA TOUR-LEADERA

Mamy XXI wiek, nowoczesne technologie, ogromny postęp cywilizacyjny. Nasze postrzeganie świata znacznie się rozszerzyło. Nagle wszystkie góry na kuli ziemskiej, skaliste wybrzeża morskie znalazły się blisko nas, na ekranach naszych telewizorów, laptopów, smartfonów. Jak gdyby znajdowały się tuż za oknem. Jednym kliknięciem myszki komputerowej możemy dokonać zakupu biletu lotniczego na koniec świata, w kilka sekund zrealizować największe marzenia o dalekich podróżach, najpiękniejszych trekkingach górskich.

Tylko czy aby dotyczy to nas wszystkich, czy dla wszystkich te osiągnięcia techniki są dostępne? Istnieje jeszcze ogromna grupa turystów, dla której szczytem umiejętności jest opanowanie telefonu komórkowego. I właściwie nic więcej im do szczęścia nie potrzeba. To właśnie oni nadal potrzebują profesjonalnej pomocy w zorganizowaniu podróży. Wiedzą, czego chcą, ale nie wiedzą, jak to zrobić. Albo inna grupa – ludzi z wielkich korporacji, którzy poprzez telekonferencje codziennie przebywają w innej światowej stolicy, przemierzają tysiące wirtualnych kilometrów, pracują od świtu do zmierzchu, zarabiają mnóstwo pieniędzy... ale nie mają czasu na wakacje. Kiedy już go znajdą, najlepiej, gdyby ktoś im wszystko zorganizował. Do tego grona zaliczają się także wszyscy ci, którym po prostu brak czasu na organizowanie wyjazdu wakacyjnego we własnym zakresie. A innych z kolei praca

zawodowa tak wysysa intelektualnie, że brakuje im pomysłów na wakacyjną destynację. I dotyczy to nie tylko naszego wąskiego kręgu osób wybierających trekkingi górskie, ale wszystkich kategorii wakacyjnej turystyki. Nie ma przy tym w wymienionych grupach podziału wiekowego. To znaczy, że każdy turysta bez względu na swój wiek zmaga się z podobnymi sytuacjami. Bez wyjątku!

Przewodnik UIMLA na trekkingu Pod Annapurną

Załóżmy, że udało nam się kupić bilet lotniczy na nasz wymarzony koniec świata. Wreszcie zobaczymy magiczne góry zamieszkiwane przez Indian peruwiańskich, z których kulturą i muzyką mogliśmy do tej pory spotkać się na katowickim ryku podczas wakacyjnych dni. Albo z bliska poznamy kulturę nepalskich Szerpów, ludów tybetańskich, których równie materialny przejaw można podziwiać, wchodząc na Rysy od słowackiej strony, opodal Chaty pod Rysami. Postawiono tam bramę zwieńczoną rozwieszonymi flagami modlitewnymi, które według religii tych ludów mają odstraszać złe moce, a kto wie, może i pracowników TANAPu, jeśli akurat znajdą się poza wyznaczonymi dla uprawiania turystyki szlakami.

Z biletem „on line" na naszych smartfonach zaczynamy już przeżywać tzw. *riese fiber* (gorączkę podróży), ale co rusz pojawiają się kolejne bariery. Jedną z nich jest problem komunikacyjny; i nie chodzi tu wcale o spóźniające się pociągi czy brak WI-Fi w pendolino, ale o brak znajomości języka, którym możemy porozumiewać się w miejscu naszej podróży. Dotyczy to całej strefy usług turystycznych i paraturystycznych, jak i zwykłych kontaktów międzyludzkich na każdym etapie wyprawy. I na samą myśl o zakupie biletu w lokalnym autobusie gdzieś w Afryce, zamówieniu taksówki z hotelu na lotnisko czy zamówieniu dobrego posiłku, niekoniecznie posługując się zdjęciami w menu, których najczęściej po prostu nie ma, zaczynamy ze stresu obgryzać paznokcie. A może by tak nie jechać? Albo może lepiej z jakimiś znajomymi, którzy chociaż znają język angielski? Od razu nadmienię, że z tym angielskim nie jest tak, jak powszechnie uważamy. W wielu miejscach rzeczywiście jest to język międzynarodowy i z jego pomocą prawdopodobnie wiele problemów i sytuacji bylibyśmy w stanie załatwić, natomiast są takie rejony, zwłaszcza hiszpańskojęzyczne (np. Meksyk), gdzie niestety na nic zda się nam jego znajomość. Zatem nie jest to język-wytrych. Nawet w takiej Austrii, kraju alpejskim, czy w Alpach Francuskich, należy znać języki

narodowe. Poza barierą językową dochodzimy wreszcie do aspektu zdolności organizacyjnych, których większość z nas po prostu nie ma. Gdyby było inaczej, współczesne biura podróży nie miałyby klientów, a my nie utknęlibyśmy w dzikiej głuszy bez zasięgu telefonu, bez transportu, bez jedzenia i z marnymi szansami, żeby zdążyć na samolot powrotny do kraju.

Rynek trekkingów górskich ciągle się rozwija i coraz bardziej specjalizuje w konkretnych typach turystyki, co stanowi dowód na olbrzymią potrzebę organizowania także trekkingów górskich. A uczestnicy będą mieć szansę, aby ich wyprawa przebiegła pomyślnie. Można śmiało powiedzieć, że jednym z podstawowych zadań biura organizującego trekking czy też jakąkolwiek inną formę wypoczynku jest wyeliminowanie czynnika, jakim jest stres. To on najczęściej nie pozwala zapomnieć o pracy nawet po dwóch tygodniach „urlopowania się", nie pozwala się zrelaksować i, co za tym idzie, w pełni cieszyć się najpiękniejszymi górskimi plenerami. Stres jest zatem przysłowiowym kamyczkiem w bucie, którego zdecydowanie chcemy uniknąć podczas naszych wypraw. I słusznie. Dlatego najlepiej oddać całość spraw organizacyjnych wyjazdu w górskie rejony profesjonalnym agencjom trekkingowym. Jest ich coraz więcej, prężnie działających, mających w swoich ofertach niemal wszystkie górskie rejony świata, nawet najdalej odległe i z pozoru niedostępne. Wszystko za nas zrobią! Zamówią bilety lotnicze, wykupią odpowiednie ubezpieczenie, zanocują, nakarmią, zabawią, oprowadzą po atrakcjach turystycznych, a nade wszystko bezpiecznie i profesjonalnie przeprowadzą przez górskie szlaki, zatrudniając w razie potrzeb lokalnych przewodników. Turystom pozostanie tylko zabrać ze sobą dobry nastrój, aparat fotograficzny bądź smartfona z kijem do „selfi" – i w drogę.

Na podstawie moich doświadczeń współpracy z kilkoma polskimi agencjami chcę opisać niemalże krok po kroku proces tworzenia pełnej oferty trekkingowej poza granicami Polski, od momentu układania programu po realizację wyjazdu i zamknięcie imprezy po powrocie do kraju. Moim celem jest pokazanie przewodnikom, którzy będą mieli okazję prowadzić takie wyjazdy – bądź jako przewodnicy, bądź jako tzw. „tour-leaderzy" we współpracy z lokalnymi przewodnikami górskimi – pewien wachlarz form i możliwości tego typu górskich wyjazdów zagranicznych. Na nas, przewodnikach i tour-leaderach spoczywa największa odpowiedzialność – perfekcyjna realizacja programu wyjazdu oraz zapewnienie bezpieczeństwa przez cały okres jego trwania. Dlatego ważne jest poznanie przez nas zasad i form tworzenia ofert przez agencje. Ponadto, z naszego punktu widzenia, poznanie naszego zakresu obowiązków jako przewodników i tour -leaderów.

METODY TWORZENIA OFERTY TREKKINGOWEJ

Podstawowe metody tworzenia samej oferty turystycznej są dwie. Pierwsza to taka, gdzie najpierw układa się jakiś konkretny program, a następnie ustanawia się kryteria klienta, do którego skierowana jest oferta. Druga metoda to wybór klienta docelowego na samym początku, a następnie układanie programu. I nie ma znaczenia, czy są to wyjazdy dla klientów z tzw. wolnej sprzedaży, czy dla grup zorganizowanych (np. zakłady pracy, instytucje, „eventy").

W pierwszym przypadku wymyślenie i skonstruowanie dobrego programu jest najłatwiejsze. Problematyczne jest za to wybranie klienta docelowego. Dlatego taka forma organizacji wyjazdu może przysporzyć przewodnikowi więcej sytuacji nietypowych na miejscu, podczas realizacji programu. Mogą to być na przykład niezbyt dobrze dobrane trasy – ilość przewyższeń i czasy przejść. Typowym przykładem mogą być zbyt trudne trasy dla ludzi starszych lub osób niedostosowanych kondycyjnie. Jeśli jesteśmy w górach Europy, sytuacja jest dość łatwa do opanowania. Wtedy przewodnik może zaproponować alternatywną trasę na miejscu (na przykład skrócenie trasy wyjściowej, wyjazd na górę kolejką, dojście tylko do schroniska i powrót tą samą drogą). W krajach poza Europą wszystko zależy od formy trekkingu. Jeśli jest to długie, kilkunastodniowe wędrowanie z plecakiem, sytuacja nie ma właściwie dobrego rozwiązania, zarówno z punktu widzenia klienta, jak i tour-leadera. Tutaj ważna jest informacja dotycząca poziomu trudności na samym początku, zanim klient zdecyduje się na konkretną ofertę. Dlatego jedną z najbardziej dogodnych form wędrowania jest wybranie jednej bazy

Tour de Mt Blanc, z widokiem naBiałą Górę, Val Veny, Włochy

wypadowej i założenie realizacji trekkingu na lekko, z możliwością powrotu na nocleg do bazy. Taka forma jest obecnie najpopularniejsza i najwygodniejsza dla klientów, a także najbardziej komfortowa dla przewodnika prowadzącego. Co za tym idzie – najbardziej ekonomiczna z punktu widzenia agencji. Tutaj niemal wszystko da się zaplanować bez większego ryzyka niepowodzenia i poniesienia dodatkowych kosztów na nieprzewidziane sytuacje (na przykład na dodatkowy nocleg w górach, nadplanowe posiłki). Świetnie się to sprawdza we wszystkich krajach alpejskich, w których coraz częściej realizuje się ideę tzw. trekkingów dla wszystkich. Pozwala to przede wszystkim na porządny wypoczynek po całodniowej wędrówce, nawet bardzo męczącej, a także na rezygnację z wyjścia w góry dla osób, które w danym dniu nie czują się na siłach, aby kontynuować program. Przewodnikowi daje spokój psychiczny, a w warunkach optymalnych – pozwala bezproblemowo zrealizować założony plan, co w efekcie przekłada się na duże zadowolenie klienta.

W przypadku niektórych trekkingów w wyższe góry, tzn. powyżej 4000 m n.p.m., przytoczona wyżej forma organizacji wyjazdów sprawdza się także poza Europą. Potrzebna jest tylko dobra baza wypadowa, odpowiednio duża powierzchnia naszej górskiej działalności i wystarczająca liczba tras. Jednak dla gór typu samotne wyspy, tak popularnych jak Kilimandżaro, Demawend czy nawet Jabal Tubkal (mimo że leży w potężnym łańcuchu górskim), czy tam, gdzie jest tylko jedna trasa wejścia – zejścia, nie da się już zastosować tak dogodnego

Trekking pod Annapurną, zejście z Poon Hill, Nepal

rozwiązania. Wynika to z faktu, że zdobywanie tego typu szczytów zajmuje kilka dni, w dużym przewyższeniu i z koniecznością nocowania po drodze. Dlatego przy tworzeniu oferty w takich przypadkach najpierw ustala się bardzo dokładnie docelową grupę turystów, z podaniem przedziału wiekowego, predyspozycji zdrowotnych, kondycyjnych etc. Listę wymogów koniecznych do spełnienia przesyła się turystom, zanim podpiszą umowę z agencją na zakup oferty. Można powiedzieć, że jest to pewna forma kwalifikacji na daną imprezę turystyczną. Niestety nie jest ona doskonała i zawsze niesie ryzyko, że uczestnik mimo dokładnych wytycznych dotyczących fizycznego przygotowania się przed wyjazdem zbagatelizuje je, mówiąc sobie „jakoś to będzie" i na przykład ruszy w góry z kontuzją, której nabawił się jeszcze w domu. I często z takimi sytuacjami się spotykam – góry zawsze weryfikują nasze przekonanie o własnych możliwościach psycho-fizycznych. Niestety takie sytuacje wychodzą dopiero w tzw. praniu, czyli podczas trekkingu. Wtedy właśnie trzeba umieć zareagować prewencyjnie odpowiednio wcześnie. Na tym polega jedno z najważniejszych zadań tour-leadera. W sytuacji gdy nie wystąpiły sygnały wczesnego ostrzegania, trzeba umieć udzielić odpowiedniej pomocy. Na szczęście często kończy się tylko na małych problemach zdrowotnych, a te są wychwytywanie przez tour-leadera na etapie zwykłego bólu głowy, bezsenności czy braku apetytu. Niektóre agencje organizujące wyjazdy na trudne technicznie szczyty, a także w wysokie góry świata, praktykują nawet pewną formę kwalifikacji turystów do wyjazdu poprzez jednodniowe wyjścia w Tatry. Sprawdzają między innymi warunki kondycyjne, umiejętność posługiwania się specjalistycznym sprzętem (rakami, czekanem), a także zdolności do funkcjonowania w grupie (np. zdolność empatii).

REALIZACJA PROGRAMU TREKKINGU

Kolejnym etapem jest realizacja programu. Tutaj w gestii przewodnika prowadzącego pozostaje odpowiedzialność za kolejność realizacji poszczególnych dni trekkingowych (w przypadku jednej bazy wypadowej) lub też dostosowanie planu do zmiennych warunków pogodowych. Tutaj uwaga – nie bójmy się zmiany programu, trasy czy nawet rezygnacji z wyjścia na trasę w przypadku złych warunków pogodowych lub fatalnych prognoz. Bezpieczeństwo i zdrowie naszych klientów i nas samych jest najważniejsze. Należy oczywiście umiejętnie przekazać taką informację grupie. W takiej sytuacji trzeba zaproponować wariant alternatywnej wycieczki, niekoniecznie górskiej. I znów w przypadku, kiedy realizujemy plan na lekko, mamy dość duży wachlarz możliwości. Natomiast kiedy realizujemy długą wędrówkę z plecakami, jedynymi rozwiązaniami są albo przeczekanie złej pogody do tzw. okna pogodowego (na przykład podczas

zdobywania Piku Lenina), albo zmiana trasy trekkingu ze względu na bezpieczeństwo turystów (przykładem jest trekking szlakami pod Annapurną). Można zatem stwierdzić, że planowanie, programowanie trekkingu to czynność, która nie kończy się i nie ogranicza jedynie do poziomu biurka czy komputera, ale że jest ona procesem żywym i ciągłym. Dlatego tak ważne jest, aby podstawową wiedzę z tego zakresu posiadał każdy przewodnik realizujący program.

Niezwykle istotną rolę na każdym etapie realizacji programu odgrywa kontakt między agencją a tour-leaderem. Pozwala to w wielu sytuacjach przewidzieć możliwość wystąpienia sytuacji kryzysowych. Przykładem może być wiedza z zakresu prognozy pogody, nie zawsze dostępna dla uczestników trekkingu podczas akcji górskiej, ale dla organizatora, śledzącego zza biurka realizację programu – już tak.

TECZKA IMPREZY

Kolejna bardzo ważna kwestia to dobrze przygotowane dokumenty, które zabiera przewodnik ze sobą na całą wyprawę, tzw. teczka imprezy. Przygotowuje się ją po skompletowaniu wszystkich uczestników. Co powinno się w niej znaleźć, aby uniknąć kłopotliwych sytuacji na wyprawie, takich jak na przykład brak zapłaty za nocleg? Podstawowym dokumentem jest Program Ramowy (nazwy dokumentów będę celowo pisała wielką literą). Pamiętajmy, że im mniej szczegółów w Programie, tym mamy większe pole manewru w przypadku niemożliwości prawidłowej realizacji (na przykład odwracanie kolejności, zamienianie poszczególnych dni). Ważne jest, aby była to wersja ostateczna, którą otrzymują klienci w momencie podpisania umowy. Następnie szczegółowy Plan z godzinami, datami wyjazdów, posiłków i zwiedzania atrakcji turystycznych, ponadto informacje dla kierowców w przypadku wyjazdu autokarem. Teraz kolej na dokumenty dotyczące uczestników wyjazdu: Lista uczestników z datą urodzenia, adresem zamieszkania, telefonem kontaktowym, telefonem kontaktowym z osobą upoważnioną do otrzymania wiadomości w nagłych wypadkach. Dane te są potrzebne czasem do zameldowania klientów w hotelach, schroniskach etc., a także w sytuacji zgłaszania uczestnika poszkodowanego i korzystającego z ogólnego ubezpieczenia wyjazdu. Dlatego najlepiej poprosić biuro o kilka kopii tej listy. Kolejne dokumenty to kopia Polisy Ubezpieczeniowej wyjazdu, z numerami alarmowymi, Zlecenie dla przewodnika na pilotowanie i prowadzenie wyjazdu. Zdarzają się czasem kontrole, które oczywiście nie mają podstaw prawnych poza granicami Polski, jednakże w oczach uczestników wygląda profesjonalnie, kiedy pokazujemy lokalnym władzom „jakieś dokumenty". Ponadto w teczce powinny znaleźć się wszystkie potwierdzenia rezerwacji noclegów, posiłków i całego serwisu, który jest w cenie wyjazdu, wraz z potwierdzeniami przelewów zaliczek lub całych wpłat. Może zdarzyć się tak, że jakiś dokument nie doszedł do

kontrahenta, a często schroniska wysoko położone w górach mają utrudniony kontakt z cywilizacją i nie są w stanie kontrolować na bieżąco poczty mailowej, przelewów etc. Należy zatem uprzedzać wszelkie takie niekomfortowe dla nas sytuacje, zwłaszcza kiedy docieramy na nocleg zmęczeni, zmoknięci i klienci marzą tylko o ciepłym posiłku i łóżku, a kontrahent każe czekać, aż ktoś z biura sprawdzi, czy rzeczywiście wszystko zostało uregulowane i potwierdzone. Pamiętajmy, że takie drobiazgi klienci wyczuwają, komentują i od razu opiniują poziom organizacji wyjazdu. Dobrze zamieścić dodatkowe „koszulki – folie" w teczce w celu porządkowania rachunków, które musimy zbierać podczas wyprawy. Przydatne są też luźne czyste kartki na ewentualne dodatkowe opisy realizacji programu, uwagi klientów, a także na oświadczenia klientów w przypadku dobrowolnej rezygnacji z jakiejś części programu i realizacji własnego planu – w chwili zgłaszania reklamacji przez niezadowolonego klienta jest to bardzo ważny dokument. Pamiętajmy, że pracujemy z klientami dorosłymi i w każdym momencie trwania wyprawy mogą oni zrezygnować z trasy przejścia, zwiedzania, posiłku, zapłaconej z góry atrakcji turystycznej.

Po zakończeniu wyjazdu oddajemy teczkę kompletną i uzupełnioną fakturami, rachunkami i opisami wszelkich nieprawidłowości w realizacji świadczeń.

PRZYGOTOWANIE MERYTORYCZNE DO PRACY POZA GRANICAMI POLSKI

Kolejna sprawa to odpowiednie przygotowanie merytoryczne przewodnika do pracy poza granicami Polski. Problem jest nieco skomplikowany i wymaga osobnego artykułu, niemniej zasygnalizuję kilka istotnych aspektów. Pierwsze pytanie, jakie powinno się nasunąć, to czy polski przewodnik może legalnie oprowadzać swoich klientów w górskim terenie poza granicami kraju. Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi, ponieważ kwestie te są regulowane przez przepisy kraju, do którego się udajemy. Przed wyjazdem należy zatem dokładnie przestudiować stan prawny danego kraju czy nawet regionu. Doskonałą skarbnicą wiedzy są biura trekkingowe specjalizujące się w wybranych kierunkach. O ile w Europie w ogóle nie ma większych problemów ze znalezieniem odpowiednich informacji czy przepisów, o tyle poza jej granicami natrafiamy przede wszystkim na barierę językową. Najlepszą ścieżką pozyskiwania takich informacji jest kontakt z ambasadą lub konsulatem danego kraju. Biura trekkingowe najczęściej stosują zasadę podwójnej opieki przewodnickiej, to znaczy wysyłają z polski przewodnika górskiego jako tour-leadera i dodatkowo na miejscu zatrudniają przewodnika lokalnego. Dotyczy to pozaeuropejskich obszarów górskich takich jak Himalaje, Andy, Patagonia, Atlas Wysoki i innych. Takie podejście jest i profesjonalne

(z punktu widzenia klientów), i praktyczne. W przypadku jakiegokolwiek zdarzenia zagrażającego bezpieczeństwu na miejscu, przewodnik lokalny jest najlepiej zorientowaną osobą w sposobie rozwiązania problemu. Porozumiewa się też lokalnym językiem i jednocześnie tłumaczy na inny, na przykład na angielski. Nasze obowiązki sprowadzają się wtedy jedynie do sprawnej koordynacji akcji.

W ramach Unii Europejskiej działa silne lobby mające na celu unifikację przepisów dotyczących wykonywania zawodu przewodnika górskiego (nie dotyczy to Międzynarodowych Przewodników Wysokogórskich IVBV/UIAGM/IFMGA). W tym celu powołana została we Francji organizacja UIMLA (The Union of International Mountain Leader Association), której Polska jest członkiem – współzałożycielem. W chwili obecnej organizacja zrzesza 14 krajów „górskich". Głównym zadaniem UIMLA jest doprowadzenie do oficjalnego zaistnienia w prawodawstwie europejskim, tym samym legalizacja pracy przewodników należących do organizacji. Polskim członkiem UIMLA jest Stowarzyszenie Międzynarodowych Przewodników Górskich „Lider" z siedzibą w Zakopanem. Organizacja ta prowadzi kursy dla przewodników górskich, którzy traktują swoją pracę jako stałe źródło dochodów i chcą prowadzić swoją działalność także poza granicami Polski. Zachęcam do zapoznania się szerzej z działalnością SMPG „Lider" i możliwością podnoszenia kwalifikacji przewodnickich. Nadmienię, że coraz więcej agencji polskich zatrudnia właśnie przewodników będących członkami tego stowarzyszenia. Obecnie w Polsce jest ok. 120 przewodników górskich zrzeszonych w SMPG „Lider" i znaczna ich część pracuje w sezonie w różnych górskich regionach świata.

Trekking pod Everestem, Gokyo Ri i Cho Oyu, Nepal

***

O tym, czy i jak profesjonalnie przygotowana jest oferta, świadczy fakt, że my – przewodnicy – nie mamy problemów z jego prawidłową realizacją. A problemy, jeśli nawet się pojawiają, to wynikają bądź z sytuacji losowych, niesprzyjającej pogody, bądź też z lekkomyślności klientów. Jeśli taka oferta, impreza jest dobrze zrealizowana przez tour-leadera, to każdy trekking zakończy się pomyślnie, a potwierdzeniem będą uśmiech i radość uczestników podczas wyjazdu i skorzystanie z oferty agencji przy planowaniu kolejnych wyjazdów. Największym zaś sukcesem osobistym każdego tour-leadera będzie to, że klient będzie chciał w przyszłości wybrać się na trekking górski właśnie z nim. Zatem Koleżanki i Koledzy przewodnicy – idźmy z duchem czasu i postępu cywilizacyjnego i pomagajmy naszym klientom realizować ich górskie marzenia.

Na zakończenie podaję listę najbardziej popularnych trekkingów świata, powołując się na ranking Gazety.pl z roku 2013:

1. Trekking wokół Annapurny, Nepal
2. Szlak Inków, Peru
3. Szlak GR 20 Korsyka, Francja (najtrudniejszy szlak europejski!)
4. Trekking do bazy pod Everestem, Nepal (Solu-Khumbu Trek)
5. Torres del Paine w Patagonii, Chile
6. Szlak Routeburn, Nowa Zelandia (najdroższy trekking!)
7. Góry Semien, Etiopia
8. Ladakh i Zanskar, Indie
9. Narrows, USA
10. Tour de Mont Blanc, Francja, Szwajcaria, Włochy

Tekst powstał w oparciu o własne doświadczenia we współpracy z kilkoma biurami trekkingowymi i na bazie informacji otrzymanych od właścicieli agencji: „Apter" Anna Piątek z Żywca, „Exploruj.pl" Jarosław Figiel z Zakopanego, a także dzięki działalności w Zarządzie Stowarzyszenia Międzynarodowych Przewodników Górskich „Lider" (UIMLA).

Zdjęcia autorki

MAREK ZYGMAŃSKI

ZMIANY W RATOWNICTWIE GÓRSKIM

DLACZEGO O TYM PISZĘ?

Przez wiele lat prowadziłem na kursach Harnasi i dla innych grup turystów zajęcia z ratownictwa górskiego. Często potem sprawdzałem zakres wiedzy na wewnętrznych egzaminach czy w rozmowach i stąd wiem, jak niewielka część wiadomości zostaje przyswojona. Powodów jest wiele: od archaicznego podziału tematów zajęć w obowiązującym rozporządzeniu MSiT „W sprawie nabywania uprawnień przewodnika górskiego", przez zaporowe ceny zajęć praktycznych aż po trudności w skompletowaniu i przeczytaniu polecanej literatury.

Może inny niż wykład sposób podania niektórych faktów z historii i teraźniejszości ratownictwa górskiego pozwoli lepiej zapamiętać pewne zdarzenia, ich następstwo oraz powiązania, a to przełoży się na większe umiejętności udzielania pomocy? Wykorzystuję tutaj teksty powstałe na przestrzeni ostatnich 115 lat, szczególnie dotyczące Tatr, od momentu tuż przed formalnym powstaniem Straży Górskiej aż do chwili obecnej.

Niewiele poza rozbudową infrastruktury turystycznej i gwałtownym rozwojem sprzętu zmieniło się w górach, jeżeli chodzi o warunki prowadzenia akcji ratunkowych. Nadal najpoważniejszymi przeszkodami są rzeźba terenu, przepaścistość i niedostępność pewnych jego partii oraz specyficzny klimat. Dlatego też podstawowe problemy oraz zasady działania pozostały prawie takie same. Mimo rozwoju sprzętu i techniki, cały czas ćwiczy się „historyczne" sposoby pomocy na wypadek wyjątkowo niesprzyjających warunków mogących uniemożliwić lub znacznie ograniczyć użycie najnowszego sprzętu. Dla świadomych turystów, a szczególnie dla przewodników, znajomość najprostszych zasad i technik (tak zwanych improwizowanych) oraz okresowe zapoznawanie się i ćwiczenie z nowymi przyrządami powinno być obowiązkowym elementem górskiej działalności.

Najważniejsze różnice w działaniu służb ratunkowych na przestrzeni ostatnich 115 lat:

– Zawiadomienie o zaistnieniu wypadku. Od konieczności osobistego dotarcia z informacją o wypadku do organizacji zajmującej się ratownictwem (wcale nie do pierwszych napotkanych ludzi) do łączności telefonicznej z możliwością lokalizacji za pomocą GPS z dokładnością do kilku metrów.
– Komunikacja z poszkodowanymi. Od sygnału o zrozumieniu sygnału wzywania pomocy do bezpośredniej rozmowy o jego stanie, podjętych działaniach, a nawet do postawienia diagnozy medycznej.
– Łączność pomiędzy ratownikami. Od nawoływania (dźwięków gwizdka, trąbki) lub „telegrafu wzrokowego" do ciągłej łączności radiowej pomiędzy wszystkimi członkami zespołu.
– Sprzęt używany w akcjach ratunkowych. Od improwizowanego sprzętu używanego do prac gospodarskich lub w turystyce do specjalistycznych (dla różnych typów wypadków) pojazdów, zestawów i urządzeń.
– Transport ratowników i poszkodowanych. Od pieszych podejść i improwizowanych środków transportu do zróżnicowanych pojazdów specjalistycznych.
– Wyszkolenie i zasady pracy ratowników. Od „pospolitego ruszenia" okolicznych mieszkańców do stałych dyżurów wyszkolonych ratowników prowadzących również patrole i obserwacje w potencjalnie zagrożonych rejonach.
– Pomoc w wypadkach lawinowych. Od sondowania kijami do użycia detektorów lawinowych i kamer termowizyjnych.
– Umiejętności udzielenia pierwszej pomocy medycznej. Od możliwości opatrzenia ran i zabezpieczenia złamań do profesjonalnego ratownictwa medycznego i uczestnictwa w akcjach lekarzy specjalistów.
– Informacja o specyficznych zagrożeniach górskich i sposobach postępowania w razie wypadku. Od niepełnych informacji ustnych i w rzadkich przewodnikach po całodobowe informacje telefoniczne, filmy instruktażowe i bezpłatne informatory.

Niektóre z historycznych i współczesnych działań zilustruję poniżej przykładami wziętymi z literatury.

ZAWIADOMIENIE RATOWNIKÓW O WYPADKU I POTRZEBIE POMOCY

Dobrze oddaje dawne problemy przebieg najsłynniejszego przed I wojną światową wypadku i akcji ratunkowej po Stanisława Szulakiewicza (w trakcie której zginął Klemens Bachleda) na Małym Jaworowym Szczycie. Po odpadnięciu całego zespołu Jan Jarzyna, będący w lepszym stanie, wiedząc, że w tym zakątku Tatr nie może liczyć na niczyją pomoc, zabezpieczył rannego towarzysza i mimo potłuczeń wyruszył po pomoc:

Nadeszła burza z deszczem i gradem. Ze ściany spływały kaskady wody, która wlewała się Jarzynie za kołnierz, a wypływała bucikami. Dwa razy wbijając haki, zjeżdżał na linie, dwa razy też spadał i tylko cudem udało mu się zatrzymać. Wreszcie dotarł do ostatniego cypla skalnego, pod którym była głęboka szczelina o szerokości 3 metrów między ścianą a zlodowaciałym płatem śniegu. Z tego cypla o wysokości 2–3 pięter nie mógł zjechać na linie, bo wjechałby do szczeliny pod lód, skąd nie było szansy na wydostanie się. Skoczył ponad szczeliną na płat śniegu, po którym zaczął się zsuwać na plecach ze wzrastającą prędkością. Palcami hamował, jak tylko to było możliwe. Przy spotkaniu z piargiem poderwał się na nogi i stopniowo biegiem wytracił prędkość. Doszedł do maliniaków. Znalazł worki, z których wydobył pelerynę, i natychmiast ruszył w dół do Jaworzyny, biegiem i szybkim marszem na przemian. Po drodze miewał zwidy, ale siłą woli chciał jak najszybciej dotrzeć do schroniska w Morskim Oku, gdzie od dwóch lat założony był telefon, by zawiadomić o wypadku. Najpierw doszedł do Jaworzyny, potem do Łysej Polany, skąd ruszył w górę przez Starą Roztokę. Pod wieczór przestało padać i przejaśniło się. Kiedy był w rejonie Wanty, słońce zachodziło. Około godz. 10 dotarł do schroniska w Morskim Oku. Przekazał relację o wypadku i prosił o powiadomienie Straży Ratunkowej TOPR.[1]

Dziś najbardziej rozpowszechnionym sposobem zawiadomienia służb ratunkowych jest wykorzystanie mobilnych telefonów do bezpośredniej łączności z ratownikiem dyżurnym najbliższej jednostki GOPR/TOPR. Od trzech lat na terenie polskich gór działa aplikacja na telefony komórkowe „Ratunek" (www.ratunek.eu) umożliwiająca lokalizację dzwoniącego z dokładnością do 3 metrów podczas wywiadu prowadzonego przez dyżurnego. Pozwala to pomóc w znalezieniu najlepszej drogi ewakuacji, ostrzega przed niebezpieczeństwami w okolicy i optymalizuje dotarcie ratowników do poszkodowanych. Pamiętajmy tylko, że urządzenie musi mieć zapas energii i nie wszędzie w górach jest zasięg (nawet dla telefonów satelitarnych). W różnych

górach świata do dziś możemy spotkać warunki takie jak w Tatrach na początku XX wieku (a masywy górskie bywają dużo większe). W innych krajach, szczególnie alpejskich, działają systemy powiadamiania telefonicznego czy radiowego, które koniecznie należy poznać, a przed rozpoczęciem wycieczek zainstalować w swoich urządzeniach (najprostsze zapisanie numerów alarmowych do lokalnych służb ratowniczych to dla przewodnika już chyba oczywistość).

ŁĄCZNOŚĆ POMIĘDZY RATOWNIKAMI

Konieczność łączności pomiędzy ratownikami w zespole, pomiędzy działającymi niezależnie zespołami oraz kierownictwem akcji ratunkowej, szczególnie przy wieloosobowych (wielozespołowych) akcjach na dużym terenie, rozumieją wszyscy, którzy choć raz z taką sytuacją się spotkali. Ilustracją mogą być wspomnienia organizatora i pierwszego naczelnika TOPR Mariusza Zaruskiego:

Obmyślana również została sygnalizacja słuchowa i wzrokowa.

Tę ostatnią ułożyłem w system najprostszy, taki, który byłby dostępny dla ludzi w bardzo małym stopniu posiadających umiejętność czytania i pisania, większa bowiem część przewodników biegłością w tym kierunku się nie odznaczała. Sygnalizacja ta została wydana w formie kieszonkowych bloczków pod nazwą: „Tatrzański telegraf wzrokowy" i niejednokrotnie w górach oddała usługi [...].

W razie potrzeby [oddziały] porozumiewają się ze sobą za pomocą tatrzańskiego telegrafu wzrokowego. Gdy trzeba przeszukać rozleglejszy teren, rozsypują się w łańcuch tyralierski, porozumiewając się wówczas ze sobą gwizdkami.[2]

Wyposażenie polskich ratowników pod tym względem niewiele polepszyło się do połowy lat 60. XX wieku. W 1956 roku GOPR złożył do władz pierwsze zamówienie na radiotelefony. W 1957 roku zakupiono tak zwany „zestaw alpejski" (popularnie zwany Grammingerem), który okazał się bardzo przydatny w ratunkowych akcjach ścianowych. Nierozwiązana pozostała sprawa łączności, szczególnie pomiędzy opuszczanym ratownikiem a obsługą windy. Doprowadzało to niejednokrotnie do krytycznie groźnych sytuacji szczęśliwie niezakończonych wypadkami. Dopiero opisanie w ogólnodostępnych periodykach takich zdarzeń wywołało społeczny odzew radioamatorów. Inżynier Wojciech Nietyksza przekazał GOPR w 1965 roku pierwsze samodzielnie zaprojektowane i wykonane „Klimki" – przenośne radiotelefony i „Wawy" – stacjonarne stacje bazowe (pierwsze wersje miały jeszcze lampowy stopień mocy nadajnika!) do łączności z Klimkami. Stopniowo wyposażono w nie cały GOPR, a ich użycie stało się standardem podczas

akcji ratunkowych, dyżurów i patroli.

Trudno dziś wyobrazić sobie inne rozwiązanie niż ciągłe radiowe połączenie całego zespołu podczas akcji ratowniczej, szczególnie w momentach wymagających precyzji, w hałasie czy złych warunkach pogodowych. Mimo słuchawek i mikrofonów zamontowanych w kaskach tryb przekazywania komend musi być również ustalony i przećwiczony. Za przykład może posłużyć fragment instrukcji dotyczący komunikacji w czasie akcji ratunkowej przeprowadzanej z helikoptera metodą „długiej liny":

Łączność tylko drogą radiową (SPU WYŁ. RADIO), ratownik I używa przycisku RADIO na manetce sterownik wciągarki, dzięki czemu nie musi za każdym razem sięgać do pulpitu nad drzwiami.

Ratownik I jeszcze raz sprawdza łączność z ratownikiem II i pilotem I (łączność między nimi odbywa się drogą radiową [komunikaty: ratownik I – ratownik II – pilot I w separacji 2 sekundowej, komendy mają być krótkie, koordynaty horyzontalne, czyli lewo, prawo, przód, tył podaje ratownik I, natomiast koordynaty wertykalne, czyli góra, dół podaje ratownik II wiszący na linie, pilot każdorazowo potwierdza komendę, nad kolejnością komunikatów czuwa ratownik I]).[2]

Cytowaną powyżej książkę warto chociażby przeglądnąć (duża ilość poglądowych zdjęć), a przeczytać końcowe rozdziały beletrystyczne i przede wszystkim podstawowe zasady współpracy ze śmigłowcem. Im popularniejsze staje się jego użycie, tym częściej przewodnik (z grupą) ma szanse znaleźć się w sytuacji, w której będzie zobowiązany jak najbardziej ułatwić ratownikom ich pracę.

SPRZĘT UŻYWANY W AKCJACH RATUNKOWYCH

W stosunku do zmian wymienionych w innych podpunktach, od początków akcji ratownictwa górskiego do dziś, w użytkowanym sprzęcie zaszły chyba największe zmiany. Zobaczmy, jakie było wyposażenie w początkach TOPR:

Należało pomyśleć o przyborach ratowniczych. Większą ich część wypadło również zaimprowizować. Oprócz zwykłych przyborów turystycznych, potrzebnych każdemu w trudnym terenie, jak: liny, haki, czekany, pętle, nie mówiąc już o takich jak: ubrania nieprzemakalne, latarki, kuchenki spirytusowe itp., sporządzono na miejscu apteczki podręczne, tobogan ratunkowy, sprowadzono siatki do przenoszenia rannych (nosze zwykłe w terenie górskim nie nadają się do użytku), bambusy, których zastosowanie do siatek okazało się praktyczne, różne woreczki na prowianty, gwizdawki, kompasy itp., wreszcie wózek kryty dwukołowy specjalnie do przewożenia rannych drogami.[2]

Dopiero po utworzeniu GOPR, w związku z powstaniem sieci stacji ratunkowych i koniecznością ich wyposażenia, dokonano większych ilościowo zakupów, wyposażając ratowników w najnowsze wówczas urządzenia. Po przyjęciu do Międzynarodowej Komisji Ratownictwa Górskiego IKAR-CISA (1968 r.), w związku ze stosowaniem jej standardów w ratownictwie przyśpieszył proces wyposażania w sprawdzony i użytkowany w krajach alpejskich sprzęt.

Zacznijmy od Grammingera. Archaiczny dzisiaj zestaw przyrządów składał się ze specjalnych szelek skonstruowanych właśnie przez Ludwiga Grammingera, stumetrowych linek stalowych na specjalnych bębnach oraz drewnianego bloku hamulcowego. Do tego dochodziła jeszcze winda i kilka dodatkowych pomniejszych przyrządów koniecznych do prawidłowego działania zestawu. [...] Na owe czasy zestaw ten był rewelacją. Wymagał jednak sporych umiejętności posługiwania się nimi, niezłej kondycji fizycznej, np. nosiłki z bębnami linowymi ważyły 30 kg. Użycie zestawu wymagało dużej ilości ratowników, szczególnie w terenie ekstremalnie eksponowanym. Dla ciekawości: najdłuższy zjazd – 500-metrowy, zanotowano w Tatrach.[3]

Dziś w transporcie ratowników na miejsce wypadku lub w jego pobliże używa się wielu często specjalistycznych pojazdów, aby maksymalnie skrócić czas dotarcia do poszkodowanych i zachować siły ratowników. Nikogo nie dziwi użycie samochodów terenowych, ratraków, skuterów śnieżnych czy helikoptera, jeżeli tylko może to przyśpieszyć akcję. Ze względu na posiadany sprzęt i wyszkolenie ratownicy górscy są często niezastąpieni również w dotarciu do potrzebujących pomocy w czasie klęsk żywiołowych lub anomalii pogodowych.

Równolegle rozwijały się środki transportu poszkodowanych, tak aby już po opatrzeniu i zabezpieczeniu jak najbardziej komfortowo dostarczyć ich do szpitala. Siatka podwieszona pod bambusem (później zastąpionym aluminiową, składaną rurą) jako pogłębiająca częste urazy kręgosłupa odeszła do lamusa, zastąpiona przez używane w zależności od trasy ewakuacji i pogody akie, nosze „francuskie", wózki górskie, bardzo uniwersalne nosze rolowane (np. typu SKED) i wiele innych. Mają one zapewnić jak najlepsze warunki transportu zarówno dla ofiar, jak i ratowników, ale ich mnogość, zmiany wprowadzane przez producentów i różnorodność spotykanych sytuacji wymagają ciągłego ćwiczenia ich użycia. Takie praktyczne zajęcia z użycia najbardziej typowych zestawów i organizacji transportu w górskim terenie powinny być obowiązkowe dla wszystkich czynnych przewodników z uwagi na możliwość (choć fakt – obecnie coraz rzadszą) „zaproszenia" do pomocy ratownikom czy wyjaśnienia turystom niuansów postępowania w akcji ratunkowej.

Ze względu na różnorodność wypadków w ratownictwie górskim używany jest również specjalny sprzęt do akcji w jaskiniach (w tym nurkowy), na rzekach, na lodowcach, z pokładu helikoptera i inny w zależności od warunków na danym terenie. Obsługują go niewielkie wyspecjalizowane zespoły tworzone przez

poszczególne organizacje ratunkowe.

Natomiast wszystkich ratowników obowiązuje umiejętność używania typowego sprzętu wspinaczkowego i narciarskiego oraz wykorzystania go do celów ratowniczych.

WYSZKOLENIE I ZASADY PRACY RATOWNIKÓW

W pierwszych górskich akcjach ratunkowych brali udział wolontariusze wybrani spośród znajdujących się na miejscu przewodników górskich i turystów. Rozwój turystyki, a zatem i ilości wypadków, wymusił profesjonalizację ratownictwa. Dziś większość służb ratowniczych opiera się na zawodowych pracownikach, których wspiera dodatkowo duża liczba wyszkolonych ochotników. Rozwiązania organizacyjne w poszczególnych krajach bywają różne, ale dla turystów czy wspinaczy ważne jest istnienie (w większości państw rozwiniętych) całodobowych dyżurów specjalistów i systemów powiadamiania ich.

POMOC W WYPADKACH LAWINOWYCH

Pierwsze próby ratowania ludzi zasypanych przez lawiny w terenie turystycznym sprowadzały się do prób jak najszybszego (najczęściej mocno spóźnionego) odnalezienia ofiar sprzętem używanym do normalnych prac gospodarskich. Sytuacja niewiele zmieniła się do połowy XX wieku mimo znacznego postępu wiedzy na temat zjawisk zachodzących w śniegu i zagrożeń, jakie mogą powodować. Dopiero rozwój techniki doprowadził do zbudowania urządzeń ułatwiających lokalizację ofiar przez innych turystów znajdujących się w pobliżu. Pomaga to szybciej zlokalizować położenie zasypanych przy pomocy systemów aktywnych (detektory lawinowe typu pieps) lub pasywnych (system RECCO), a tym samym podjąć pozostałe prace szybko, w konkretnych miejscach rozległego zwykłe lawiniska.

Dla wszystkich turystów, a dla prowadzących zimowe wycieczki przewodników w szczególności, umiejętność posługiwania się detektorem lawinowym i organizacji natychmiastowej akcji ratowniczej z wykorzystaniem obowiązkowego sprzętu (sonda, łopata) jest w chwili obecnej oczywistością. Tym bardziej, że w wypadku złych warunków atmosferycznych lub górskich terenów pozbawionych dobrze zorganizowanych służb ratowniczych nikt nam nie pomoże.

UMIEJĘTNOŚĆ UDZIELENIA POMOCY MEDYCZNEJ

Od momentu powstania TOPR jednym z obowiązków wszystkich zaprzysiężonych ratowników było odbycie raz w roku szkolenia z udzielania pierwszej pomocy, tak aby każdy z nich mógł wykonać na miejscu podstawowe opatrunki. Przez ponad dwadzieścia lat szkolenia te prowadził znany ze swych społecznych pasji znakomity diagnosta dr Wacław Kraszewski, który jednak nie brał udziału w samych akcjach ratunkowych. Dzisiaj każdy z ratowników jest wyszkolony w udzielaniu pierwszej pomocy przedmedycznej na znacznie wyższym poziome i przy użyciu znacznie bogatszej „apteczki" (mającej wielkość sporego plecaka). Do poważnych wypadków wysyłany jest ratownik-lekarz, a helikoptery wyposażone są tak jak dobra karetka ratunkowa (tlen, defibrylatory, możliwość podania kroplówki itp.). Także przewodnicy zobowiązani są do umiejętnego udzielenia pierwszej pomocy, zabezpieczenia poszkodowanych i opieki nad nimi do czasu nadejścia ratowników, a to wymaga i szkoleń, i ćwiczeń.

INFORMACJA O SPECYFICZNYCH ZAGROŻENIACH GÓRSKICH I SPOSOBACH POSTĘPOWANIA W RAZIE WYPADKU

W początkach turystyki górskiej świadomość niebezpieczeństw była albo przesadna, albo lekceważona, co zauważył już cytowany Mariusz Zaruski, regularnie piszący do gazet, podnoszący pożytek z wycieczek i ostrzegający przed najczęstszymi błędami. Mimo obecnej łatwości w dostępie do informacji (szczegółowe przewodniki, prognoza pogody w telefonie, mapa i pozycja według GPS na smartfonie), ostrzeżeń w terenie i szkoleniowych filmów dostępnych bezpłatnie turyści popełniają wciąż te same głupstwa. Wydaje się, że w dziedzinie edukacji górskiej tkwią największe rezerwy w zmniejszeniu ilości wypadków i kontuzji.

Jeżeli, szanowny czytelniku, dotrwałeś do tego miejsca i masz inne zdanie, to jestem gotów do dyskusji.

PRZYPISY

1. Apoloniusz Rajwa, „105 rocznica śmierci Klimka Bachledy”, http://www.topr.pl/organizacja-topr/archiwum/192-105-rocznica-.
2. Wojciech Mateja, „Ratownictwo z powietrza w Tatrach. Podręcznik śmigłowcowych technik ratowniczych”, STAPIS Katowice 2013.
3. Marian Sajnog, „Problemy z nazewnictwem”, https://ratownictwogorskie.pl.

SPRAWOZDANIE – SPRAWY OSOBOWE SKPG „HARNASIE” W OKRESIE 19.11.2009 – SIERPIEŃ 2017

Sprawozdania obejmujące okres do 19.11.2009 r. przedstawiane były w poprzednich numerach „Harnasia”.

1. RADA KOŁA

Skład Rady Koła w poszczególnych latach wyglądał następująco:

OD 19.11.2010 DO 18.11.2011

Prezes	Grzegorz Pasieka
Wiceprezes ds. szkolenia	Stanisław Wierzchowski
Członek ds. szkolenia	Jan Pizoń
Członek ds. imprez	Krzysztof Herman
Sekretarz	Michał Huchla
Członek ds. promocji	Małgorzata Skorupska
Skarbnik	Piotr Latusek

Z członkostwa w Radzie zrezygnowali:
Krzysztof Herman – w związku z wykonywaną pracą wymagającą częstych wyjazdów,

Jan Pizoń – „w związku ze zmianą statusu prawnego SKPG". Jan Pizoń, mimo rezygnacji z członkostwa w Radzie, zobowiązał się do dalszej koordynacji wtorkowych prelekcji. Koordynacji imprez podjęła się Justyna Kołodziej – nie została ona jednak dokooptowana do Rady Klubu PTTK.

OD 18.11.2011 DO 23.11.2012

Prezes	Bartłomiej Cisowski
Wiceprezes ds. szkolenia	Michał Huchla
Sekretarz	Dominik Grzesiczek
Skarbnik	Justyna Kołodziej
Członek ds. promocji i imprez	Krzysztof Krawiec

OD 23.11.2012 DO 11.04.2014

Prezes	Michał Huchla
Wiceprezes ds. szkolenia	Patrycja Michałowicz
Sekretarz	Natalia Paszek
Skarbnik	Piotr Latusek
Członek ds. promocji i imprez	Krzysztof Krawiec

OD 11.04.2014 DO 10.04.2015

Prezes	Krzysztof Krawiec
Wiceprezes ds. szkolenia	Anna Juzwa
Sekretarz	Bartosz Łyczba
Skarbnik	Michał Huchla
Członek ds. promocji i imprez	Iwona Franke

OD 10.04.2015 DO 1.04.2016

Prezes	Krzysztof Krawiec
Wiceprezes ds. szkolenia	Stanisław Wierzchowski
Sekretarz	Zbigniew Drapała
Skarbnik	Iwona Franke
Członek Rady ds. imprez, koordynacja przygotowań	

do 50-lecia z ramienia Rady Koła	Aleksandra Ginter
Członek Rady ds. zebrań	Magdalena Goryl

OD 1.04.2016 DO 31.03.2017

Prezes	Aleksandra Ginter
Wiceprezes ds. szkolenia	Patrycja Michałowicz
Sekretarz	Jacek Przyłucki
Skarbnik	Maria Orzechowska-Maćkowiak
Członek Rady ds. zebrań	Dagmara Góralska
Członek Rady ds. rajdów	Anna Latusek
Członek Rady ds. promocji	Michał Wieczorek

OD 31.03.2017

Prezes	Patrycja Michałowicz
Wiceprezes ds. szkolenia	Jan Pizoń
Sekretarz	Sebastian Lenartowicz
Skarbnik	Dagmara Góralska
Członek Rady ds. wydarzeń	Jacek Przyłucki
Członek Rady ds. promocji	Michał Wieczorek

2. NOWI CZŁONKOWIE KOŁA

Następujące osoby otrzymały kolejne numery blach przewodnickich SKPG „Harnasie”:

2010

Jan Pizoń
Michał Huchla
Grażyna Morga
Jarosław Rak
Agata Wasik
Natalia Paszek
Dawid Wacławczyk
Agnieszka Widak
Krzysztof Roczniak
Krzysztof Herman

2011

Justyna Bartczak (Kołodziej)
Maciej Sekulski
Dominik Grzesiczek

2012

Rafał Langrzyk
Magdalena Goryl
Patrycja Michałowicz
Jacek Łoszyk
Marta Sporysz

2014

Tomasz Bochenek
Aleksandra Ginter
Iwona Franke
Aurelia Golda
Bartosz Łyczba

2015

Anna Latusek (Szczepanek)
Zbigniew Drapała
Stefan Brzezinka
Barbara Klisiewicz
Maria Orzechowska-Maćkowiak

2016

Małgorzata Uman-Ntuk
Agata Kubiczek
Marek Krupa
Sebastian Lenartowicz
Jacek Przyłucki
Damian Nakonieczny
Michał Wieczorek
Małgorzata Musiał (Pańczyszyn)
Dominika Góralska
Ewa Szabelska

2017

Kinga Konieczny
Kamil Ziętek
Izabela Dyrlaga
Michał Kulanek

3. STAN OSOBOWY

Stan osobowy koła na marzec 2017 jest następujący:

- 63 członków zwyczajnych
- 31 członków honorowych
- 62 + 18 nowych członków seniorów
- 13 osób poza stowarzyszeniem

4. UPRAWNIENIA PRZEWODNICKIE (I PILOCKIE)

2010 – 2011

PRZEWODNIKA BESKIDZKIEGO KLASY III

Dominik Grzesiczek
Natalia Paszek
Jan Pizoń

PRZEWODNIKA SUDECKIEGO KLASY III

Katarzyna Jamróz
Wiesław Malarz

PILOTA

Natalia Woźny (obecnie: Woźny-Huchla)
Jarosław Rak
Krzysztof Krawiec
Krzysztof Roczniak
Grażyna Morga
Helena Suchodolska

2011 – 2012

PRZEWODNIKA BESKIDZKIEGO KLASY III

Justyna Kołodziej (obecnie: Bartczak)
Maciej Sekulski
Rafał Langrzyk
Magdalena Goryl
Patrycja Michałowicz
Jacek Łoszyk

PRZEWODNIKA BESKIDZKIEGO KLASY III NA CAŁY OBSZAR BESKIDÓW (ROZSZERZENIE UPRAWNIEŃ)

Stanisław Wierzchowski

2012 – 2015

PRZEWODNIKA BESKIDZKIEGO KLASY III NA OBSZAR CAŁYCH BESKIDÓW

Tomasz Bochenek
Aleksandra Ginter
Iwona Franke
Aurelia Golda
Bartosz Łyczba

MIĘDZYNARODOWEGO PRZEWODNIKA GÓRSKIEGO UIMLA

Katarzyna Jamróz

2015 – 2016

PRZEWODNIKA BESKIDZKIEGO KLASY III NA OBSZAR CAŁYCH BESKIDÓW

Anna Szczepanek (obecnie: Latusek)
Zbigniew Drapała
Stefan Brzezinka
Maria Orzechowska (obecnie: Orzechowska-Maćkowiak)

2016 – 2017

PRZEWODNIKA BESKIDZKIEGO KLASY III NA OBSZAR CAŁYCH BESKIDÓW

Małgorzata Uman-Ntuk
Dagmara Góralska
Damian Nakonieczny
Jacek Przyłucki
Marek Krupa
Agata Kubiczek
Izabela Dyrlaga
Ewa Szabelska
Michał Kulanek
Kamil Ziętek

5. SYMPATYK SKPG

Tytuł wznowiony został w kadencji 2014/2015.
Do tej pory (2017) otrzymali go:

Marta Stachurska
Agnieszka Franke
Dominik Musiał
Aleksander Sanetra

Na podstawie materiałów Rady Koła opracowała Anna Latusek.

STUDENCKIE KOŁO PRZEWODNIKÓW GÓRSKICH
HARNASIE
GLIWICE